

MARGIT SANDEMO

ŻELAZNA DZIEWICA

Tajemnica Czarnych Rycerzy 08

Tytuł oryginału: „Jernjomfruen”

Entrada

Na wzniesieniach wschodniej Galicji zapadał podstępny półmrok. Czarne kontury drzew coraz ostrzej rysowały się na tle gasnącego nieba.

Skądś z oddali docierały głuche odgłosy jakby buczenie przeciwmgielnej syreny, ale przecież morza gdzieś blisko nie było. Może to wiatr zawodzący w głębokiej skalnej szczelinie, a może jakieś samotne zwierzę wzywające pobratymców?

Niezwykłe wydarzenia miały miejsce w mrocznych rozpadlinach.

Sześciu przybyłych z tamtego świata katów inkwizycji, niczym stado żądnych zdobyczy sępów siedziało w przyczajeniu na krawędzi krótkiej, choć szerokiej i potwornie głębokiej dziury w ziemi.

Ale nie przybyły tu na polowanie. Gdyby ktoś mógł im się przyglądać z bliskiej odległości, to dostrzegłby pełen przerażenia szacunek w ich postaciach.

„Panie i Mistrzu - mówił jeden głosem piskliwym ze strachu wobec ukrytych tajemnic otchłani. - Oni nadchodzą, oni nadchodzą, to są nasi, nasi, zbliżają się do Santiago de Compostela, tam ich dopadniemy. Nasze pragnienie ich krwi jest straszne, daj nam więc radę, o Panie, co mamy robić, co mamy teraz robić?”

Z głębin otchłani wydobył się syk stłumiony, ale mimo to odbijał się dudniącym echem od kamiennych ścian rozpadliny:

„Tak was mało! Dawniej było was więcej!”

„Zaiste, Panie. Ale to nie nasza wina, nie nasza wina, to ta przebiegła dziewczyna z rodu ludzkiego znalazła straszny, podstępny sposób, by nas wyeliminować”.

Z otchłani rozległ się wściekły ryk i wszyscy kaci odskoczyli na bok niczym przerażone żaby, pod którymi zbulgotała woda w pokrytej rzesą sadzawce.

Po chwili cienie zaczęły się ponownie, z wielką ostrożnością, zbliżać do krawędzi rozpadliny.

Najodważniejszy mówił dalej:

„To dlatego odważyliśmy się prosić o waszą łaskawą pomoc...”

Więcej powiedzieć nie mógł. Ziemia się pod nimi zatrzęsła. Gdzie popełnił błąd?

„Mistrzu, ja...”

„Nędzne lizusy! - zagrzmiało z dołu. - Nie możecie sobie poradzić nawet z jedną smarkulą? A poza tym my nigdy nie bywamy łaskawi!”

Uff, straszne! Ale jak w takim razie powinni się wyrażać?

Formuła „my” kieruje myśli ku odległym czasom, kiedy królowie siebie tak określali: „My, król Svionów, Gotów i Wenedów”. Cóż, poczucie majestatu jest jak najbardziej na miejscu, nikt nie przeczy, jeszcze by tego brakowało!

Nowa próba.

- „Zaprawdę, Wasza Wysokość. Jest nas bardzo mało; tak, tak. Oddaj nam z powrotem naszych braci, o Wielki Mistrzu!”

Na odpowiedź trzeba było czekać. Niezadowolenie aż buchało z rozpadliny.

„Wasi bracia zniknęli. Nie mamy nawet ich żadnych krwi dusz!”

Bracia, którzy sami byli przecież duszami, czy też duchami otchłani z dawno minionego i zapomnianego stulecia, skulili się mimo woli na dźwięk słów swego pana.

Najodważniejszy z nich przemówił znowu drżącym głosem:

„Wielce szanowny Mistrzu, z największą czcią i uniżeniem prosimy cię, byś przysłał nam jakąś pomoc. Nie potrafimy pokonać tych bezbożników, tych wszystkich znaków i słów, które są w stanie nas unicestwić”.

Głuchy, głęboki syk powrócił:

„Ilu potrzebujecie?”

„Gdyby nas było trzynastu, tak jak na początku, to dalibyśmy tym nędznikom radę”.

„Jak powiedzieliśmy, wasi bracia są nie do odzyskania. Dostaniecie dwóch i tylko dwóch. Oni są uodpornieni na znaki i głupie słowa. Tylko żebyście mi zdusili hołotę, potomstwo tych owładniętych pychą rycerzy i ich nędznych sprzymierzeńców! Dajcie nam zwycięstwo nad czarownicą Urracą, która nie chciała oddać swoich umiejętności dla naszej sprawy, zemścijcie się na niej, zniszczcie wszystkich, a zostaniecie sownie wynagrodzeni! I nie przychodźcie tu więcej, by się skarżyć, jak jakieś żalosne psie pomioty!”

Obrzydzenie dosłownie buchało z jamy, więc „bracia” znowu odskoczyli.

Ziemia się zamknęła, rozpadlina zniknęła. Mnisi, którzy jednak nigdy nie byli zakonnikami, lecz katami, traktującymi siebie w swojej pysze jak świątobliwych braci, odetchnęli z ulgą.

„No to dostaniemy pomoc - westchnął jeden z nich zadowolony. - Ciekawe tylko, kto to będzie?”

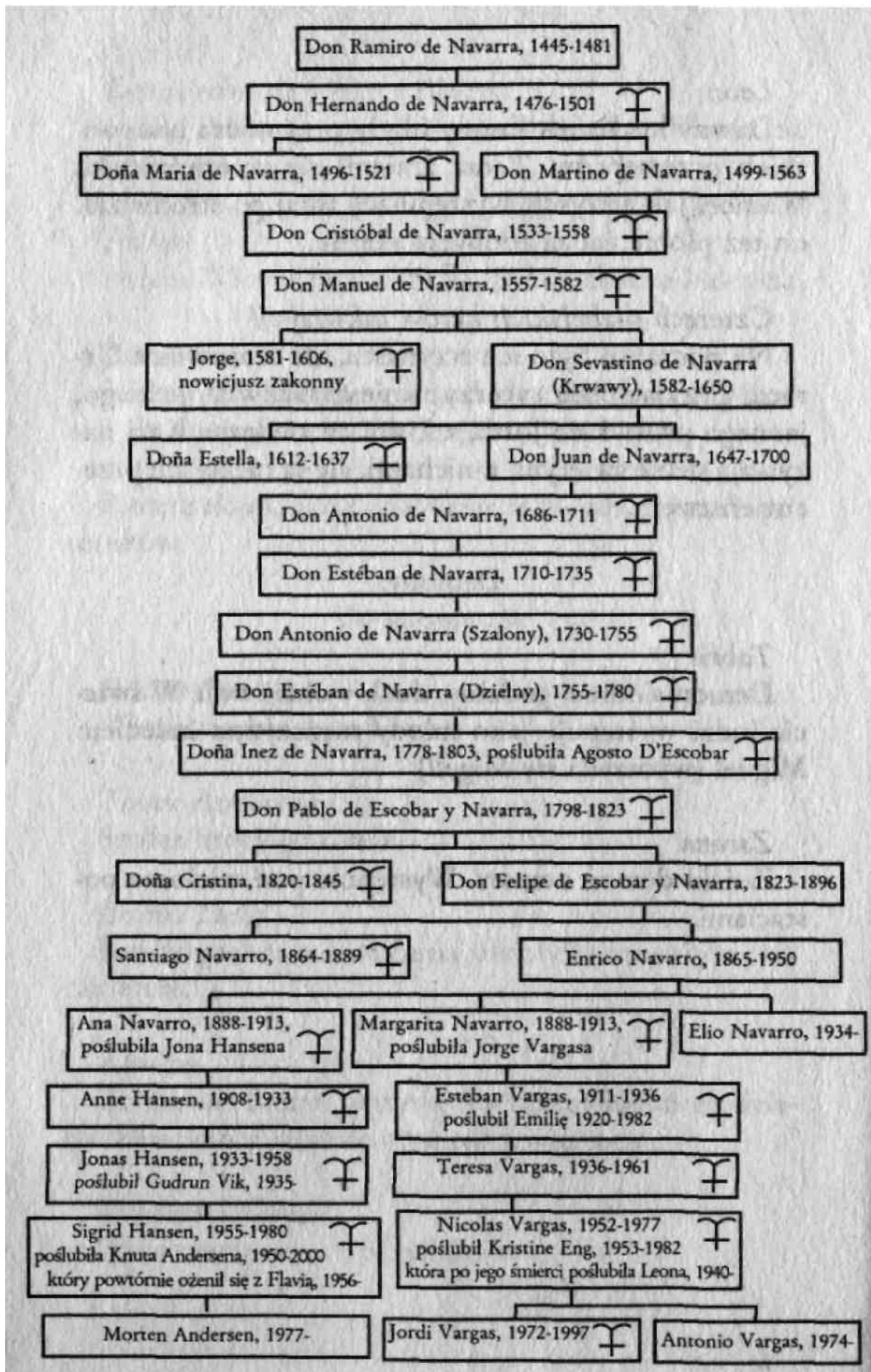
„Nie pytaj - odparł inny. - Nie chcemy tego wiedzieć”.

„Ale to my jesteśmy panującymi!” - wrzasnął któryś, a reszta odparła:

„Tak, tak, to my wydajemy polecenia i rządymy, ktokolwiek by tu do nas przyszedł!”

Ostatnie promienie dnia zgasły nad wzniesieniami Galicji, gdzie nie było żadnych ludzkich siedzib, tylko sinawe wzgórze, jak okiem sięgnąć.

Teraz wszystko wydawało się czarne. Noc otuliła cienie potępionych i ukryła ich na dobre.



Dawno zapomniana świętość tkwiła nieruchomo w oczekiwaniu. Las zdołał ją skryć już przed wieloma stuleciami, zioła i trawy porosły zielonym kobiercem.

Żadna prowadząca do niej droga już nie istniała. Nigdzie nie widać też było śladów, świadczących o tym, że kiedyś wokół świętej budowli znajdowały się ludzkie siedziby. Wszystko zostało zrównane z ziemią, ukryte. Któż chciałby się tu przedzierać przez nieprzebyte pustkowia?

Mimo wszystko jednak miejsce to kryło w sobie rozwiązanie tajemnicy, mimo wszystko mogło zapewnić spokój ducha i zamożność wielu ludziom, innym zaś przynieść ocalenie.

Cóż z tego jednak skoro w zapomnienie odeszła nawet sama tajemnica?

A może nie? Czyż może przez liście bluszczu, który wijąc się omotał świętość i pragnął ją zadusić, nie przenika drżenie? Czy może nie brzmi dalekie echo kościelnych dzwonów, ledwo dosłyszalne, ale jednak? Czy nie powtarza: „Chodź, chodź tutaj! Jesteśmy tutaj. Czekamy”?

CZEŚĆ PIERWSZA
KRYPTA

1

Morten wyszedł z publicznej toalety na lotnisku w Gardermoen z długim paskiem toaletowego papieru ciągnącego się za butem.

- Pojęcia nie mam, co się stało z Sissi - narzekał. - Jej samolot wylądował, powinna już tu być!

- Uwolnij się od tego welonu, Morten - powiedziała Unni dobrotliwie, pokazując kompromitujący papier. - Może cię już zobaczyła i trzyma się na odległość ze strachu, że masz wobec niej poważne zamiary.

Morten wyrzucił papier z pełnym zażenowania uśmiechem. Wszyscy byli gotowi wyruszyć do północnej Hiszpanii na swoją ostatnią, wielką ekspedycję, czekali tylko na Sissi. Bracia Antonio i Jordi, poza tym Unni i Morten oraz Gudrun i Pedro, którzy przyjechali z Madrytu.

Czworo z zebranych to skazani przez los, mieli umrzeć w ciągu najbliższych trzech lat, trzech i pół roku, jeśli nie zdołają rozwiązać tajemnicy czarnych rycerzy.

Był październik, a więc ostatnia szansa na wyjazd przed nadejściem zimy. Wyruszali zatem, choć jeszcze nie wszystkie pionki zostały ustawione na szachownicy. Nie chcieli czekać na zimę, gdy może trzeba by było brodzić w głębokim śniegu, pokrywającym Kordyliery Kantabryjskie. Zresztą Antonio chciał jechać teraz, gdy do rozwiązania Vesli pozostało jeszcze trochę czasu. Ona sama musiała zostać w domu, co czyniła i chętnie, i niechętnie. Bardzo by chciała pojechać z całą grupą, ale to już siódmy miesiąc ciąży i nie budziła w niej szczególnie radosnych uczuć myśl o wspinaniu się w górach lub marszu przez pustkowia, a zwłaszcza o spotkaniu ze ścigającymi ich łobuzami z jednej czy drugiej paczki. Antonio obiecał, że wróci do domu i spędzi z nią ostatnie tygodnie oczekiwania, niezależnie do tego jak się sytuacja w Hiszpanii ułoży.

Vesla starała się nie pamiętać przepowiedni Urraci: „Dwaj bracia mają dojść do celu. Ale tylko jeden z nich wróci”.

Życzyłaby sobie, by Antonio został w domu. Wtedy nie byłoby mowy o dwóch braciach. Tylko że w tej sytuacji zapomniana dolina nigdy by pewnie nie została odnaleziona.

Odprowadziła przyjaciół do Gardermoen, ale nie chciała patrzeć, jak samolot wznosi się w niebo.

Kiedy tak stali czekając na Sissi, wyglądali jak spragniony walki gang. Unni jednak wiedziała, że z tą odwagą to różnie bywa. Ona sama była skrajnie napięta. Wiedziała też, jak

reaguje Jordi. Zdarzało się, że budził się w nocy zlany potem po koszmarnym śnie, w którym widział siebie w trumnie lub prześladowały go jakieś niewyraźnie widoczne stworzenia. „Umarłem, Unni” - mówił szeptem i dzwonił zębami, kiedy ona starała się go uspokajać. „Próbowałem się do ciebie dostać, ale ty należałaś do świata żywych, w którym ja nie miałem prawa przebywać”. W takich momentach długo potem leżeli, obejmując się mocno, bez ruchu, przepelnieni trudnym do opanowania strachem.

Antonio był rozdarty między pragnieniem zostania z Veslą a poczuciem obowiązku wobec rycerzy. Gudrun zadreślała się myślą, że później ma do nich dołączyć Flavia. Nie było między nimi wrogości, co to, to nie, Flavia to osoba wielkiego formatu, ale przecież jeszcze niedawno traktowała Pedra jako swego przyszłego męża, a tymczasem Pedro wybrał Gudrun zamiast niej. Poza tym Gudrun martwiła się o wnuka, Mortena, którego charakter wciąż jeszcze był chwiejny. Nie podobało jej się, że on też weźmie udział w wyprawie, był bowiem urodzoną niezdara, ale tak bardzo prosił, a ponadto przecież od tego wyjazdu miał też w dużej mierze zależeć jego los, więc Gudrun nie mogła się przeciwstawiać.

Rodzice Unni natomiast, Inger i Atle Karlsrud zostawali w domu. Stanowić mieli bezpieczne oparcie, gdyby w Hiszpanii coś się stało. I przede wszystkim mieli być oparciem dla Vesli.

Jørn stanowił komputerowy punkt kontaktowy zarówno u siebie w domu, jak i w pracy. Dwaj muskularni Szwedzi, Hassę i Nisse, czekali gotowi w Skanii. Straszili, że wskoczą do pierwszego samolotu i przyjadą do Hiszpanii, gdyby grupa potrzebowała siły fizycznej. Mieli cichą nadzieję, że tak będzie.

Elio i jego niewielka rodzina na tym etapie zdawali się całkiem nieciekawi dla szukających skarbu łobuzów, tak przynajmniej sprawy wyglądały z zewnątrz, mogli więc wrócić do Hiszpanii, do domu w Granadzie, o czym Pedro dowiedział się od Flavii. Jordi i Unni pozostawali w stałym kontakcie z Juana. Tak więc posiłki i odsiecz na wszelki wypadek też zostały przygotowane.

Gudrun i Pedro, oczekując przybycia Sissi, usiedli na niewygodnej ławce. Po chwili przyłączyła się do nich Unni z Jordim.

- Cóż, emeryci, siedzicie tu sobie i rozkoszujecie się wolnością? - spytała.

Gudrun odpowiedziała z uśmiechem:

- Jaką wolnością, skoro akurat wyjeżdżamy? Aż mnie ssie w żołądku z podniecenia. Unni, nie masz czasem papierowej chusteczki do nosa? Zapomniałam kupić.

- Oczywiście, że mam - odparła Unni uczynnie. - Ale nie musisz się spieszyć z kupowaniem, mam ich pod dostatkiem.

Otworzyła swoją sporą torbę podróżną, a Jordi przyglądał jej się z surową miną.

- Kochana Unni, pamiętaj, żeby nigdy przyborów toaletowych nie wkładać do walizki, którą nadajesz na bagaż! Powinnaś je trzymać w podręcznej torbie. Mamy przecież międzylądowanie i krótki postój, łatwo może się tak zdarzyć, że twoja walizka gdzieś się zawieruszy i przybędzie z opóźnieniem. Przybory toaletowe powinnaś mieć zawsze dostępne.

Unni zaczęła się gorączkowo przepakowywać.

- Dziękuję! Świetna rada. Proszę, Gudrun, masz tu paczkę chusteczek!

- Idzie Sissi! - zawołał Morten radośnie i przerwał swój nerwowy spacer. - Czyż to nie typowe dla niej? Odebrać bagaż jako absolutnie ostatnia osoba!

Obejmował Sissi, długo nie pozwalał się nikomu z nią przywitać.

Nadszedł czas załatwiania formalności. Antonio długo i czule żegnał się z Veslą.

- Tylko wróć - szeptała przytulona do jego policzka.

Unni stała w kolejce tuż za nimi. Vesla nie powiedziała „Wróć jak najszybciej”, pomyślała. Prosiła „Tylko wróć”. To mi sprawia ból i naprawdę nie wiem, co powinnam odczuwać. Bo jeśli Antonio wróci, to Jordi będzie musiał tam pozostać. Zginąć.

Nie jestem w stanie o tym myśleć.

Pożegnali się z Veslą i było to trudne rozstanie. Panował nastrój głębokiej powagi, wszyscy wiedzieli, że tym razem to naprawdę wielka ekspedycja i nikt nie miał pojęcia, czym się skończy.

Potem przeszli do hali tranzytowej.

- Unni, gdzie twój ręczny bagaż? - spytał Jordi.

- Ech, torba była taka ciężka, nadałam ją razem z walizką.

- Rany boskie! - jęknął Jordi. Reszta wybuchnęła śmiechem, jedni bardziej złośliwie, inni raczej dobrotliwie, w końcu Unni pojęła, co zrobiła.

- Pracownicy lotniska, postarajcie się, żeby moje walizki trafiły do właściwego samolotu - bąknęła przez zaciśnięte zęby. - Żebym nie musiała myć zębów frotowym ręcznikiem, jak to Hemingway miał w zwyczaju.

- On miał mnóstwo dziwnych zwyczajów - powiedział Morten. - Uwodził kobiety, łamał obietnice...

- Jesteś pewien, że nie było na odwrót? - syknęła Unni.

W końcu znaleźli się w przejściu, gotowi ruszać. Ale nazwa miejsca ich przeznaczenia brzmiała złowieszczo.

Jeszcze raz siedzieli w samolocie, jeszcze raz znajdowali się w drodze do północnej Hiszpanii.

Napięci do tego stopnia, że czuli, jak mięśnie prężą się im pod skórą, przestraszeni, że nie zaplanowali wszystkiego dostatecznie dokładnie. To oczywiste, że tego nie zrobili, musieli przecież zostawić sobie jakieś pole manewru, pozostawało tylko mieć nadzieję, że sprawy są na tyle pod kontrolą, iż wszystko się uda.

Problemy wydawały się teraz jakies niewiarygodnie ostateczne.

Każdy z obecnych miał przy sobie zwinęte resume wszystkiego, co zdołali ustalić. Vesla starannie wypisała dla każdego ten sam tekst:

„W roku 1481 pięciu hiszpańskich rycerzy don Federico de Galicia, don Galindo de Asturias, don Garcia de Cantabria, don Sebastian de Vasconia i don Ramiro de Navarra było gotowych ogłosić bunt przeciwko nowo utworzonemu wielkiemu królestwu Hiszpanii. Wybrali dwoje młodziutkich przedstawicieli książęcych rodów, infanta Rodrigueza de Cantabria oraz infantkę Elvirę de Asturias, jako przyszłą królewską parę planowanego nowego państwa. Miało ono obejmować pod wspólnymi rządami pięć autonomicznych prowincji północnej Hiszpanii. By móc dokonać przewrotu za pomocą licznych najemnych oddziałów, rycerze zebrali w owych pięciu prowincjach ogromny skarb.

Plany jednak zostały ujawnione przed czasem, dwoje młodych pojmano i przewieziono do miasta Leon w Kastylii. Z Santiago de Compostela sprowadzono trzynastu najstraszniejszych katów inkwizycji i książęce dzieci zostały ścięte. Rycerze oraz ich przyjaciółka, czarownica Urraca, przetransportowali potajemnie ciała zamordowanych do zapomnianej doliny, tam również ukryto wcześniej skarb.

Później jednak rycerze też dostali się do niewoli. Tak zwani mnisi z Santiago de Compostela torturami zamęczyli ich na śmierć. Katom pomagał czarownik Wamba, który rzucił straszne przekleństwo na całe potomstwo wszystkich rycerzy: otóż pierwotni w każdym pokoleniu mieli od tej pory umierać w wieku dwudziestu pięciu lat. Urraca zdołała przekleństwo złagodzić, ale całkiem przełamać go nie była w stanie.

Współczesnymi pierwotnymi potomkami z dwóch linii rodu don Ramireza są Morten i Jordi. Obaj mają umrzeć drugiego lutego przyszłego roku. Jordi będzie miał wówczas trzydzieści lat, bowiem otrzymał pięcioletnie odroczenie po to, by mógł pomóc rycerzom. Sissi, która jest następczynią don Garcii, ma przed sobą jeszcze niecałe dwa lata, a

jedyna krewniaczka don Sebastiana, Unni, trzy i pół roku. Jeśli nie uda im się rozwiązać tajemnicy, to nienarodzone jeszcze dziecko Vesli i Antonia będzie następnym, i umrze w wieku dwudziestu pięciu lat. Pedro, krewny don Federica, jest młodszym bratem w swojej generacji i dlatego nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo”.

To główne zarysy sprawy. Na początku w ogóle nie wiedzieli o istnieniu zagadki. A jak można rozwiązać tajemnicę, o której się nie wie?

Teraz przynajmniej odkryli już niektóre jej elementy, ale wcale się z tego powodu nie przybliżyli do poznania jakiejś prawdy.

Do tej pory ustalili, co następuje:

Pięć amuletów w formie gryfa to najwyraźniej klucz. Wszystkim gryfom towarzyszyło pisemne przesłanie.

1. Gryf Galicji oznacza Dobrobyt, a jego przesłanie brzmi:

„Rzymianie ochrzcili krainę, ale nic nie wiedzieli o istnieniu Veigas. Orły przybywają ostatnie”.

2. Asturia - Siła magiczna.

„PTAKI Z PRZESZŁOŚCI: Gryfy są kluczem. Zbierają się tam, gdzie czekają orły. Sroka ochrania gile przed wronami. Wędrownica mojego sąsiada zaczyna się w miejscu, gdzie orły będą małe. Ja sam przybywam z małej wioski nad strumieniem, bardzo blisko kraju mojego drugiego sąsiada. Z tej wioski przybywa jego serce”.

3. Kantabria - Sukces.

„Moja jest kraina, szara i górzysta, gdzie zbierają się orły. Ze wschodu na zachód. Z północy na prawo”.

4. Vasconia - Miłość.

„Zostali obciążeni przekleństwem tak, że musieli pozostać rozłączeni aż do śmierci, ale słowa połączą ich znowu. Mroczny cień czai się za nimi wszędzie”.

5. Nawarra - Zdrowie.

„Gryfy są kluczem. Nieśliśmy ze sobą nasz łańcuch ze złota. Spotkaliśmy naszego sąsiada z gwiazdą i szliśmy razem do małego pustkowia, gdzie czekają dwa ptaki. Przybyli dwaj ostatni. Ciężkie były brzemiona wszystkich”.

To są właśnie gryfy i zaszyfrowane wiadomości, które im towarzyszyły.

Innym ważnym elementem układanki jest tekst, który młody mnich Jorge mozolnie wyhaftował na swoim zakonnym habicie. Znalezienie go posunęło poszukiwania znacznie do przodu.

„GRANICE. Nie można podążać śladami rycerzy. Idź śladem innych ze wschodu na

zachód na zachód - z zachodu na wschód.

Wioska pustkowie chleb przełącz puchary groty, groty.

Niezbędnych jest pięć gryfów. Każdy ród swój wkład. Nasz największy.

Połącz z baśniami i wiedzą każdego rodu”.

Na habicie została też wyhaftowana heraldyczna róża, która jedynie wprowadziła zamieszanie. Pominąwszy to, że znajduje się również na tarczach rycerzy, co wcale nie czyni obecności róży bardziej zrozumiałym.

No i jest jeszcze krótkie omówienie słów don Bartolomea pozostawione przez Estellę:

„Zacznij od Veigas, gdzie śpiewa gaita”.

A poza tym legendy. Legenda Urraci, czy może raczej zagadka. Nasi poszukiwacze zdołali w skrócie przetłumaczyć jej treść:

„W pewnej zaczarowanej dolinie znajdował się las z bardzo dziwnymi drzewami. Dolinę otaczały góry, ona sama zaś rozciągała się wokół wysokiego szczytu, który miał kształt skulonego zwierzęcia. Na szczycie siedział troll, gotowy zabijać, i pilnował skarbu. Od dawna już nie prowadzi tam żadna droga, ale dwaj bracia mają przyjsć z miejsca, nad którym krążą sępy. Tylko jeden z braci wróci do domu. AMOR ILIMITADO SOLAMENTE.

Trzy orły wskazują drogę do szczytu. Trzech krewnych może pomóc. Rycerze przybędą z miasta Leon, ale to nie ich śladem należy podążać. Trzeba iść śladami innych.

Podążaj śladami najmniej znaczącego pośród mało znaczących!”

Wiele pozostawało jeszcze do wyjaśnienia, ale nie można już było dłużej czekać, nikt też zresztą nie wiedział, gdzie mieliby szukać dalszych informacji. Nie było sensu siedzieć w Norwegii i raz po raz od nowa roztrząsać szczegóły. Musieli jechać do północnej Hiszpanii, zdając się na los szczęścia.

I wtedy przeżyli szok.

Na dwa tygodnie przed wyjazdem Unni i Jordi otrzymali telefon od młodej uczonej, Juany, swojej znajomej i współpracownicy z Asturii, która w starych drukach znalazła budzącą uwagę informację:

Rozdział, z którego zaczerpnęła tekst, był zatytułowany „Serce Galicji”.

„Anno Domini 1480 ze swego miejsca w krypcie San Garaldo w Santiago de Compostela zniknął największy skarb Galicji, zwany Święte Serce. Legenda głosi, że dokonało się to za wiedzą i przyzwoleniem ludności i że serce, które według podań pochodzi z czasów Wizygotów, miało być użyte dla wzniesienia buntu, do którego jednak nigdy nie doszło. Klejnot ważył wiele funtów i zawierał ogromny rubin otoczony diamentami, a wszystko to umieszczono na podstawie w litego złota w kształcie serca. Trzeba było co

najmniej dwóch ludzi, żeby go udźwignąć.

Czy Serce Galicji istniało naprawdę, czy też jest to tylko legenda, nie wie nikt. Tradycja głosi, że w dawnych czasach w krypcie San Garaldo znajdowała się ukryta informacja, w jaki sposób serce zostało wyprowadzone. W którym miejscu krypty mogłaby się ta informacja znajdować, trudno powiedzieć, bowiem nie ma tam żadnych kryjówek”.

Kiedy grupa dowiedziała się o odkryciu Juany, wszystkich przeniknął lodowaty dreszcz. Albowiem jedyne miejsce na ziemi, którego nie wolno nikomu z nich odwiedzić to właśnie Santiago de Compostela, owo miasto przez wszystkich innych uznane za wyjątkowo spokojne i święte. Pomocnikom rycerzy groziło tam śmiertelne niebezpieczeństwo. Tam, i tylko tam, kaci inkwizycji mogli uzyskać nad nimi władzę i unicestwić ich.

Nawet duchy rycerzy nie ważyły się tam pojawić.

Teraz jednak dla Unni i jej przyjaciół było jasne, że właśnie w tym mieście znajduje się coś, co może ich poszukiwania posunąć daleko naprzód.

Dlatego tym razem miejscem ich przeznaczenia było Santiago de Compostela.

Wyjście z ciemności

Zaczynało świtać, na wschodzie, ponad horyzontem pojawił się mdły blask, poza tym jednak wzniesienia trwały w nocnych ciemnościach.

W zagłębieniu między dwoma szczytami, z dala od wszystkiego, co można określić mianem ludzkiego społeczeństwa, daleko od wszystkich kościołów, z głębokiej szczeliny wydobywał się dym, czarny niczym sadza.

Był to bardzo dziwny dym, gdyby nie ta barwa, mógłby przywozić na myśl mgłę. Paskudną mgłę. Snujący się, jakby poszukujący, kłębiący i ścigający wznosił się i jakby węszył między skapą, wyschniętą roślinnością w rozpadlinie.

Może wysoko w górach wiał lodowaty wiatr, jednak tutaj, w zagłębieniu, panowała absolutna cisza, więc dym powinien iść w górę. Tymczasem nie.

Na krawędzi szczeliny siedziało sześć skulonych cieni i spoglądało na dół. Raz po raz przenikał je lodowaty dreszcz, radość pomieszana z lękiem.

„Idą! Nasi niewolnicy z głębokiej otchłani idą do nas, by nam służyć!”

„Tak! Ale pamiętajcie: To my jesteśmy panami!”

„Tak, tak, my jesteśmy ich panami, my rozkazujemy, oni słuchają!”

Z podziwem i zaciekawieniem, przede wszystkim jednak w pełnym podniecenia oczekiwaniu obserwowali, co się dzieje w mrocznej pustce pod nimi. Niewiele dało się wypatrzyć, bo ta wczesna poranna chwila nadal tonęła w ciemnościach, a czarny mglisty dym rozprzestrzeniał się coraz bardziej i przesłaniał dno rozpadliny. Kaci wiercili się niecierpliwie, złościли się urażeni, że pozbawiono ich radości odkrywania i porównywania, który z nich zobaczy coś jako pierwszy. Pierwszy, największy, najlepiej, najwięcej, nieustannie te kryteria zawistników.

Przesycone złem oczy katów uporczywie wpatrywały się w otchłań.

W licznych skalnych szczelinach coś poświstywało z cicha, a mgła, czarniejsza niż noc, krążyła w koło i gęstniała pośrodku, aż wyłoniła się z niej jakaś obrzydliwa istota... i jeszcze jedna, zanim mnisi zdążyli się zorientować, o co chodzi.

Te dwa stwory z dołu to nie były dusze ludzi, którzy pobłądzili i trafili za karę do Gehenny. To demony, których domem są piekielne otchłanie, to istoty z ciemnej strony świata.

Wciąż niewidzialne rozpościerały ogromne nietoperzowe skrzydła, pojawiły się długie ogony o trójkątnych zakończeniach, spiczaste zielone uszy i również spiczaste brody, wielkie

szpony i przy rękach, i przy nogach, skóra obrzydliwie zielona. Różnica między obojgiem rzucała się w oczy, jedno było rodzaju męskiego, drugie żeńskiego. Różniły ich też oczy. Kobieta miała wąskie, pionowo ułożone źrenice niczym kot, źrenice istoty męskiej były poziome, jak u kozła. Kobiece atrybuty samicy mogły przyprawić każdego chirurga plastycznego o zawrót głowy, z atrybutów męskich samca też nie można żartować.

Gdy proces materializacji obojga dobiegł końca, przyjrzeni się sobie nawzajem z paskudnymi uśmiechami. W ich przesyconych złem duszach pojawiła się radość. Z tego, że oto będą teraz na ziemi siać postrach i rozpacz, że będą czynić ludziom zło. To marzenie wielu potworów zamieszkujących ciemności.

Przedstawiciel płci męskiej krótko skinął głową i oboje rozpoczęli niezbędne przemiany. Skrzydła, ogony i pazury oraz wszystko inne, co mogło rzucać się w oczy, zostało wessane do wnętrza ciał i po chwili oboje stali się ludźmi. O gładkich, bezosobowych twarzach, na których rysy szczególne miały się pojawiać zależnie od okoliczności. Mężczyzna uczynił krótki, jakby odpychający ruch ręką i ciemna mgła zniknęła.

W końcu mnisi mogli ich zobaczyć; wszyscy, jak ich było sześcioro, zerwali się z radosnymi okrzykami i rzucili się w głąb rozpadliny ku nowo przybyłym. Wirując opadali w dół niczym czarne, zniszczone papierowe latawce.

Gdy wylądowali, stali długo w milczeniu, przyglądając się swoim, jak sądzili, niewolnikom.

Ci zaś niczym szczególnym się nie wyróżniali! Zwyczajni ludzie. Bardzo zwyczajni, absolutnie pozbawieni jakiegokolwiek wyjątkowości. Co też tacy będą w stanie zdziałać na ziemi?

Jeden z „niewolników” mnichów rzekł krótko:

„Ubrania!”

„Posłuchajcie no - oznajmił jeden z katów stanowczo. - Tutaj my rozkazujemy!”

Zirytowana kobieta wykonała ledwo dostrzegalny ruch, a mnich odczuł to tak, jakby go trafiły tysiące noży, co go całkowicie uwolniło od poczucia wyższości.

Leżał skulony na ziemi i wił się z bólu.

Pozostali kaci inkwizycji wydali z siebie pełen przerażenia jęk.

„Ubrania!” - powtórzył ów zwyczajny człowiek, tym razem głosem ostrym niczym stal.

Właściwie to kaci mieli zamiar upokorzyć nowo przybyłych, zmuszając ich do chodzenia nago, ale to najwyraźniej nie był dobry pomysł.

Wszystko poszło nie tak. Dwoje zwyczajnych ludzi. Łatwo nad nimi zapanować?

Oczywiście!

„I mają to być prawdziwe ubrania - powiedziała kobieta łagodnie, a mnisi mieli wrażenie, że słyszą syk węża w jej głosie. - Nie jakieś rzucające się w oczy kostiumy sprzed stu lat. Musimy wyglądać jak współcześni ludzie. No, jazda do roboty! Później opowiecie nam więcej o naszym zadaniu”.

Wściekli i rozczarowani mnisi pobiegli przed siebie i wkrótce zniknęli.

Demony patrzyły na siebie oczyma bez wyrazu. Właściwie nienawidzili się nawzajem. Pojęcia takie jak miłość czy przyjaźń w świecie demonów nie egzystują, teraz jednak będą musieli ze sobą współpracować i szczerze mówiąc cieszyli się z powierzonego im zadania. Ale działać razem nie chcieli i powiedzieli to wyraźnie swemu mocodawcy. Wspólne zadanie, proszę bardzo, ale każdy pracuje dla siebie!

Wiatr pogwizdywał w górze nad krawędzią rozpadliny. Czaiły się w jego zawodzeniu strach, niepewność i trwoga.

3

Przyjaciele mieli zamiar pojechać do Brukseli i dopiero tam podzielić się na mniejsze grupy. Najpierw myśleli o kilku, po jednej dla każdej prowincji północno - hiszpańskiej. Ale tych prowincji jest pięć, ich zaś ośmioro, co by oznaczało, że „grupy” składałyby się z jednej lub dwóch osób, czyli w gruncie rzeczy niemal każdy musiałby pracować w samotności. By rzecz uprościć postanowili, że stworzą dwa zespoły. Jeden miał wystartować w Galicji, drugi pojechać najpierw do Nawarry z nadzieją, że spotkają się wszyscy u celu podróży, w miejscu rozwiązania tajemnicy.

Chodziło przede wszystkim o to, by znaleźć te miejsca, z których w piętnastym wieku rozpoczynano tajemnicze podróże ze skarbami do nieznannej doliny. Niektóre z nich zostały już nazwane, na przykład dla skarbu Galicji Santiago de Compostela. Dla Asturii i również Galicji tajemnicze Veigas. No i dolina Carranza na granicy Vasconii i Kantabrii. Chętnie nazywali Kraj Basków Vasconią, bo to była dawna rycerska nazwa prowincji.

Ale gdzie znajdował się ten punkt wyjściowy dla Vasconii i Nawarry? Młody Jorge pisał coś o „grotach grotach”.

Przed podróżą długo siedzieli w willi wokół wielkiego stołu, przy którym jadalili posiłki, wszyscy jak jeden mąż, roztrząsali tę sprawę. Jorge przekazał tyle trudnych do pojęcia słów. „Wioska pustkowie chleb przełęcz puchary groty groty”.

- Może Santiago de Compostela było w tamtych czasach wioską? - zastanawiała się Unni.

Antonio natychmiast wyprowadził ją z błędu.

- Nie, miasto zostało założone w ósmym wieku wokół grobu apostoła Jakuba. Katedrę wzniesiono w wieku jedenastym.

- No to się nie zgadza - rzekła Unni w zamyśleniu. - Ale gdyby tak Veigas było wsią, to co wtedy?

- Machnij ręką na to, co jest w środku - powiedziała Gudrun. - Myślę, Unni, że jesteś na właściwym tropie. Że cała ta sentencja Jorgego ma charakter geograficzny, od wschodu do zachodu. W takim razie zaś groty leżą na wschodzie. Vasconia i Nawarra.

Jordi podązał za tokiem jej rozumowania.

- Nie, ja uważam, że wszystkie te słowa, wioska, pustkowie i tak dalej, odnoszą się do granic. Tytuł całego przekazu Jorgego brzmi przecież właśnie LAS FRONTERAS - granice.

- A czy w dolinie Carranza są jakieś groty? - spytała Unni z ożywieniem.

- Wielkie grotty - przytaknął Jordi. - Cuevas de Covalanas. Część systemu górskiego. Pireneje i Kordyliery Kantabryjskie wraz z rozgałęzieniami są pocięte korytarzami grot.

- A czy istnieją grotty na granicy między Vasconią i Nawarrą?

- Tego nie wiem. Musimy sprawdzić. Zastanawiałem się sporo nad początkami tajnych dróg, które przemierzali dźwigający skarby. Myślę, że to jest bardzo ważne. Czy pamiętasz Unni, jak byliśmy w Nawarrze, w starej królewskiej twierdzy Olite, która teraz jest hotelem turystycznym?

- Och, jak to było dawno!

- Tak, tak się wydaje - przytaknął z uśmiechem. - A właściwie minęło ledwie parę miesięcy. Pamiętasz, jak spotkałem tam mojego przodka, don Ramira?

- Pamiętam. Zaskoczyłam was w jednej z sal pogrążonych w rozmowie. On na mój widok natychmiast zniknął.

- Otóż to. Długo się zastanawiałem, czego ode mnie chciał. Spytałem go, czy tam mieszkał, ale on odparł „tylko jako rycerz na służbie”. Potem przestrzegł nas przed mnichami, no a kiedy weszłaś ty, rozplątał się w powietrzu.

- Ze też ja zawsze muszę przyjść nie w porę i coś zepsuć!

- Nie, to nie była twoja wina. Ale co byście powiedzieli na hipotezę, iż twierdza w Olite była punktem wyjścia dla dźwigających skarb z Nawarry?

Zebrani zastanawiali się przez chwilę.

- Możliwe - powiedziała w końcu Vesla. - Brzmi rozsądnie. I nie denerwuj się, Unni, don Ramiro i tak nie miał prawa nic wam powiedzieć o tym, co się tam działo. Ale początek drogi z Kraju Basków? To znaczy, chciałam powiedzieć z Vasconii?

- W tej sprawie mam zupełnie inną teorię - powiedział Jordi. - Czy pamiętacie pierwszy raz kiedy spotkałem wszystkich rycerzy?

- Ja pamiętam - potwierdził Antonio. - To było w podziemiach zrujnowanego zamku w Vasconii. W krypcie, do której wszedłeś z płonąca pochodnią.

- No właśnie. Ale dlaczego akurat tam, na pustkowiu? Nie wolno mi było dotknąć herbu na ścianie.

W ogóle nie miałem prawa dotykać czegokolwiek.

- To jest start - oznajmił Morten stanowczo.

- Znakomicie - ucieszył się Antonio. - To już wiemy, czego się trzymać.

Czy naprawdę wiedzieli? Takie to było żałośnie niepewne, takie niejasne i zagadkowe to wskazanie, za którym mieli podążać.

Spotkanie przerwano, bo wszyscy powinni zacząć się pakować. Antonio natomiast

musiał się zająć jeszcze inną sprawą, zanim będzie mógł wyjechać do Hiszpanii...

Chodziło mianowicie o niejakiego „pastora” Schwartza. Tego, który doprowadził Veslę do płaczu z rozpacz i bezsilności. To prawda, że matka Vesli bardzo się też do tego przyczyniła, ale po niej akurat niczego innego Antonio się nie spodziewał.

Akcje, które przed wieloma laty Vesla dostała od ojca, nigdy nie zostały naruszone. Vesla uważała, że dobrze mieć coś na tak zwaną czarną godzinę, gdyby kiedyś znalazła się w prawdziwych kłopotach. A komu prędzej czy później coś takiego się nie przytrafi?

Teraz, kiedy nie pracowała, potrzebowała właśnie jakiegoś wsparcia. Antonio naturalnie wszystko, co zarabiał wydawał na swoją małą rodzinę i w ogóle nie należał do ludzi, którzy gonią za pieniędzmi, ale oboje z Veslą postanowili kupić tę willę, w której wszyscy tak się dobrze czuli, no i akcje Vesli miały pokryć główną część należności.

Jak matka mogła, nikogo nie pytając o zdanie, sprzedać akcje, a pieniądze ulokować u pastora Schwartza?

Z matką Vesli trudno się było porozumieć. Ależ skąd, majątek jest dużo bezpieczniejszy u pastora, a on sam był taki miły i sympatyczny, kiedy przyniosła pieniądze, uściskał ją serdecznie. I tak dalej w tym samym stylu. Wyjawiała jednak pewną tajemnicę... Właściwie Antonio nie miał czasu zajmować się teraz tą aferą, miał zamiar wrócić do sprawy po powrocie z Hiszpanii, okazało się jednak, że pastor zamierza wyjechać do USA i to na czas nieokreślony. Matka Vesli opowiadała o tym w triumfalnym tonie, że oto pastor zwierzył się jej, a potem wróci i znowu wyjadą razem.

Antonio nie musiał słuchać niczego więcej. Nie ma chwili do stracenia. Najpierw porozmawiał ze swoim przyjacielem, pastorem szpitalnym. Chciał wiedzieć, jakie jest jego zdanie na temat tych niewielkich sekt, które rozkwitają na krótko, a potem znowu znikają.

Pastor wyjaśnił mu, że niektóre z nich mają czyste intencje, z powagą odnoszą się do swoich członków i oparte są na prawdziwej wierze. Większość jednak powstaje wyłącznie po to, by oddawać cześć przywódcy zainteresowanemu głównie pieniędzmi swoich wyznawców.

A co to za zgromadzenie ów „Jedyny kościół w Duchu Niebiańskim?”

Pastor skrzywił się, nie chciał mówić zbyt wiele, zalecał jednak daleko posuniętą ostrożność.

Antonio wyjaśnił, o co chodzi, pastor uznał, że sytuacja jest poważna. Obiecał, że pomoże, bo czas nagli. Antonio niezwłocznie zatelefonował do swego innego przyjaciela, dziennikarza, który już raz wyświadczył mu przysługę. Wtedy chodziło o Emmę. Pastor natomiast miał znajomego w urzędzie skarbowym, zwrócił się też do wyższego oficera policji. Matka Vesli, niczego nie podejrzewając, powiedziała córce, w jakim banku pastor ma

konto, poinformowała przy tym, że planuje podróż do Stanów za dwa dni.

Wszyscy powiadomieni o sprawie byli zgodni, że czas najwyższy bliżej ją zbadać. Matka Vesli z pewnością nie jest jedyną panią posiadającą oszczędności, której czarujący pastor zawrócił w głowie do tego stopnia, że zdecydowały się ulokować swoje pieniądze w „kościelnej” kasie. Poinformowano o wszystkim prokuratora.

Policja powiadomiła dyrektora banku, ustalono, że w takich przypadkach prawo jednak zezwala na wgląd w konto kogoś takiego jak pastor Schwartz.

Zaraz się też okazało, że on sam już przybył do kasy...

- Zatrzymajcie go! - polecił komisarz policji krótko. - Zaraz tam będziemy.

Nasz dobry pastor odegrał żaloszny spektakl.

Antonio, który wściekał się na oszusta, wcale nie złagodniał na jego widok. Zaskoczyło go natomiast to, że to człowiek stosunkowo młody, nie więcej niż 35 lat, ze swoimi półdługimi blond włosami, z lokami okalającymi pulchną twarz mógł robić wrażenie na podstarzałych paniach. Obleśny uśmiezek i fałszywe niebieskie oczka sprawiły, że Antonio zaciskał pięści.

Pastor był bardzo oburzony, gdy go wezwano do gabinetu dyrektora. Znalazł się w otoczeniu wielu poważnych osób, których nie znał, bo niezbyt długo przebywał w tym mieście. On z zasady nigdy długo w jednym miejscu nie zostaje.

Obecni przedstawili się. Pastor złagodniał i odpowiadał jednym ze swoich czarujących uśmiechów, które zawsze robiły wrażenie, w każdym razie na paniach. Ale, o Boże, czyż jeden z obecnych nie powiedział że jest policjantem? A jeden adwokatem? Jeszcze inny przedstawicielem prokuratury? I ktoś z gazety? Niedobrze! Uśmiech stawał się jeszcze bardziej czarujący, i taki szeroki, że nieszczęsny pastor czuł skórcze mięśni twarzy.

Jeden z panów zapytał uprzejmie, czy to piękne ferrari na ulicy to jego.

- Ale co się stało? Czyżby jechał za szybko? Mogło się przecież i tak zdarzyć, ale... tak, tak, zgadza się, to mój samochód. Czasem trzeba się spieszyć, jeśli jeździ się tyle, co ja, między kilkoma zborami.

- No tak, ale mamy tu w Norwegii, ograniczenia prędkości - mamrotał inspektor policji.

- Ma pan u nas dwa konta - zaczął dyrektor banku.

- Tak, to prawda. Jedno kościelne i drugie osobiste.

- Dziwne, że pańskie osobiste konto jest większe niż kościelne...

Zaczynało się robić nieprzyjemnie.

- Sprawa ma swoje całkiem naturalne wytłumaczenie - zaczął tym aksamitnym

głosem, którym posługiwał się w krytycznych sytuacjach. - Właśnie przekazuję większe sumy do USA, bo zakładam tam mój kościół, a w takich sytuacjach lepiej działać jako osoba fizyczna niż prawna. Administracja sporo kosztuje!

Ciekawe, czy ktoś zauważył, że z przejęcia powiedział „mój kościół?” Ufał, że nie. Odmawiał w duchu pospieszne modlitwy.

- Ale zamierza pan wrócić?

- Naturalnie. Nigdy bym nie zdradził swojej ziemi!

- W takim razie pewnie pan posiada bilet powrotny?

- Nie, nie mam. Nie wiem przecież, ile czasu będę tam musiał zabawić.

Teraz wtrącił się adwokat:

- Moja klientka, Vesla Ødegard Vargas, założyła przeciwko panu sprawę sądową. Oskarża pana o przejęcie pieniędzy, które do pana nie należały, o czym pan zresztą wiedział.

- Nie rozumiem...

- Zdawał pan sobie sprawę, że jej matka przekazała panu pieniądze Vesli, nie informując jej o tym. Nie, proszę nie robić takich min, to się na nic nie zda, mamy wszystko na piśmie. W liście matki do córki.

W ostatnich dniach matka Vesli napisała do córki gniewny list o tym, że pastor Schwartz zgadza się z nią, iż to ona, matka, ma pełne prawo dysponować pieniędzmi Vesli. No i teraz Antonio położył ten list na biurku dyrektora banku, tuż przed oczyma pastora.

- Ale to nieporozumienie - usiłował się bronić pastor. - Taki pogląd na sytuację ma ta starsza, nie bardzo się orientująca w sprawach współczesnego świata kobieta. Drodzy panowie, ja mam bardzo mało czasu, muszę już jechać. Poza tym transakcja została dokonana, pieniądze wkrótce wpłyną na moje konto w Kalifornii.

- Bardzo mi przykro - przerwał mu dyrektor banku i w jego głosie naprawdę brzmiał żal. - Poleciłem wstrzymać operację w kasie. I nie zostanie ponownie uruchomiona, dopóki pan nie udowodni, że przekazy od pańskich współwyznawców znajdują się w bezpiecznych rękach. Bo jak słyszałem, obiecał im pan wielkie zyski z ich akcji.

Antonio wykrzyknął wzburzony:

- Obiecałeś też matce Vesli, że ją zabierzesz do USA. Dlaczego zaraz nie miałbyś z nią wyjechać?

Pastor najwyraźniej zbladł.

Antonio pozostawił innym zajmowanie się teraz już nie takim pewnym siebie pastorem. Adwokat obiecał, że Vesla i prawdopodobnie wiele jeszcze naiwnych pań, odzyska swoje akcje.

A co na to powie jej matka, Antonio miał naprawdę w nosie. Zresztą już dawno ma tej swojej teściowej powyżej uszu.

Teraz uznał, że jego wyjazd nie jest w żadnej mierze zdradą wobec Vesli, choć ona nigdy tak nie myślała. Nie mógł zrobić nic innego, musiał jechać, ale mimo wszystko miał wyrzuty sumienia. Obiecali sobie codziennie się ze sobą porozumiewać i że Vesla powie szczerze, gdyby go potrzebowała, a wtedy on natychmiast przyjedzie.

Jeśli chodzi o zdrowie, Vesla czuła się dobrze, ginekolog zapewniał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Vesla kupiła kolejny telefon komórkowy, żeby matka nie mogła jej dręczyć. No i pod nieobecność grupy mieli się nią opiekować rodzice Unni, lecz Antonio, mimo wszystko był bardzo niespokojny.

Podzielili się zatem na dwie grupy.

Morten i Sissi mieli zacząć pracę w niebezpiecznej Nawarze, ponieważ jednak żadne z nich nie znało hiszpańskiego, przyłączył się do nich Antonio.

Jordi i Unni wzięli na siebie najtrudniejsze zadanie: podróż do Santiago de Compostela. Chcieli zabrać z sobą Pedra, który tak wiele wiedział o historii i kulturze Hiszpanii, a poza tym pochodził z rodu don Federica de Galicia.

I tu pojawił się dylemat: Gudrun czy Flavia? Pedro sam musiał zaproponować rozwiązanie.

Flavia mogła stanowe wielkie wsparcie dla grupy udającej do Santiago de Compostela, to jednak oznaczało, że Gudrun musiałaby pojechać do Nawarry, co z kolei dla niej byłoby psychiczną torturą. Nikt nie chciał rozdzielać jej z Pedrem na dodatek w sytuacji, gdyby to Flavia miała z nim jechać.

W końcu sama Włoszka zaproponowała wyjście, była to osoba bardzo uwrażliwiona na nastroje.

- Ostatnio mam pewne problemy z sercem - oznajmiła, ale kłamała tak nieudolnie, że wszyscy to odkryli. - Nic poważnego, ale wolalabym pojechać z Antoniem. Zawsze to lekarz i czułabym się bezpieczniejsza.

Dotychczas rozmawiali z nią tylko telefonicznie, spotkają się dopiero w Hiszpanii.

Tak więc Unni, Jordi, Pedro i Gudrun mieli jechać do Santiago de Compostela, zaś Morten, Sissi, Antonio i Flavia do Olite w Nawarze.

Wiedzieli, że jest co najmniej kilka grup, które ich ścigają, a wszystkie pragną osiąść ich wiedzę.

Emmę i Alonza oraz ich towarzystwo można było uznać za stosunkowo mało groźnych przeciwników. Leon przepadł jak kamień w wodę, nie mieli pewności, co im z jego strony zagraża.

Gorszy był jednak ów chudy mężczyzna, jego asystent oraz Thore Andersen. Thore jest ze wszystkich najbrutalniejszy, chudy bez wątpienia dowodzi grupą, asystent natomiast pozostawał irytująco anonimowy.

No i jeszcze mnisi, których liczba wciąż się kurczyła.

Wszyscy podróżnicy zostali wyposażeni w znaki rycerzy - wymalowano je niczym ozdobę na plecach ubrań. Właściwie byli więc chronieni przed bezpośrednim atakiem katów

inkwizycji.

Pojęcia natomiast nie mieli, że oto ich prześladowcy otrzymali w ostatnich dniach wsparcie z tamtego świata.

Santiago de Compostela...

Miasto pokazało im ponurą, deszczową stronę Galicji. Woda lała się z nieba, równo i nieprzerwanie, jakby tak miało być wiecznie. Miejscowi ludzie sprawiali wrażenie przyzwyczajonych, ale Unni i Gudrun dygotały z obrzydzenia. Płaszcz przeciwdeszczowe zostały, rzecz jasna, w walizkach. To znaczy w jej walizce, na którą musieli czekać, bo poza tym to wszystko bardzo szybko znalazło się przed nimi na taśmie bagażowej.

Deszcz i deszcz, włosy lepiły się do głowy, woda ściekała za kołnierz.

- Dziękujemy, na razie wystarczy! - pokrzykiwała Unni w stronę chmur. - Już dosyć, serdecznie dziękujemy!

Jordi był zdenerwowany, nie lubił tego miejsca.

- Bądźcie ostrożni - prosił. - Mam nadzieję, że wszyscy mają znaki na plecach?

Pedro uśmiechał się cierpko.

- Czuję się jak jakiś piętnastolatek z tą dziwaczną dekoracją, ale niech tam, będę to nosił. Vesla wymalowała mi znak bardzo starannie.

Jordiego to nie uspokajało. Nie wiedział, jaką siłę znaki zachowują tutaj, w Santiago de Compostela, w rodzinnym gnieździe katów w tamtych czasach, kiedy najwyższe władze pozwalały im grasować po okolicy i rozprawiać się ze zdrajcami.

Współczesne Santiago jest miastem fantastycznym, przesyconym szczerą wiarą pielgrzymów i czcią dla świętego Jakuba. Jordiemu było przykro, że kaci inkwizycji tak zbrukali przeszłość, chociaż inni ludzie nigdy o nich nie myśleli, ani nie nawiązali kontaktu z upiorami fanatycznych potworów.

Udali się prosto do dobrego hotelu, żeby wypocząć przed startem. W centrum miasta prawie się nie widziało samochodów.

Jakimś cudem przestało padać, wszyscy dziękowali za to Unni, i z nowymi siłami wyruszyli z miasta. Ich celem była krypta grobowa San Garaldo, ale kiedy zaczęli pytać o drogę, ze zdziwieniem przekonywali się, że nikt o niej nie słyszał. Niczego takiego nie znaleźli też na turystycznej mapie zaopatrzonej w rejestr wartych zwiedzania miejsc.

Trzeba było pójść do biura turystycznego. Tam jednak pracowało kilka młodych dziewcząt, z których żadna nie słyszała o krypcie. San Garaldo? Czy to imię jakiegoś świętego? Rzadkie imię, nie brzmi z hiszpańska.

Mogło tutaj być znane w piętnastym wieku. Jordi i Pedro zgadzali się z dziewczętami

z biura turystycznego, że nazwa brzmi obco.

- Dlaczego wszystko musi być takie trudne? - skarżyła się Unni? - Musimy szukać nawet najprostszych rzeczy. Czy książe nie mógł się nazywać San Antonio albo San Pedro czy coś w tym rodzaju?

- Wtedy dopiero byśmy mieli problemy - roześmiał się Pedro. - Bo w Hiszpanii jest bardzo wielu takich, co nazywają się San Pedro lub San Antonio.

- No to podlegacie inflacji - prychnęła Unni ze złością, ale w jej oczach dostrzegli błysk.

- Potrzeba nam jakiegoś spisu świętych - rzekł Jordi.

- Zobacz, czy nie ma tam również jakiejś Santa Unni!

- Mogę cię zapewnić, że nie ma - roześmiał się Jordi - Ale będzie, będzie - obiecywała Unni. - Pracuję nad tym.

- To musisz się trochę pospieszyć - uśmiechnęła się Gudrun.

W księgarni kupili spis hiszpańskich świętych, ale żadnego San Garaldo nie znaleźli.

- A może on nosił jakieś inne imię? - zastanawiała się Gudrun.

- Chyba nie - cedziła Unni w zamyśleniu. - A pamiętacie taki film a Klausem Kinski, którego akcja toczy się w dżungli południowoamerykańskiej? Ten film miał tytuł „Fitzgaraldo”.

- Tak, to odmiana Fitzgerald, angielskiego nazwiska. Ale Garaldo? Może to to samo co niemieckie Gerhard?

Usiedli na parkowej ławce. Jordi wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do swojej doradczynie Juany. Wytłumaczył jej, o co chodzi.

- Zaczekaj, ja mam dużą księgę o wszystkich naszych świętych - odparła. - Żeby mi się tylko udało ją znaleźć. Jak wiesz, nie jestem zbytnią pedantką.

- Tak, widziałem twoje miejsce pracy - uśmiechnął się Jordi.

Odniosł wrażenie, że Juana się nad czymś zastanawia. Potem zapytała, jakoś nieśmiało:

- Czy to by wam przeszkadzało, gdybym się przyłączyła? Osobiście.

- Nic nie sprawiłoby nam większej radości! - odparł Jordi zachwycony. Inną drogą ruszyli do hotelu. Nieoczekiwanie znaleźli się na bardzo rozległym placu, którego jedną część zajmowała ogromna katedra o dwóch wieżach. Unni o mało nie złamała karku, kiedy próbowała dojrzeć iglice i wszystkie ornamenty wspaniałej fasady.

- Katedra pielgrzymów - tłumaczył Jordi cicho. - W jej wnętrzu są przechowywane szczątki świętego Jakuba. Ale my nie powinniśmy do niej wchodzić.

- Myślisz, że kaci świętują tam swoje sukcesy i odprawiają orgie z torturami?

- Nie, trudno w to uwierzyć. Ale rycerze ostrzegali mnie, byśmy się nawet nie zbliżali do tej świątyni.

- Szkoda! Byłoby ciekawie obejrzeć katedrę od środka.

- Będziemy mogli to zrobić, kiedy już znajdziemy rozwiązanie zagadki - rzekł Jordi spokojnie.

Tego już Unni nie skomentowała.

Tymczasem w Oviedo Juana odszukała spis hiszpańskich świętych. W gorączkowym pośpiechu szykowała się do podróży. Od ostatniego spotkania z Unni i Jordim załatwiła sobie soczewki kontaktowe, jeszcze się do siebie nawzajem, ona i te soczewki, nie przyzwyczyły; trwała wojna pozycyjna, ale Juana nie rezygnowała, poza tym obcięła włosy, nie za bardzo, ale na tyle, że mogła zrezygnować z gumki, którą dotychczas je wiązała. W ogóle zaczęła się trochę zajmować swoim wyglądem.

Kiedy więc jeszcze tego samego wieczora ukazała się w hotelu w Santiago, Unni i Jordi powitali ją jednogłośnie okrzykiem: „O rany!”

Juana przyjęła to jako komplement, zresztą zgodnie z ich intencją.

Pedro i Gudrun też byli przyjemnie zaskoczeni.

Dziewczyna jest śliczna! Nie, no raczej ładna. Ale z jakąś niepewnością we wzroku, nie wiadomo czy z powodu nieśmiałości czy też to te problematyczne soczewki, zresztą wszystko jedno. Juana nie przywykła, by okazywano jej podziw z jakiegoś innego powodu niż bystry umysł. Ta sytuacja była więc dla niej całkowicie nowym i bardzo mocnym przeżyciem.

Unni odrobinę się niepokoila. Juana zawsze odnosiła się do Jordiego z psim uwielbieniem. Jak ktoś, kto wie, że przedmiot jego uwielbienia jest nieosiągalny.

- Znalazłam San Garaldo - oznajmiła Juana z przejęciem. - Myślę jednak, że to nie był człowiek godzien szczególnej uwagi. Pochodził z rodu wizygockiego, jego imię brzmiało początkowo Gerhard, co zmieniono na hiszpańskie Garaldo. Przypadkiem w czternastym wieku uratował życie jakiemuś biskupowi i w tych samych okolicznościach stracił własne. Biskup postarał się więc, by został obwołany świętym, i był nim do czasu, gdy wyszło na jaw, że nasz Garaldo znalazł się w katedrze z zamiarem ogołocenia jej z wartościowych przedmiotów, gdy nieoczekiwanie wpadł tam biskup, uciekający przed jakąś bandą, która próbowała go zamordować. Kiedy poznano prawdę, Garaldo był już od dawna świętym i spoczywał w specjalnej krypcie. Rzecz jasna krypta została oczyszczona ze wszystkich kosztowności. Zebrani roztrząsali uzyskane informacje.

- Wspaniale, Juano - pochwalił Pedro, a młoda uczona zaczerwieniła się po korzonki włosów. Bardzo dobrze wiedziała, kim jest Pedro de Verin i tak dalej. On pytał: - Więc gdzie się znajduje krypta tego wątpliwego świętego?

- Wydaje mi się, że wiem, gdzie powinniśmy szukać. Garaldo został ogłoszony za świętego około roku tysiąc czterechsetnego. Zdetronizowano go w sto lat później. W tym czasie Święte Serce było przechowywane w jego krypcie i zabrali je stamtąd w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym ludzie rycerzy. Krypta znajdowała się w bardzo starej świątyni, która została zburzona, ponieważ groziła zawaleniem, a na jej miejsce zbudowano coś w rodzaju pałacu. Czy krypta nadal istnieje, tego nie wiem.

- Zbadamy sprawę - obiecał Pedro, a reszta przytakiwała. Raz jeszcze dziękowali Juanie za nieocenioną pomoc, najpierw Unni i Jordiemu, a teraz tutaj, w Santiago de Compostela.

Siedzieli w dużym salonie hotelowym, z daleka od pozostałych, zresztą nielicznych, gości tak, żeby ich nikt nie słyszał. Unni raz po raz rozglądała się po sali. Jakaś angielska, głośno rozmawiająca para, grupka młodych ludzi najwyraźniej z wyższych sfer i w kącie jakiś mężczyzna o nic nie mówiącym wyglądzie. Unni uśmiechnęła się sama do siebie, bo przed chwilą mogłaby przysiąc, że ten mężczyzna porusza uszami, tak jak to niektórzy robią, kiedy chcą rozbawić towarzystwo, ale raczej nie w hotelu, w samotności, gdzie nikt nawet na nich nie patrzy.

Otrząsnęła się z zamyślenia, bo reszta towarzystwa zaczynała się żegnać. Należało iść spać, jutro wcześniej rano rozpocznie się poszukiwanie krypty „świętego” Garalda.

Nocturne

Nadeszła noc. Na niebie ponad Galicją pozapały się gwiazdy.

Mężczyzna z salonu niezauważony opuścił hotel. Był do tego stopnia anonimowy, że przypuszczalnie nikt nie zwrócił uwagi, iż w ogóle się w tym hotelu pojawił.

Jego imię brzmiało Tabris i był jednym z demonów szóstej godziny w Nuctemeron, co oznacza „noc rozświetlona przez dzień”. Był demonem wolnej woli i został rozdzielony ze swoją koleżanką Zareną, demonem zemsty, należąca do cieszącej się wielkim poważaniem klasy demonów. Teraz Zarena znajdowała się na terytorium Nawarry, on zaś miał kontrolować grupę w Santiago.

Tabris kierował się ku wzniesieniom.

Gdy w nocnej ciszy stał między jakimiś wzgórzami, rysował się niczym odrobinę ciemniejsza plama na tle nieba, był jak element natury. Wiatr szeleścił delikatnie w zaroślach pięciornika. Gdyby się wsłuchać, można by z pewnością rozróżnić w jego szumie stłumioną żalną skargę, nokturnową melodię. Horyzont był wciąż jeszcze wyraźny - ciemna linia na tle jaśniejszego nocnego nieba.

Sześć czarnych, machających skrzydłami ptaków odcinało się ostro na tym niebie, po chwili kaci inkwizycji z wielkim szumem wylądowali wokół Tabrisa.

„I jak idzie, co się dzieje, co się dzieje? Znalazłeś ich?” - syczeli jeden przez drugiego.

- Wszystko jest pod kontrolą - odparł Tabris chłodno. Nie było mu w smak, że musi współpracować i z tymi niżej postawionymi istotami.

„Ale oni są nasi - upierał się jeden z nietoperzy. - To my mamy ich dręczyć, dźgać, torturować, w końcu zabijać!”

Tabris spojrzał na niego z obrzydzeniem.

- Ich los mnie nie obchodzi. Ja jestem tu po to, by się zemścić na czarownicy imieniem Urraca. I żeby wam pomóc zagarnąć w niewolę te małe ludzkie potworki, skoro już odkryliśmy, czym się zajmują.

„Spiesz się, spiesz się, wszystkie narzędzia są gotowe - skrzeczał jeden z mnichów z błyskiem podniecenia w oczach. - Żelazna dziewica, ława, na której będziemy ich żywcem odzierać ze skóry, hiszpańskie buty... „

„Żelazna dziewica, żelazna dziewica - powtarzali inni. - Ze wszystkimi ostrymi szpikulcami! Oni są teraz w naszym mieście, tutaj my jesteśmy silni!”

Zirytowany Tabris przerwał te ich sadystyczne wizje.

- Znajdźcie mi bardziej młodzieżowe ubranie! Czarny, prosty podkoszulek z krótkimi rękawami i z białym napisem na piersiach, obcisłe spodnie, skarpetki, sandały. Wszystko czarne.

Bo tak ubierał się Jordi.

Tabris uważnie przyjrzał się grupie. Bardzo uważnie. Studiował też ich uczucia.

Kaci mieli skwaszone miny. „Czy to wszystko, co wolno nam zrobić? Szukać ubrań? Pamiętaj, że pracujesz dla...”

Mnich już miał powiedzieć „dla nas”, nagle jednak przypomniał sobie, jak to było z jego knąbrnym kompanem.

„Oczywiście! Zdobędziemy wszystko, czego sobie życzysz, panie - zakończył przymilnie. - Czy coś jeszcze?”

- Tak. Pokażcie mi drogę do tego domu, gdzie niegdyś znajdowała się krypta San Garaldo!

„Świetnie! Znamy bardzo dobrze ten dom. On istniał w naszych czasach. Mamy się tam udać zaraz?” Tabris zastanowił się.

- Dlaczego nie?

Zdjął kurtkę i koszulę, które wcześniej dostał od mnichów, zdjął też buty i skarpetki. Spodnie zostawił. Znajdował się przecież w świetle ludzi i tak było mu wygodniej.

Kaci nie widzieli dotychczas nic poza raczej pozbawionym cech charakterystycznych mężczyzną. Jęknęli chórem i o mało się nie podusili własnymi oddechami na widok tego, co się teraz ukazało ich oczom.

Nietoperzowe skrzydła rozpostarły się z trzaskiem. Zielona poświata mieniła się wokół budzącej grozę postaci, która rosła i rosła, aż rysy twarzy, uszy i szpony rozciągnęły się groteskowo.

„Mój pp - pannie - wyjąkał jeden z mnichów, zasłaniając się rękami. - My jesteśmy pokornymi sługami Nieba i nie możemy zawiązywać sojuszy z siłami ciemności!”

Demon wpadł w złość, chwycił najbliższego z katów za kark i szarpnął go z taką siłą, że biedak mało się nie udusił.

- Nie wyobrażajcie sobie za wiele! Wszyscy, we wszystkich trzech sferach, niebiańskiej, ziemskiej i piekielnej wiedzą, gdzie jest wasze miejsce!

Puścił mnicha, który runął ciężko na ziemię, ale zerwał się natychmiast przestraszony i upokorzony. Tabris wykonał dłonią władczy gest i wzleciał w niebo razem ze stadem wron, jak nazywał mnichów.

Nizina była pusta. Tylko małe zwierzątka w zaroślach kuliły się ze strachu i

zdumienia. Wsłuchiwały się w nokturn wiatru wygrywany na drżących liściach, po czym znikwały w swoich dobrze pochowanych norkach.

Deszczowe chmury zasnuwały niebo, skrywając gwiazdy.

Galicja drzemała spokojnie w nocnej ciszy, nie przeczuwając nawet, co się niebawem stanie pośród tych wszystkich niewinnych ludzi, zamieszkujących zapomniane doliny oraz w ich świętym mieście, Santiago de Compostela.

Antonio zadzwonił w środku śniadania. Jordi odpowiadał mu z wahaniem, uważał bowiem, że niegrzecznie jest rozmawiać przez telefon przy stole. Reszta jednak zapewniała go, że tym razem na pewno nie.

No tak, Antonio, Sissi i Morten spotkali się z Flavią i koło północy przybyli do starej królewskiej twierdzy w Olite. Teraz gotowi są zacząć poszukiwania, nie wiedzą tylko, ani gdzie, ani czego mają szukać.

Jordi zastanawiał się przez chwilę.

- A dlaczego by nie zacząć od sali, w której czekał na mnie don Ramiro?

Antonio zainteresował się tą propozycją, więc Jordi wytłumaczył mu, w której części twierdzy znajduje się owa sala.

- No to już wiem, co mam robić - zakończył Antonio. - Dziękuję za radę. Gości jest tu teraz niewielu, będziemy mogli spokojnie powęszyć.

W tle słychać było głos Mortena, który wykrzykiwał coś podniecony.

- Co on mówi? - spytał Jordi.

- Ech, jak to on. Opowiada ci, że spotkał właśnie na korytarzu wspaniałą blondynę, która uśmiechała się do niego zachęcająco.

- Czy ten chłopak nigdy nie przestanie? - zirytował się Jordi. - Może by się teraz zająć Sissi? Jej też musi sprawiać przykrość?

- Sissi jeszcze nie zeszła na dół. Ale ja go przypilnuję. A jak wam idzie?

Jordi poinformował brata, że wszystko jest w porządku i że zaczną działać, jak tylko zjedzą śniadanie. Juana przeprowadziła poszukiwania na własną rękę i już wie, dokąd trzeba pojechać. Ona ma swój samochód, drugi wypożyczył Pedro, w ogóle to zawsze jest lepiej, kiedy Pedro zajmuje się tego rodzaju sprawami. Dom, do którego muszą dotrzeć, leży na tyle daleko od ścisłego centrum miasta, że można tam pojechać samochodem. Bo poza tym to centrum jest w ogóle nieprzejezdne i zresztą zamknięte dla ruchu kołowego.

Juana miała jechać pierwsza, by wskazywać drogę i Jordi wsiadł do jej samochodu, na co Unni zareagowała bolesnym skurczem serca, ale zdusiła to w sobie. On powiedział, że musi o czymś porozmawiać z Juana.

Zaczął, gdy tylko ruszyli.

- Juano, wydaje mi się, że ty byś chciała towarzyszyć nam do samego końca. *To the bitter end.*

Przeciągłe westchnienie dziewczyny było dostateczną odpowiedzią. Jordi mówił więc dalej:

- Bo ten koniec może być naprawdę bardzo gorzki. Gorszy niż mogłabyś przypuszczać.

- Ja przecież wiem dosyć dużo o waszej krucjacie - zaczęła niepewnie. - A strachliwa nie jestem. - Jej głos przybierał na sile. - Jordi, w moim życiu nic się nie dzieje, spędzam dni z nosem w książkach, które cuchną pleśnią i kurzem, zawsze byłam taka, nigdy nie potrafiłam stworzyć sobie towarzystwa, moja egzystencja jest taka uboga.

Miał wrażenie, jakby wróciło do niego echo skarg Unni, dawno temu, kiedy ją prosili, by opuściła grupę ze względu na zagrażające jej niebezpieczeństwo.

Juana zaliła się dalej:

- Dni po prostu mijają, Jordi.

- „Ile już tych dni przyszło i minęło, a ja nie wiedziałem, że to życie właśnie” - zacytował, choć pewnie niedokładnie.

- Jakie to ładne. I jakie prawdziwe, pełne smutku.

- To szwedzki poeta, nie pamiętam, jak się nazywa. Juano, ja cię rozumiem. Ale śmiertelnie się o ciebie boję. Ta sprawa może cię wiele kosztować, utratę zmysłów, a może nawet życia.

- Mój drogi, za nikogo na tym świecie nie odpowiadam, jedynie za siebie. Nieliczni krewni, jakich mam, przypominają sobie o mnie rzadko, kiedy czegoś potrzebują, albo jak zdam ważny egzamin i można się mną pochwalić. Poza tym jestem dla nich szara mysz.

- Dobrze wiesz, że nie jesteś szarą myszą, Juano. Zawsze byłaś interesująca, a teraz po prostu promieniejesz!

Siedziała przez chwilę milcząca, ale ze szczęśliwym uśmiechem na wargach. W końcu rzekła:

- Nie masz jakiegoś brata, albo co?

- Mam, przecież wiesz. Antonia.

- No tak, ale jeszcze jednego.

- Nie, niestety, jesteśmy tylko my dwaj. Szkoda, pomyślała, ale głośno nie chciała tego mówić.

- Teraz w prawo i tamtą uliczką w lewo - podpowiadała sama sobie.

- Wiesz co! - zawołał Jordi zaskoczony. - Zobacz, jesteśmy właśnie koło tego klasztoru, wiesz, który znalazłem wtedy, gdy byłem w Santiago sam, wiele lat temu. Klasztor został zbudowany na miejscu starego kościoła.

- Naprawdę? Tak, przypominam sobie, że o czymś takim opowiadałeś.

- No właśnie. Teraz znaleźliśmy się nieprzyjemnie blisko tego miejsca. To chyba po tamtej stronie tamtego kwartału.

- Masz na myśli tamte przeżycia, kiedy zstąpiłeś w miniony czas i mogłeś zobaczyć katów torturujących ludzi na śmierć? Byłeś w miejscu, w którym również rycerze zostali zabici?

- Tak właśnie - potwierdził Jordi. - I Urraca także została zamordowana. Przez Wambę.

- To wtedy czarownik Wamba rzucił przekleństwo na całe przyszłe potomstwo rycerzy, a czarownica Urraca starała się je złagodzić - stwierdziła Juana. - Zatem znajdujemy się jakby u początków nieszczęścia. Ale czy myślisz, że dwa kościoły mogły stać tak blisko siebie?

- Ha! Różne zbory, odmienne sekty. We wszystkich starych miastach świata znajdują się ulice, na których kościoły stoją przy sobie ściana w ścianę. Maleńka wioska na wyspie Santorini w Grecji ma ledwie dwustu czterdziestu mieszkańców i czterdzieści trzy kościoły. Na Islandii każda chłopska zagroda posiada własny kościół, tak więc dwa sąsiadujące ze sobą kościoły to naprawdę nic dziwnego. Tym bardziej, że były czynne w różnych epokach.

- Nie, no oczywiście masz rację. Ten, w którym byłeś, to z pewnością najstarszy. Na jego miejscu zbudowano klasztor, a potem to, do czego teraz zmierzamy, czyli willę, pałac, jak to nazwać. Boże drogi, jak tu ciasno, utknęliśmy na dobre!

Przez jakiś czas rzeczywiście nie mogli się ruszyć. Juana była znakomitym kierowcą i potrafiła się prześlizgiwać w naprawdę trudnych miejscach, jednak tutaj miała problemy. Ale w końcu udało im się wyrwać z korka.

Jordi stwierdził, że znajdują się w dzielnicy z zabudową chyba osiemnastowieczną, która pewnie zostałaby zburzona, gdyby nie to, że jest na to za ładna. Uliczki były zbyt wąskie, by dwa samochody mogły się wyminąć, musieli zaparkować kawałek dalej na otwartym placu. Wszędzie panował nieznośny tłok, jak to w większości południowych miast, wszystkie możliwe i niemożliwe miejsca parkingowe były pozajmowane. Przyjaciele mieli jednak niewiarygodne szczęście, dwa samochody równocześnie wyjeżdżały z parkingu, i po dość bezpardonowej walce z innym automobilistą Pedro uzyskał miejsce dla swojego auta. Tamten drugi, rozczarowany, powlókł się dalej.

- Kolana i łokcie, ani chwili wahania - skomentował całe zajście Pedro, kiedy już wszyscy wysiedli. - No, Juano, gdzie masz ten dom?

Dziewczyna patrzyła na rzędy kamienic.

- To powinno być tam - stwierdziła.

- Uff, tam chyba straszy! - zawołała Unni.

- Głupstwo - roześmiała się Gudrun. - Chociaż dom rzeczywiście wygląda na mocno podupadły. Jakby od dawna nikt w nim nie mieszkał.

Przy patrycjuszowskich siedzibach nie było też ogródków, stały bezpośrednio przy ulicy, Unni jednak wiedziała, że we wnętrzu każdego z nich znajduje się duże patio z drzewami, kwiatami, a jeśli ma być naprawdę elegancko to i z niewielką fontanną.

Za nic na świecie nie chciała się okazać zazdrosna ani podejrzliwa, poza tym całkowicie ufała Jordiemu, kiedy jednak stwierdziła, że on na nią czeka i potem dotrzymuje jej towarzystwa, odetchnęła z ulgą.

Tyle jej chyba wolno?

Na ulicy nie było żywego ducha, tylko samochody, zajmujące połowę chodnika. Przyjaciele podeszli do domu i zadzwonili.

Z wnętrza nie dotarł do nich dźwięk dzwonka, wobec tego Jordi zastukał głośno, wiele razy. Czekali.

Nad drzwiami widniał napis: „Palacio del...”

Resztę zatarł czas.

Gudrun, najbardziej praktyczna z nich wszystkich, ujęła klamkę.

- Drzwi są otwarte! Spoglądali po sobie zdumieni.

W domu były wewnętrzne drzwi, one również otwarte, za nimi natomiast znajdował się ogromny hall z mnóstwem malowideł na szkle oraz niezwykłymi ornamentami w stylu Jugend.

- Ktoś tu jednak musiał mieszkać około roku 1900 - stwierdził Pedro. - Ale dlaczego tak wiele dzieł sztuki zostawiają przy otwartych drzwiach? Bo sam dom rzeczywiście wygląda na opuszczony.

Kurz na ciemnych wazach, zeszlóroczne liście na marmurowej posadzce.

- Oj - jęknęła nagle Gudrun.

Wszyscy spojrzeli tam gdzie ona. Po wspaniałych marmurowych schodach szedł na dół młody mężczyzna z pytającym wyrazem twarzy.

Jaki przystojny, pomyślała Unni. Naprawdę piękny! I w jakiś sposób przypomina Jordiego.

Juana patrzyła na niego jak zaczarowana. To mógłby być ten brat, którego Jordi nie ma. Mężczyzna był bardzo czarny, lśniące czarne oczy zdawały się połyskiwać zielonkawo, kiedy padało na nie światło. Lekko kręcone włosy przypominały włosy Jordiego, ale jeśli

chodzi o rysy twarzy, to panowie raczej nie byli do siebie podobni. Ten miał bardziej klasyczną urodę, delikatniejszą niż Jordi, w którego wyglądzie było przecież coś szczególnego.

A na dodatek do wszystkiego, idący im na spotkanie mężczyzna był ubrany tak samo jak Jordi, cały na czarno, z zabawnym tekstem na podkoszulku: „Nie jestem stary, jestem nastolatkiem po recyklingu”, co może bardziej by pasowało jakiemuś zadowolonemu z życia emerytowi. (Mnichom nie udało się zdobyć nic innego, zresztą nie rozumieli współczesnych napisów).

- Proszę mi wybaczyć - zaczął mężczyzna melodyjnym głosem. - Byłem na strychu i nie słyszałem, kiedy państwo weszli. Nadzoruję ten dom i właśnie przyszedłem na, że tak powiem, inspekcję.

No i dlatego drzwi były otwarte. Jakie proste wytłumaczenie.

Zszedł na dół i wyciągnął rękę do Gudrun. Powiedział przy tym jakieś bardzo długie nazwisko, ale dodał:

- Proszę mnie nazywać po prostu Miguel!

Rękę Juany trzymał najdłużej sprawiając, że twarz dziewczyny się rozpromieniła.

Kiedy Unni ujęła jego dłoń, doznała dziwnie przykrego uczucia. Mimo woli cofnęła się, patrząc w jego ciemne, przyglądające się jej uważnie oczy. Nieprzyjemnie badawcze.

Nie mogłaby oczywiście powiedzieć, że jego rękę odczuła jakby dotknął jej pazur smoka. Nie, nie, była to dłoń niebywale urodziwa. Wypowiedziała tylko pół prawdy:

- Nie, nic się nie stało. Przez moment miałam wrażenie, że zrobiło się ciemno i chłodno. Ale to nic, tylko powiew wiatru. Chmura przesłoniła słońce.

Nie przestawał patrzeć jej w oczy. Jordi przyglądał im się zamyślony.

Pedro powiedział uprzejmie:

- Przepraszamy, żeśmy się tak tu wdarli. Ale może pan mógłby nam udzielić paru informacji odnośnie tego domu?

- Jestem do usług - odparł tamten elegancko.

- Wie pan może czy kiedyś, dawno temu, w tym miejscu znajdował się kościół? Bo podobno w tym właśnie kościele miała się mieścić krypta San Garaldo.

Miguel milczał przez chwilę, jakby starał się odszukać w pamięci potrzebne informacje. Milczenie stawało się dręczące, gdy w końcu oznajmił:

- To prawda.

Pedro spytał, starając się ukryć podniecenie:

- Czy ta krypta nadal istnieje?

- Krypta świętego Garalda? Owszem, istnieje, ale jest zupełnie pusta.
- Słyszeliśmy o tym, tak. Mimo to jednak chętnie byśmy ją obejrżeli, jeśli to możliwe.
- Naturalnie, proszę bardzo. Zaraz przyniosę świecę.
- Mamy latarki - oznajmił Jordi. Miguel spojrzał na niego badawczo.

Ten człowiek z jakiegoś powodu stara się nie zbliżać za bardzo do mnie i Jordiego, pomyślała Unni. Natomiast podoba mu się Juana. Zresztą z wzajemnością. No i dobrze. Życzę jej niewielkiego flirtu, zasłużyła na to. A ja bez przeszkód będę się cieszyć Jordim.

Przeniknął ją dreszcz.

Nie lubię tego domu. Jakby się tu czaiło coś podstępnego, coś nieoczekiwanego, nie mogę określić co to, ale nie jest to nic przyjemnego, myślała.

Zauważyła, że Jordi podziela jej uczucia. Podszedł do niej i objął ją ramieniem. Unni przytuliła się. Jak rozkosznie jest mieć go tak blisko. I jak bezpiecznie.

Właśnie, bo ten patrycjuszowski budynek raczej poczucia bezpieczeństwa w niej nie budził.

Nie opuszczaj mnie, Jordi. Dobrze wiesz, że balansujemy na ostrzu noża, i to bardziej niż kiedykolwiek. Ciemne moce chcą nas ściągnąć do otchłani, trzymaj mnie mocno i zostań w tym życiu, mój najdroższy, bo ja się boję, naprawdę się boję.

Skąd, na Boga, wzięły się jej te ponure przecucia?

Stoi przecież przytulona do Jordiego, otoczona swoimi dobrymi, wiernymi przyjaciółmi, naprzeciwko zyczliwego młodego mężczyzny, który nie ma złych zamiarów...

Nagle jakby straciła dech, nie mogła złapać powietrza. Nastrój, jakieś ponure ciśnienie w tym pięknym hallu w stylu Jugend dławilo ją niczym cmentarna ziemia.

- Duszno mi - mruknęła i otworzyła drzwi wejściowe. Stała na progu i łapczywie, ze świstem wciągała w siebie świeże powietrze, dopóki Jordi spokojnie nie wprowadził jej znowu do środka.

- To co, możemy iść? - spytał z pozoru lekko i zwyczajnie.

Ty czujesz to samo co ja, myślała Unni. Tylko że ty potrafisz nad tym zapanować.

Z niepewnym uśmiechem wróciła do swoich przyjaciół i do zdumionego Miguela.

- Po prostu zakręciło mi się w głowie - wyjaśniła. - Niedocukrzenie krwi. Może ktoś ma kawałek czekolady albo coś w tym rodzaju?

Bezradność

Pięciu czarnych rycerzy siedziało na koniach w galicyjskim deszczu, nie zauważając nawet, że ulewa przenika na wylot ich transparentne postaci.

Rycerzami targały mieszane uczucia, pełne napięcia oczekiwanie i głęboki smutek.

„Teraz nasi przyjaciele zaszli tak daleko, że nie jesteśmy w stanie im pomóc - rzekł don Federico z ponurym westchnieniem. - Nie mamy ani mocy, ani prawa interweniować w tym stadium”.

Przez chwilę milczeli.

„Jak dotychczas radzą sobie znakomicie” - stwierdził don Galindo.

„Wyjątkowo - odparł don Federico. - No i teraz są na właściwej drodze. A jak z twoimi, którzy udali się do Nawarry, don Ramiro?”

„Trzymają się rady, jaką dostali od przyjaciół. Ale jest coś, co mnie niepokoi...”

Pozostali rycerze zgadzali się z nim. Oni też wyczuwali coś niedobrego.

„Nie powinni włączać do sprawy tak wielu z zewnątrz - rzekł don Federico. - I Urraca prosiła, byśmy przesłali naszym pomocnikom stanowcze ostrzeżenie. Ale przecież nie możemy. Teraz już nie mamy do nich przystępu. A czarni kaci triumfują!”

„Pojęcia nie mam, co się dzieje - powiedział don Galindo. - Ale włączyły się do sprawy elementy, które boleśnie szarpią we mnie jakąś strunę. Boję się. Okropnie się boję!”

„Nie jesteś sam, jeśli o to chodzi - odparł don Sebastian. - Niech wszystkie dobre siły towarzyszą teraz naszym przyjaciołom!”

6

- No to co, możemy obejrzeć kryptę? - spytał Miguel z czarującym uśmiechem.

On jest naprawdę sympatyczny, pomyślała Unni, a Juana była oszołomiona.

Przyjaciele gotowi byli ruszać, Miguel wciąż jednak stał.

- Muszę państwu wytłumaczyć... otóż tutaj znajduje się zejście do piwnicy, ale wiedzie ono tylko do zwyczajnej jadalni. Natomiast... Ruszył przed siebie. Znaleźli się w pięknym pokoju, urządzone w tym samym stylu Jugend czy też Art Nouveau, jak to się inaczej nazywa. Pokój był jedynie w części umeblowany, choć zakurzony i opuszczony. Można było stąd zajrzeć do sąsiedniego pomieszczenia i goście odnieśli wrażenie, że dałoby się tak obejść cały dom, przechodząc przez ciąg pokoi, zwracających się w stronę patio, pokryte zwiędłymi liśćmi.

Sprzątanie najwyraźniej nie było częścią obowiązków Miguela. Nie, zresztą jest na to zbyt elegancki.

Miguel zatrzymał się w oddalonym pokoju na tyłach domostwa. Leżał tam na podłodze bardzo piękny, szlachetny dywan i Miguel poprosił, by panowie pomogli mu go zwinąć.

Pomagali wszyscy, przesuwali meble i rolowali dywan, wzbijając tumany kurzu.

W podłodze ukazała się ledwie widoczna pokrywa.

Mężczyźni unieśli ją w górę i odsunęli. Jordi podał swoją latarkę Miguelowi, który przez chwilę się z nią mocował, jakby nie umiał jej zapalić. W dół do piwnicy wiodła stroma drabina. Miguel wszedł na nią, skrzypnęła, ale udźwignęła go, wobec czego reszta też zaczęła powoli schodzić. Znaleźli się w mrocznym korytarzu.

Unni również miała małą latarkę, liczyli się bowiem z tym, że w grobowej krypcie może być dość ciemno. Podała ją teraz Jordiemu.

- Znajdujemy się pod starym kościołem - tłumaczył Miguel, a jego głos dudnił głucho i jakoś martwo pod kamiennym sklepieniem i gęstymi pajęczynami zwisającymi zewsząd. - Proszę za mną.

Posuwali się długim i krętym korytarzem, po nierównym gruncie, po obu stronach mijali otwory drzwiowe pozbawione jednak drzwi. Niektóre z nich miały jeszcze zardzewiałe żelazne sztaby i skoble od zewnętrznej strony. Unni dostrzegła jakąś nagą czaszkę i zrozumiała, że idą przez sklepienie grobowce. Katakumby!

W końcu weszli pod wysoki strop i zatrzymali się. Unni dygotała. Na dole było zimno i wilgotno. Wszyscy mniej lub bardziej dyskretnie ocierali z twarzy i ubrań pajęczynę. Unni musiała ją zdmuchiwać z warg.

Miguel przesuwając latarkę oświetlał pomieszczenie. Również stąd rozchodziły się w różnych kierunkach korytarze, ale uwaga wszystkich koncentrowała się na tej krypcie z kamieniami i żelaznymi kratami, zawalającymi wejście.

- Krypta San Garaldo - oznajmił Miguel. - To tutaj było przechowywane Święte Serce Galicii.

- No właśnie, jak to brzmiała ta historia? - spytała Unni mając nadzieję, że jej głos jest mniej agresywny niż uczucia, jakie ją przepełniały w atmosferze panującej pod tymi ponurymi sklepieniami.

Ponownie wyglądało na to, jakby Miguel szukał w pamięci w taki sam dziwny jak poprzednio sposób. Jakby zbierał informacje dawno zapomniane w jakiejś mózgowej niszy. A potem powiedział, że Serce zostało ukryte w największej tajemnicy, żeby nikomu nawet do głowy nie przyszło go szukać. Wydobywano je tylko na wielkie uroczystości kościelne i w procesji niesiono przez miasto do katedry. Około roku 1480 odkryto jednak, że San Garaldo nie był żadnym świętym, ale po prostu zwyczajnym złodziejem i oszustem, nikt więc nie chciał, by Serce przebywało w takim zbrukany miejscu. I właśnie z tego powodu przekazano klejnot buntownikom, za plecami władzy ale z przyzwoleniem ludu. Od tej pory, przez ponad pięćset lat nikt go nie widział.

- A krypta została rzecz jasna uprzątnięta - zauważył Pedro.

- Oczywiście! Wyrzucono Garalda, wyrzucono wszelkie świętokradztwo.

Pedro wahał się przed zadaniem kolejnego pytania:

- Miguel... Bardzo.... Bardzo nam pomogłeś, jesteśmy ci za to serdecznie wdzięczni... Ale, czy moglibyśmy wejść na chwilę do krypty sami? Chętnie byśmy się jej przyjrzeni i porozmawiali o pewnej sprawie. Prywatnie.

- Naturalnie - odparł z największą uprzejmością. - Zaczekam na górze.

- Bardzo dziękuję - rzekł Pedro pospiesznie. - Wolałbym jednak, żebyś czekał tu, na dole, nie jestem pewien, czy sami znajdziemy drogę powrotną.

Miguel skinął ze zrozumieniem.

- Zaczekam w tamtym korytarzu - powiedział i odszedł. Reszta wdrapała się na zwały gruzu i żelastwa, by wejść do krypty.

Pedro powiedział cicho, ostrzegawczym tonem:

- Głos niesie się daleko w tych katakumbach. Jeśli ktoś chciałby powiedzieć coś

szczególnie ważnego, niech mówi po norwesku!

Rozumieli go. Juana obiecała, że nie będzie przekazywać żadnych ważnych informacji. Co najwyżej, dopóki nie wyjdą na zewnątrz, będzie się z nimi porozumiewać na migi.

Krypta Garalda była, jak się już wcześniej dowiedzieli, kompletnie pusta. Gnieździły się tu jedynie pająki, za to w potwornych ilościach. Kamienna trumna z podniesionym wiekiem wskazywała, gdzie w swoim czasie leżały małe święte szczątki, zaś mniejsza szkatuła ustawiona na postumencie musiała być schronieniem Świętego Serca. Wewnątrz wciąż jeszcze znajdowały się resztki drewnianej skrzynki i strzępy jakiegoś materiału, aksamitu lub sukna, trudno teraz rozstrzygnąć tak bardzo były zakurzone. Przypuszczalnie myszy triumfalnie wyniosły większość i wyścieliły sobie gniazda.

- No tak, stąd niewiele dałoby się zabrać - powiedziała Unni po norwesku, kiedy obejrzeliby dokładnie całe pomieszczenie i przeszukali kąty.

Gudrun odpowiedziała w tym samym języku:

- Ale w dokumentach, które znalazła Juana zostało napisane, że właśnie tutaj, w krypcie San Garalda, powinna znajdować się informacja, dokąd zostało przeniesione Święte Serce.

- A myślisz, że przed nami nikt krypty nie przeszukiwał? - mruknął Jordi. Niechętnie, jakby wbrew sobie odgarnął ze ściany gęstą pajęczynę i...

- Jordi - szepnęła Unni.

Pozostali natychmiast spojrzeli w tamtą stronę.

- Co się stało? - spytał Jordi, niczego nierozumiejąc.

- Nie widzisz?

Wszyscy patrzyli na ścianę za postumentem, na którym kiedyś stało Święte Serce.

- Nie, a co?

- Spójrzcie w górę. A potem niżej, w dół - szeptała Unni, chyba niepotrzebnie, skoro i tak rozmawiali po norwesku.

Ponieważ nadal nikt nic nie widział, Unni zaczęła przesuwając palec po licznych pęknięciach w murze. W pokrywającym ścianę kurzu jej palec kreślił jakiś skomplikowany wzór w miejscu, które Jordi uwolnił spod pajęczyny.

Skończyła.

Wyraźny ślad znaczył drogę jej palca.

Teraz zebrani spoglądali po sobie. W grubym murze było oczywiście mnóstwo pęknięć i szczelin, biegnących wzdłuż i w szerz, ale Unni wyznaczyła wyraźny wzór, całkiem

wyjątkowy.

- Róża! - wyszeptała Gudrun. - Róża z herbu. I habitu Jorgego.

- Nigdy nie zdołaliśmy pojąć jej znaczenia - rzekł Pedro po hiszpańsku, bowiem akurat te słowa brzmiały najzupełniej obojętnie. - A więc i tutaj ją mamy!

W największym zdumieniu przyglądali się swojemu znalezisku - róży.

- Ale jaka wielka - powiedziała Gudrun.

- To dlatego, żeby trudniej ją było odkryć - wyjaśnił Jordi. - Dla kogoś, kto nie zna znaków rycerzy ten rysunek jest nie do pojęcia.

„Bloczek muru pośrodku”, zasygnalizowała Juana na migi.

Jordi i Pedro natychmiast tam podbiegli. Opukiwali brzegi, starali się podważyć kamień, ale nic się nie działo.

Gudrun położyła dłoń na środku tego bloku i przycisnęła, wsunął się trochę do środka, ale w tej pozycji wcale nie byłoby łatwiej go wyjąć. Wręcz przeciwnie.

Dopóki nie dostrzegli czegoś jeszcze. Kiedy Gudrun naciskała blok, poruszał się nieco mniejszy kamień z boku. Nacisnęła więc jeszcze raz mocniej i boczny kamień wysunął się do przodu. Pedro i Jordi natychmiast go wyciągnęli.

Ukazał się czarny otwór.

Pusty?

Może ktoś już tu przed nimi był? Rozczarowanie sprawiło, że Unni głośno przełykała ślinę.

Jordi się jednak nie poddawał. Skierował światło latarki w otwór.

- Jest zdaje się głęboko. - Wsunął rękę do środka. - Jeśli teraz ugryzie mnie jakiś szczur, to...

Łokciem opierał się o krawędź otworu i przeszukiwał jego wnętrze, po czym bardzo wolno wyjął rękę. Twarz mu jaśniała, w dłoni trzymał kawałek skóry. Taki jak ten, który sprowadzał na Unni makabryczne wizje.

- Za nic na świecie tego nie dotknę! - zawołała Unni stanowczo. - Ale jest tam jakiś zapis?

- Mamy za słabe światło, żeby coś wyczytać - rzekł Jordi. - Ciekaw jestem, czy można stąd zatelefonować.

- Spróbuj - doradził Pedro. Jordi wykręcił numer Antonia. Czekali.

- Sygnał dociera - poinformował Jordi. - Ale jakoś słabo słychać.

W końcu odezwał się głos Antonia, chrypiące stakkato, dochodzące z bardzo daleka.

Jordi starał się wytłumaczyć jak najszybciej, zanim połączenie zostanie przerwane:

- Antonio, znaleźliśmy to, czego mieliśmy szukać. A co u was?

- Nadal szukamy.
- Rozglądajcie się za różą heraldyczną!
- Co takiego? Za jaką różą?

Dźwięk zanikł. Jordi skinął głową swoim towarzyszom.

- No to teraz powinniśmy stąd wyjść.

Schował telefon razem z kawałkiem skóry i zaczęli się wdrapywać na kupę gruzu w przejściu. Zawołali Miguela, który też zjawił się natychmiast.

- Niezbyt wiele do oglądania, co?

- Tak, wszędzie pusto - potwierdził Jordi. - Oj, moja latarka zgasła, Unni, chyba zapomnieliśmy zmienić baterie.

Stali w kompletnych ciemnościach.

- No właśnie, moja zgasła już przedtem - potwierdził Miguel pełnym skruchy tonem, jakby to była jego wina. - Upuściłem ją na podłogę, bardzo mi przykro! Ale ja znam drogę do wyjścia, idźcie po prostu za mną.

Unni odszukała po omacku rękę Jordiego i chwyciła mocno.

- Nie zostawiaj mnie - poprosiła, a on uspokajająco uściśnął jej dłoń.
- Chodźcie za mną - powtórzył Miguel. - Wszystko się ułoży.

Było ciemno jak w worku.

Powlekli się za młodym Hiszpanem. Jedyne co było słychać, to szuranie kroków na kamiennej posadzce. Ktoś z tyłu za Unni jakby się spieszył i potknął się na jakiejś nierówności Unni usłyszała żalony głos Juany, oboje z Jordim zatrzymali się, by pomóc poszkodowanej.

Kroki pozostałych oddalały się.

- Zaczekajcie na nas! - krzyknął Jordi. Juana stukła sobie kolano.
- To głupie, że wpadłam w panikę - roześmiała się nerwowo. - Ale wyobraziłam sobie, że ktoś za mną idzie.

Na stłuczonej nodze nie mogła stać. Unni i Jordi musieli ją podtrzymywać.

Daleko przed sobą usłyszeli głos Miguela:

- Idziecie?
- Pedro! - krzyknęła Gudrun. - Gdzie ty jesteś?
- Tutaj - rozległo się przed nią.
- Pedro, ja zablądziłam - skarżyła się Gudrun. - Znalazłam się w jakiejś niszy grobowej.

Tym razem Pedro nie odpowiedział.

- Idę jej pomóc - zdecydował Jordi. - A wy trzymajcie się razem i wolno idźcie za mną. Będziemy na was czekać.

- Nie odchodź - myślała Unni rozpaczliwie. Nie mogła jednak zostawić Juany.

Obie dziewczyny marzły w wilgotnych ciemnościach. Na zewnątrz trwał upalny dzień, więc kurtki i swetry zostawiły w samochodzie, teraz tego gorzko żałowały. Ciemność była niczym okropna, wroga ściana, otaczał je wilgotny chłód z liczących sobie setki lat murów. Unni próbowała przyspieszać, ciągnęła za sobą Juanę, bo również ona, Unni, wyobraziła sobie, że ktoś się za nimi skrada.

- Jordi! - krzyknęła.

- Jestem tutaj. - Jego głos docierał z bardzo daleka. - Ale Gudrun nie znalazłem.

- Miguel! - wrzasnęła Unni ile tchu w płucach. - Wróć tutaj i pozbieraj swoje zbłąkane owieczki. Nie pędź tak do przodu, niczym uczeń, któremu chce się siusiu!

Juana zachichotała histerycznie, ale Unni nie żartowała. Była wściekła i przestraszona.

Głos Miguela zadudnił pod sklepieniami. Brzmiał tak, jakby dochodził z innego korytarza, biegnącego równolegle z tym, na którym oni się znajdowali, Miguel jednak musiał być za nimi.

- Czekam na was tutaj.

- Czy jest jakieś boczne przejście do ciebie?

- Nie, niczego takiego nie ma. Musicie iść do przodu, później korytarz skręca w prawo i tutaj.

- No dobrze.

Nagle usłyszała, że kulejące kroki Juany oddalają się bardzo szybko. Widocznie młoda Hiszpanka postanowiła dogonić resztę, w szczególności Miguela.

- Juana, nie wpadaj w panikę. Musimy iść razem!

Unni zdała sobie sprawę z tego, że idzie jako ostatnia. Było to tak zaskakująco nieprzyjemne uczucie, że rzuciła się naprzód, jak do ucieczki, i teraz ona się potknęła.

Doznała szoku, mogłaby przysiąc, że ktoś jej podciął nogi.

Kiedy się pozbiierała i po omacku, trzymając się ściany, ruszyła przed siebie, usłyszała rozpaczliwy szloch Juany jakby w bocznym korytarzu, czyli tam, gdzie nie powinna była iść. Zaraz jednak zaległa cisza - Jordi? - zawołała Unni. Bez odpowiedzi.

- Juana! Gudrun! Pedro! Cisza jak makiem zasiał.

- Miguel, ty przeklęty idioto, gdzie się wszyscy podziali?

- Ja jestem tutaj - odparł spokojnie mniej więcej z tego samego miejsca, co poprzednio. - Czekam.

- To nie stój tam bezczynnie! Musisz odszukać nas wszystkich, czy ty tego nie rozumiesz?

Na jej gniewne zarzuty nie odpowiedział.

Unni bała się tak strasznie, że kręciło jej się w głowie. Przy upadku otarła sobie skórę na dłoniach. Nie wiedziała, czy ma szukać Juany, która wyraźnie skręciła w niewłaściwą stronę, czy starać się iść prosto i dojść do Jordiego. A zresztą, czy w ogóle istnieje jakieś „prosto”?

Zdecydowała się ratować Juanę.

Kiedy pod jej stopami coś zaczęło pękać z trzaskiem, zdała sobie sprawę, że jest w grobowej krypcie i depta po ludzkich kościach. W tej samej chwili usłyszała tuż obok szloch Juany.

No, nareszcie jakiś człowiek!

Śmiertelnie przerażona dziewczyna siedziała w kącie krypty.

- Nie byłam w stanie wołać - wykrztusiła. - To jest straszne, wszystko jest takie straszne!

Unni pomogła jej się podnieść i wolno wyprowadziła na korytarz.

Szły przed siebie, trzymając się ścian, całkowicie oblepione pajęczynami, i w równych odstępach czasu krzyczały do swoich towarzyszy. Od czasu do czasu otrzymywały też coś w rodzaju odpowiedzi, ale echo przetaczało się pod sklepieniami i trudno było się zorientować, kto woła i skąd. Cała dzielnica musiała być pocięta krzyżującymi się podziemnymi przejściami. Rozległe cmentarne lochy należące niegdyś do starego kościoła.

Juana całkiem utraciła odwagę i kurczowo trzymała się Unni, która ani trochę dzielniejsza nie była. A powtarzane nieustannie przez Juanę przepowiednie „nigdy stąd nie wyjdziemy” wcale nie dodawały jej optymizmu zwłaszcza, że i ona myślała podobnie.

Raz miały wrażenie, że słyszą głos Jordiego, wskazujący im, dokąd powinny się kierować. Ale co konkretnie chciał im przekazać, nie potrafiły rozróżnić. Beznadziejna sprawa.

I nagle rozległ się głos Miguela:

- Gdzie wy jesteście?

Unni ze strachu była zła jak osa.

- Skąd, do cholery mam to wiedzieć? A gdzie ty jesteś?

Odpowiedź zabrzmiała jakoś żałośnie:

- Nie wiem. Wszystko się poplątało.

Już miała wybuchnąć oskarżeniami, że jest nieudolny, bo zgubił latarkę, ale

przypomniała sobie, że przecież to ona zapomniała zmienić baterie w swojej, i że to ona go prosiła, nie, rozkazała mu, by ich szukał.

Teraz przydałaby nam się Vesla ze swoimi papierosami i zapalniczką, pomyślała. Ale przecież Vesla rzuciła palenie, kiedy się zorientowała, że jest w ciąży. Zresztą Vesla tutaj nie przyjechała.

- Tutaj? Do tych groteskowych, ciemnych korytarzy, w których człowiek traci orientację. I w których ludzie giną.

Zatrzymała się.

- Juana, jesteśmy pod jakimś wyższym sklepieniem, czuję to.

- Tak. Ja też.

Unni wyciągała przed siebie ręce, szukała, potknęła się na zwałowisku gruzu i żelastwa.

- O rany, Juana! Błądzimy w kółko! Jesteśmy znowu w krypcie Garaldo!

Nie powinna była tego mówić. Dziewczyna wrzasnęła „Nie!” i zaczęła głośno płakać.

- Jordi! - zawyła Unni zrozpaczona. Nareszcie konkretna odpowiedź. Ale głos należał do Pedra i docierał z oddali.

- Jordi jest tutaj. Słyszę, że woła, iż znalazł jakieś schody.

O Boże, Boże, może to prawda? Unni zagryzała swoje pocierane do krwi palce.

- A gdzie ty jesteś, Pedro?

- Tutaj.

- No, dziękuję - syknęła cierpko pod nosem, a głośno zawołała: - Świetnie, że mnie poinformowałeś, Pedro. Tylko mi znowu nie zniknij, my z Juana trafiłyśmy ponownie do krypty Garaldo. Powiedz, jak mamy do was dojść?

- Naprawdę tam jesteście? - zdziwił się Pedro. - To dobrze. Stań twarzą w stronę wnętrza krypty, a potem idź w prawo, do najbliższego korytarza! Posuwaj się nim prosto, nie skręcaj! Czekam tutaj, dojdiesz do mnie.

Unni chwyciła Juanę za rękę i postępowwała zgodnie z instrukcjami Pedra.

- Gdzie jest Gudrun? - zawołała.

- Z Jordim. On szukał ciebie, długo i rozpaczliwie, przy okazji natrafił na te schody i teraz oboje tam na nas czekają. A gdzie Miguel?

- *Lost in space* - odparła Unni i dodała cicho: - I to naprawdę nie ma znaczenia.

- Ale on był taki fantastyczny - zawodziła Juana. - Nie możemy go tak po prostu zostawić.

Unni zawołała go po imieniu. Juana poszła za jej przykładem.

Tym razem jednak otrzymały słabą odpowiedź z tak daleka, że w żadnym razie nie można jej było zlokalizować.

- Pedro! - krzyknęła znowu Unni.

- Jestem tutaj - odparł spokojny głos tak blisko, że obie podskoczyły z radości, a Juana zapiszczała przeciągle.

- Tutaj jest moja ręka - rzekł Pedro. - Chwyć ją. O, tak!

- O, Pedro, jak cudownie znowu cię widzieć - powiedziała Unni płaczliwie, bo to ona przez cały czas musiała zachowywać spokój i czasem bardzo trudno było jej powstrzymać łzy. Juana rzuciła się Pedrowi na szyję.

- Wybacz mi, jeśli poczynam sobie zbyt śmiało - poprosiła. - Ale to jakaś piekielna konstrukcja, te wszystkie korytarze i katakumby w podziemiach zniszczonego kościoła. Nic dziwnego, że ludzie uciekają z tego pięknego domu w stylu art nouveau. Nie zostawiajcie mnie teraz ani na sekundę!

Szły obok Pedra niczym małe dziewczynki, każda kurczowo ścisnęła jedną jego dłoń.

Pedro zawołał i teraz Unni usłyszała nareszcie głos Jordiego. Ze szczęścia wybuchnęła głośnym śmiechem.

Kierowali się w stronę tego głosu. To znaczy Jordi i Gudrun stali nieruchomo przy schodach i udzielali im wskazówek.

Tym razem się udało. Jordi był blisko, jego ramię spoczywało na barku Unni, dając poczucie bezpieczeństwa.

- Szukałem - powiedział jej szeptem. - Ale wszystko jest jakby zaczarowane, odmienione.

- Tak - potwierdziła Gudrun, przytulając się do Pedra. - Myślę, że każde z nas będzie miało do opowiedzenia własną historię.

- No właśnie, a co się stało z tobą? - spytała Unni. - W pewnej chwili zniknąłeś.

Ramiona Jordiego były dość szczodre, by objąć również Juanę.

- Gudrun trafiła do jakiejś bocznej krypty, potknęła się i wpadła do dziury. Uderzyła się tak mocno, że nie mogła odpowiadać na wołania moje i Pedra, w końcu jednak udało mi się ją znaleźć. Tylko że z wami już się rozdzieliła.

- A ja kręciłem się w kółko - wyjaśnił Pedro. - Nigdy w życiu nie czułem się taki samotny.

- O tak, ja znam to uczucie - westchnęła Unni z drżeniem. - To co, wychodzimy na górę?

- No a Miguel? - spytała Juana.

Zawołali go chórem i Miguel odpowiedział, tym razem był jakby nieco bliżej.

- Natrafiliśmy na schody! - zawołał Jordi. - Znajdziesz drogę do nich?

- Spróbuję! A wy wejdźcie na górę, może uda wam się wpuścić tu trochę dziennego światła!

Dobry pomysł. Zaczęli badać te stare, skrzypiące schody, Jordi, najcięższy ze wszystkich, przeczołgał się na kolanach, na szczęście nikt nic sobie nie zrobił. Chociaż Unni, rzecz jasna, nie mogła się powstrzymać od swoich przycinków.

- Wychodź pierwszy, to zdążę odskoczyć, gdybyś miał spaść.

U szczytu schodów znajdowało się coś w rodzaju podestu, powoli i uważnie badali ściany, aż natrafili na drzwi.

Klamka? Tak, tutaj...

- Chyba znajdujemy się na poziomie ulicy - westchnęła Gudrun. - Bogu dzięki!

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i wędrowcy stanęli rozczerowani. Ciemności były równie gęste jak przedtem.

- Muszą być jeszcze jedne drzwi - mruknął Pedro. Ale nie, jednak nie było tak strasznie ciemno. Z wolna na górze rozrastała się plama czerwonego światła.

I wtedy drzwi za nimi zatrzęsnęły się z głuchym grzmotem.

- Miguel został po tamtej stronie! - krzyknęła Juana, która nie zrozumiała, co się dzieje.

Jordi natomiast rozumiał.

- Poznaję to miejsce - powiedział cichym, niemal złowieszczym głosem. - Weszliśmy na górę, do drugiego kościoła. Tego, który później został zmieniony w klasztor. Znajdujemy się w kościele z piętnastego, wieku, czyli na terytorium mnichów! Dokładnie tak samo było wtedy ze mną. Tam dalej jest krata na całą ścianę, przy której się ukryłem.

Przedmioty, detale, wszystko stawało się coraz wyraźniejsze. Palenisko, na którym leżały rozpalone miecze i narzędzia do tortur. Ława z kręcącymi się zębami do odzierania ciała ze skóry. Obręcz, która powoli dusiła torturowanego nieszczęśnika, potworne narzędzie zwane miedzianym bykiem. Zawieszane pod sufitem klatki, w których ofiary konały z głodu oraz mnóstwo diabelnie wyrafinowanych instrumentów.

W chybotliwym, czerwonym blasku ognia pojawiły się pełne oczekiwania gęby sześciu katów inkwizycji. Zrozpaczona Unni zdała sobie sprawę, że bluzy ze znakami rycerzy zostały w samochodach. Nikt przecież nie przypuszczał, że stary dom patrycjuszowski może kryć w swoich murach taką groźbę!

Tym, co najbardziej rzucało się w oczy, była wysoka skrzynia, podobna do tych, jakie

w starożytnym Egipcie służyły do składania mumii w grobach. Wieko było podniesione, mogli więc bez trudu zauważyć długie, ostre gwoździe, jakimi było naszpikowane wnętrze.

La virgen de hierro.

Żelazna dziewica.

CZEŚĆ DRUGA
RÓŻE Z MINIONYCH DNI

Furioso:

Tabris, demon szóstej godziny, wylądował na równinie. Czekał na swoją koleżankę Zarenę, ducha zemsty.

W podziemnym królestwie ciemności Tabris nie miał dobrej marki. Był przecież duchem wolnej woli, a to naprawdę nic, czym można by się chwalić w świecie zła. Zarena była zła, naprawdę zła, jako duch zemsty. Ale wolna wola? A na co to komu?

Tak więc ziemskie zadanie miało być dla Tabrisa próbą. Jeśli sobie z nim poradzi, pójdzie w górę w hierarchii, a jeśli nie, to będzie z nim marnie.

Najgorsze, co mogłoby spotkać demona, to stać się śmiertelnym. Mieć ograniczony czas życia. Tym właśnie straszyl księżę ciemności, bowiem nie lubił demonów z rodu Nuctemeron. Reprezentowały one po części wątpliwe elementy. Takie jak dobra wola, sympatia, godność, panowanie nad szlachetnymi kamieniami... co z czymś takim robić?

Tabris starał się, jak mógł, by zadowolić swojego pana. Musiał to robić, i chciał. To była jego wolna wola.

Gdyby tylko nie... Przeniknął go dreszcz. Ta dziewczyna, jak to ona ma na imię? Unni? I mężczyzna, który jakby jest, ale jednocześnie go nie ma. Co w nim siedzi?

Tabris poczuł, że strach przed nieodgadnionym paraliżuje jego ciało. Zadanie wydawało się takie proste.

Ludzie. Beznadziejne stworzenia. Ale czy naprawdę jest tak prosto?

Zaszumiało w powietrzu, zaświstało i tuż obok Tabrisa wylądowała Zarena, składając skrzydła i chichocząc ponuro.

- Dziecinna gra - powiedziała. - Że też ludzie mogą być tacy głupi!

- No - mruknął Tabris. - Co się stało?

- Ech, ciebie to nie dotyczy. Ale dla mnie to zbyt łatwa praca. Dwaj młodzi ludzie, jeden aż się ślini na mój widok. Drugi jest przystojny i odrobinę mi się opiera. To lubię. To pobudza moje zmysły.

- A kobiety? - spytał Tabris krótko.

- Phi! Jedna ma muskuły, co ty na to? A druga jest stara.

Umilkła z obrzydzeniem.

- A u ciebie jak tam?

- Wykonałem moje pierwsze zadanie.

- Nie o to pytam. Jacy są twoi ludzie?

Cień przemknął przez demoniczną twarz Tabrisa.

- To znaczy... Ja mam ich pięcioro. Dwoje, którzy...

- Tak?

- Nie bardzo wiem, co o nich myśleć - A to dlaczego? Nie stój no tu i nie jąkaj się, gadaj, o co chodzi! - prychnęła Zarena, aż się zaiskrzyło.

Nie cierpieli się nawzajem i oboje dobrze o tym wiedzieli. Tabris odpowiedział jej gardłowym warknięciem, niczym wilk.

- Ten jeden mężczyzna... Po prostu nie wiem, kim on jest.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- No właśnie, że nie wiem - warknął znowu Tabris zirytowany. Podejrzewał, że Zarena jest tu między innymi po to, by go obserwować. - A jedna z młodych dziewcząt... Ona się za wiele domyśla, zbyt dużo przeczuwa. Widocznie jest jedną z tych obdarzonych nadprzyrodzonymi zdolnościami. Myślę, że oboje są dla nas groźni.

- Dla ciebie, chciałeś powiedzieć. Te twoje ludzkie kreatury mnie nie interesują.

Tabris jej nie słuchał.

- Druga dziewczyna... z tego kraju... - Umilkł. Potem potrząsnął głową.

- Nie, ale nasze sępy powinny być teraz zadowolone. Wepchnąłem ofiary prosto w ich ramiona - Tabris zrobił niecierpliwy ruch. - Nie, nie chcę o tym rozmawiać!

- Użalasz się nad sobą? - skrzywiła się Zarena.

- Nie, no coś ty!

Wzajemna wrogość zdawała się wibrować w powietrzu.

Po chwili Zarena rzekła:

- Mówiłeś, że wykonałeś swoje pierwsze zadanie. A zatem miałeś więcej?

- Podobnie jak ty. Nasz Mistrz chciał wiedzieć, czym oni się zajmują. Musimy im towarzyszyć do celu. Każde z nas na swoją rękę. Na żadną współpracę nie mam ochoty.

- Patrzcie jak wzruszająco jednomyślni jesteśmy! Tylko skoro wepchnąłeś ich w szpony tych ponurych sępów, to jakim sposobem dotrą do celu?

- Guzik cię to obchodzi!

Chęć walki zwyciężyła. Tabris był taki wściekły, że miał zamiar zaatakować Zarenę. Ona jednak trzasnęła go tym swoim trójkątnym ogonem z taką siłą, że zawył z bólu. Oboje uznali, że najlepiej będzie zakończyć spotkanie. Ciężko machając skrzydłami opuścili równinę, każde udało się w swoim kierunku.

Słońce malowało na złoto jesienny krajobraz Nawarry z winnicami i rozległymi dolinami. W ten smutny poranek Antonio stał przy oknie starej królewskiej twierdzy Olite. Dla niego wszystko było niezwykle piękne, nawet się bowiem nie domyślał, jaki straszny los spotkał jego przyjaciół.

To oczywiście frustrujące, szukać i niczego nie znajdować! Cały wczesny poranek, od świtu, przeszukiwali królewską twierdzę, ale czynili to bardzo dyskretnie. Rezultatów jednak nie było żadnych, głównie dlatego, że nie wiedzieli, czego szukają, a poza tym liczne pokoje były dla nich niedostępne. To wszystko zabierze z pewnością wiele czasu.

Antonio przed chwilą rozmawiał z Veslą, dlatego był w takim znakomitym humorze. No a poza tym słońce też robiło swoje. W uszach wciąż jeszcze brzmiał mu kochany głos Vesli. Dowiedział się, że z nią wszystko w porządku i że nie powinien się o nią martwić.

Tymczasem w domu w Norwegii Vesla sprzątała ze stołu po śniadaniu. Nie wspomniała mężowi ani słowem o bolesnych skurczach, które się od czasu do czasu pojawiają i bardzo ją niepokoją. Vesla, pielęgniarka z zawodu, wiedziała sporo o swoim zdrowiu. Za nic by nie chciała urodzić dziecka, które pierwsze dni swojego życia spędzi w inkubatorze. Większość takich noworodków wprawdzie wychodzi z tego bez szwanku, ale wcześniakom zawsze towarzyszy tyle lęków i niepokoju, zwłaszcza tym, które urodziły się szczególnie wcześnie. Teraz Vesla przeszła już przez najgorsze stadium, mimo wszystko jednak nie przestawała się bać. Dręczyły ją te nieustanne rozmyślania, znała innych rodziców oraz ich obawy, że dzieci będą miały jakieś wady właśnie dlatego, że urodziły się za wcześnie, będą opóźnione w rozwoju intelektualnym lub motorycznym. Że będą miały problemy w szkole. Nie będą nadążać za innymi albo w jakiś inny sposób odstawać od rówieśników. Dzieci są tak niewiarygodnie okrutne wobec siebie nawzajem, skłonne do dyskryminacji. Jeśli mogą poniżyć kogoś po to, by samemu znaleźć się nieco wyżej w klasowej hierarchii, to czynią to z wielką ochotą. Mówi się o takim zachowaniu mobbing, a człowiek, który by sobie poradził ze złośliwością dzieci wobec innych dzieci, powinien dostać pokojową Nagrodę Nobla. To by bowiem oznaczało lepszy start dzieci w dorosłe życie i być może też powstrzymało agresję dorosłych.

O, rany, a ja stoję w kuchni i roztrząsam problemy moralne i naiwne utopie, uśmiechnęła się Vesla sama do siebie.

Tęskniła za Antoniem. Jaka byłaby bezpieczna, mając go przy sobie, ciężko znosić

jego nieobecność, kiedy go najbardziej potrzebuje.

Dokładnie to samo myślał Antonio w zalanej słońcem Nawarze. Vesla była nieodmiennie w jego myślach, wiedział jednak, że Jordi i pozostali przyjaciele też bardzo go potrzebują. Dwaj bracia dotrą do celu... Nienawidził tej przepowiedni!

Ale kto powiedział, że należy wierzyć przepowiedniom?

Jak to kto? Wszyscy ci, którzy mają do czynienia z zagadką rycerzy, niestety.

Przyszła do niego Flavia. Elegancka Flavia, wciąż jeszcze prawdziwa piękność mimo wieku i pewnej nadwagi. Antonio powitał ją uśmiechem.

Flavia stanęła obok i patrzyła w dal na miasteczko Olite i rozległy widok poza nim.

- Martwi mnie Morten - powiedziała cicho.

- Mnie też. Nie powinien ranić Sissi, która tak jest do niego przywiązana. Bardziej niż on sobie zasługuje.

- Owszem, a tymczasem ta baba na korytarzu...

- Widziałem ją. Rzeczywiście jest na co popatrzeć, ale... ona mi się nie podoba.

- Ani mnie. Te kocie oczy...

Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się, radzi, że tak dobrze się rozumieją. Flavia spoważniała.

- Antonio, ja nie zostanę z wami do końca.

- Nie? Przykro mi to słyszeć!

- Dziękuję, ale... Ulotnię się, jak tylko spotkamy tamtą grupę.

A więc tak bardzo ją zerwanie z Pedrem zabolalo? Nigdy właściwie tego nie okazywała. No ale Flavia jest światową kobietą.

Dumną i okazującą szacunek innym.

- Rozumiem - westchnął Antonio. - Mam nadzieję, że jeszcze zmienisz zdanie, Flavio. Bez ciebie to już by nie było to samo.

- Jak ładnie z twojej strony, że mi to mówisz. Żeby jednak zmienić temat, miałeś jakieś wiadomości od tamtych?

- Dzisiaj nie. Zaraz zadzwonię do Jordiego.

I to wtedy otrzymał radę, że powinni szukać w sali, gdzie kiedyś zjawił się don Ramiro.

Dodało mu to animuszu. Antonio zebrał swoje oddziały (w sile osób trzech) i rozpoczął poszukiwania w sali.

Nikt im nie przeszkadzał, większość gości wyszła zwiedzać miasto, a pokojówki pracowały na piętrze. Słyszeć było szum odkurzacza.

Czwórka przyjaciół zaglądała pod obrazy, szperała we wszystkich kątach i wnękach, ale wciąż po omacku. Rozglądali się za jakąś wskazówką, która by ich poprowadziła dalej do celu... Ale nikt nie wiedział, jakby ta wskazówka miała wyglądać. Może po prostu nic takiego nie istnieje? Albo też coś kiedyś istniało, ale zostało w ciągu minionych stuleci zniszczone. Restauracja twierdzy, przebudowa na hotel, kolejne remonty, to wszystko mogło naprawdę wiele zmienić.

Ta sala jednak wyglądała na autentyczną, taką jaką była przed wiekami. Wszystko wskazywało na to, że niewiele tu zmieniano.

Sissi drżała z przejęcia. Była nowa w tym gronie, płonęła entuzjazmem, wiedziała, że to będzie przygoda jej życia. Była tu razem z fantastycznymi ludźmi, a najwspanialszym z nich jest oczywiście Morten.

Zaczynała naturalnie podejrzewać, że nie jest on taki wyjątkowy, jak sądziła, Sissi miała jednak w sobie wiele szczodrości, uważała, że przyjaciół należy akceptować ze wszystkimi ich słabościami i wadami, przynajmniej dopóki nie przekraczają granicy, za którą nie ma już wybaczenia.

Morten był tego dnia zamyślony i niedostępny, co czyniło ją nieszczęśliwą. Czyżby przestał ją lubić?

Sissi była dorosłą kobietą, a przynajmniej prawie dorosłą. Teraz żałowała swojego mało wartościowego życia, które spędzała w towarzystwie kuzynów Hassego i Nissego. Wtedy całą duszę wkładała w osiągnięcie celu, pragnęła mianowicie dorównywać chłopcom, być jak oni silną, umięśnioną i bez lęku towarzyszyć im w karkołomnych eskapadach. Z dumą patrzyła, jak mięśnie prężą się jej pod bluzką. Biodra miała wąskie, a ramiona szerokie, chłopcy traktowali ją jak równą sobie.

Teraz jednak, jak powiedzieliśmy, Sissi była dorosła. I zakochana. Bardziej kobiece cechy doszły do głosu w jej charakterze, gorzej natomiast było z kobiecymi kształtami i zachowaniem. Niewiarygodnie trudno było przestać chodzić jak chłopak, nie kłąć, nie uderzać pięścią w stół, nie wołać głośno, by podano coś do jedzenia.

I za nic na świecie Morten nie może się dowiedzieć, że ona mogłaby go podnieść, przerzucić sobie nad głowę i zakręcić się z nim w kółko.

Na myśl o czymś takim wybuchnęła śmiechem, ale był to gorzki śmiech.

Sissi podziwiała Flavię i starała się zachowywać jak ona. Nie było to proste, o wiele łatwiej było się zapomnieć.

Dotychczas nie poszła jeszcze z Mortenem do łóżka. On był w niej zakochany, wiedziała o tym, często ją całował, obejmowali się i szeptali sobie na ucho urocze wyznania.

Ale Sissi się bała. Starła się panować nad sytuacją, odwlekać tę chwilę jak się da, nie chciała, by się przeraził jej siłą i jej męskimi mięśniami.

Właściwie był to lęk przesadzony, bo te mięśnie ukazywały się, kiedy je napinała. A siły przecież nie musiała demonstrować w łóżku. Sissi jednak miała uzasadnione podejrzenie, że ich związek jest raczej kruchy i że wiele nie znieśie. Jeszcze nie teraz.

Tak bardzo chciałyby być kobieca! Pojęcia jednak nie miała, jak to osiągnąć, i wydawała się sobie śmieszna, kiedy próbowała.

Przyjaciele usiedli w salonie, na niewygodnych kanapach. Poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu, żadnych dobrych pomysłów, niczego.

I właśnie wtedy Antonio dostał ów tajemniczy telefon od Jordiego.

Bardzo trudno mu było zrozumieć, co starszy brat mówi. Warunki połączenia nie mogły być gorsze.

Co ten Jordi próbował mu przekazać? Że znaleźli to, czego szukali?

I jeszcze coś powiedział: heraldyczna róża?

Antonio prosił go, by powtórzył, ale wtedy połączenie zostało przerwane.

Próba zatelefonowania do brata na nic się nie zdała. Kobięcy głos zameldował, że abonent znajduje się poza zasięgiem.

Antonio spoglądał na swoich towarzyszy i powtórzył, czego się dowiedział.

- „Szukajcie heraldycznej róży?” - mamrotał Morten, który nieustannie spoglądał w stronę sąsiedniej sali, gdzie spodziewał się zobaczyć swoją bujną blondynę. - Co on chciał przez to powiedzieć?

- To chyba nie tak trudno pojąć - rzekł Antonio gniewnie, był bowiem bardzo zirytowany zachowaniem Mortena. - Róża z herbu i z habitu Jorgego.

Sissi poprosiła, by jej narysował tę różę.

Antonio narysował.



- Ależ ja ją widziałam! - krzyknęła Flavia z przejęciem.

- Tutaj, w tej sali? Włoszka była zakłopotana.

- Tak. Nie. To był koniec czegoś, nie pamiętam czego. Brunatne drewno.

- O, tego to akurat tutaj jest pod dostatkiem - rzekł Morten złośliwie.

Sissi i Antonio już się zerwali na równe nogi i szukali. Oglądali oparcia krzeseł i okienne parapety. Ramy obrazów. Ławy. Okna...

- Okno! - zawołała znowu Flavia. - To było okno! Ale nie tutaj wewnątrz.

- Otwierałaś jakieś okno - podpowiadał Antonio bez tchu - Tak, to jedyne, które można otworzyć. Tutaj! Zwinne palce prześcigały się, by je otworzyć. Ramy z wążutkami szprosami.

Flavia pierwsza wyrzała przez otwarte okno. To przecież ona widziała różę.

- Tam! - pokazała w górę, w prawo skos. Tłoczyli się, by zobaczyć. Wieżyczka piętro wyżej.

Piękne ornamenty w drewnie od dołu, które podtrzymywały całą konstrukcję, zakończone były heraldyczną różą.

- O rany boskie! - jęknął Antonio. - Jak my się tam dostaniemy?

Okno pod wieżyczką było hermetycznie zamknięte. Może niegdyś, za czasów rycerzy, znajdowało się tutaj inne okno, które dawało się otwierać? Teraz nie istniała taka możliwość, żadnych zamków, haczyków, niczego.

Do ziemi było stąd daleko.

- Co się tam mieści na górze? Musimy wejść do tego pokoju - powiedziała Flavia. Antonio mierzył odległość wzrokiem.

- Pokój jest wynajęty - oznajmił. - Chyba tej parze starych, niesympatycznych Holendrów.

- No nie, ich nie możemy prosić, żeby nam pozwolili przejść przez swój pokój - stwierdziła Flavia. - Ale co zrobimy w takim razie?

- Ja mogłabym się wspiąć - ofiarowała się Sissi chętnie.

Przyjaciele spoglądali na nią sceptycznie.

- Ty? - zdumiał się Morten. - Na pewno się nie odważysz!

Dziewczynę ogarnął duch walki.

- Oczywiście, że się odważę! Jeśli tylko podtrzymacie mi nogi.

- Nie, no, ale... - jąkała się Flavia zdumiona. Antonio już zdążył ocenić możliwość.

- Jesteś mała i lekka. Ale czy wystarczająco silna?

- Oczywiście! - zawołała z przechwałką. - Widzisz ten gzyms, tam w górze? Jeśli tylko zdołam się go złapać, to ześlizgnę się w dół na tę przybudówkę.

Nagle zdała sobie sprawę, że Morten stoi obok i patrzy na nią z politowaniem. O, nie, znowu zapomniała, że powinna być bardziej kobieca! Spuściła głowę zawstydzona.

- Ech, chyba nie da się tego zrobić - westchnęła cicho. Antonio pozostawał nieczuły na to, co się działo między młodą parą.

- Ale to nasza jedyna szansa - powiedziała ponownie wyciągając głowę w górę. Po tej stronie twierdzy nikt nie mógł ich zobaczyć z bliska. Gdyby natomiast na dole w mieście ktoś

ich obserwował, to i tak by się nie domyślił, co robią.

- Sissi, podniosę cię tak wysoko, jak tylko zdołam. Morten, przynieś linę z mojej torby! Zamocuję ją Sissi w pasie, a drugi koniec przywiążę do nogi łóżka. Ale Sissi, to mimo wszystko będzie śmiertelnie niebezpieczne!

Sissi upewniła się, że Morten opuścił salon.

- Uwierz mi, robiłam znacznie gorsze rzeczy! Tylko nie mówcie o tym Mortenowi! Pomacaj!

Pozwoliła, żeby Antonio dotknął jej napiętego mięśnia.

Roześmiał się zdumiony.

- Flavia, to naprawdę wielkie przeżycie!

Flavia też pomacała i rzekła z pełnym zrozumienia uśmiechem:

- Nie możemy powiedzieć nic Mortenowi, bo by się nabawił kompleksów. On wciąż jest w takiej wrażliwej fazie życia. Jeszcze nie odzyskał pełni sił po wypadku.

Czy można odzyskać siły, których się nigdy nie miało, myślał Antonio, głośno jednak powiedział:

- A oto i Morten z linką. Świetnie, w takim razie zaczynamy.

Bardzo starannie zamocował linę w talii Sissi i tłumaczył Mortenowi:

- Sissi jest jedyną osobą na tyle małą i drobną, że precyzyjnie się przez okno. Gdyby nie ona, to ty Mortenie musiałbyś wejść na górę.

Morten rzucił ukradkowe spojrzenie w tamtą stronę, potem wolno popatrzył na dół i musiał bardzo nad sobą panować, żeby nie zadrzeć.

Sissi wyszła przez okno, odwróciła się i chwyciła górną część ramy.

Wyzwanie działało na nią stymulująco. W nosie mam kobiecość, myślała. To, co robię teraz, umiem najlepiej. Jeśli Morten nie zechce mnie taką jaką jestem, to my sobie... to my sobie pogadamy.

Czulą wokół kostek silne dłonie Antonia. Na nogach miała buty z grubymi protektorami, które dawały jej mocne oparcie. Sissi powoli przesuwiała się po parapecie. Teraz czekało ją najważniejsze - ucześć się występu w ścianie.

- Czy mógłbym w czymś pomóc? - spytał Morten, który miał wrażenie, że znalazł się jakby po kobiecej stronie, kiedy tak stał obok Flavii i tylko patrzył.

- Tutaj jest trochę ciasno, ale owszem, podłóż rękę pod jej lewą stopę! Tylko jako podpórę, nie próbuj jej dźwigać, twoje mięśnie nie są jeszcze dostatecznie wytrenowane.

- Mam kolosalnie rozbudowane mięśnie ramion - oznajmił Morten z dumą.

Bardzo dobrze, pomyślał Antonio. Bo gdybyś zobaczył ramiona Sissi... !

Morten trzymał jedną stopę Sissi w swojej ręce. Nie było miejsca na to, by oba jego barki znalazły się po drugiej stronie okna. Starał się nie okazać, że jego ręka pod ciężarem opada, gdy nagle Antonio rozkazał: „Teraz!” i Sissi złapała występ.

- Trzymajcie mocno! - zawołała.

Antonio uniósł jej drugą stopę. Znalazła oparcie na szprosie i Morten mógł z ulgą opuścić rękę. Ale zrobił swoje. Pomagał. A potem nie było już dla niego miejsca, bo Antonio zajął cały otwór okienny i przejął odpowiedzialność za cały ciężar Sissi. Szpros bowiem by jej nie utrzymał, stanowił raczej psychiczną podporę, to bardziej żdźbło niż oparcie.

Antonio z przerażeniem patrzył, jak Sissi wbija palce w nierówności muru. Trzymał jej stopę, jak długo mógł, ale ramię mu drętwiało od tego podnoszenia w górę, na dodatek w bardzo niewygodnej pozycji.

Sissi wyciągała całe ciało po prostu niewiarygodnie i w końcu udało jej się jedną dłoń zacisnąć wokół gzymsu. Po chwili drugą. Przekładała ręce jedną przed drugą i Antonio musiał pozwolić jej w ten sposób iść.

Ma linę w pasie, próbował się pocieszać.

Ta dziewczyna na pewno wspinała się przedtem w górach, myślał sobie. Z pewnością jest też wyćwiczona we wspinaczce na fasadach, ale jak długo teraz wytrzyma?

Sissi dotarła do nadbudówki. I znalazła się w znacznie lepszej sytuacji, bo mogła stanąć na zewnętrznym parapecie zabitego gwoździami okna. Chyba właśnie na to liczyła. U dołu przybudówki znajdował się ‘wypukły ornament, chyba jakaś rzeźba, której mogła się trzymać, co dawało jej znakomite oparcie dla jednej ręki. Drugą mogła badać różę.

Tam, gdzie stał Antonio, wiał rzeński wiatr. Z Sissi zawieszoną między niebem a ziemią musiało być gorzej. Antonio widział, że wiatr szarpie jej włosy.

- No i jak idzie, ja nic nie mogę zobaczyć? - spytała szeptem Flavia stojąca w salonie.

- *So far, so good* - mruknął Antonio. - Pilnuj tylko, żeby nikt teraz nie wszedł do salonu!

Morten obgryzał paznokcie. On też nic nie widział. Ale mocno trzymał linę i kontrolował, czy noga łożka wytrzyma szarpnięcie.

Sissi ściagała się z czasem, nie mogła tak stać w nieskończoność. Czy raczej wisieć, bo jednak cały ciężar jej ciała spoczywał na lewym ramieniu. Niewygodnie było badać różę tylko jedną ręką, bardzo by potrzebowała obu.

Naciskanie wyrzeźbionej w drewnie róży nie przyniosło efektu. Próby obracania jej też nie. Ani ciągnięcie. Róża była masywna, nie było od czego zacząć, żadnych pęknięć ani szpar, żadnych inskrypcji. Krótko mówiąc plan zdawał się spełzać na niczym.

Musi być jakaś inna róża w innym miejscu. Albo może Antonio źle zrozumiał szyfr, którym posługiwał się Jordi.

Nogi zaczynały jej drżeć od wysiłku, z jakim starała się je utrzymać na parapecie.

Sissi gorączkowo wodziła palcami po całej rzeźbionej podstawie nadbudówki. I nagle...

- Oj - jęknęła.

- Co takiego? - spytał Antonio.

- Najwyraźniej coś znalazłam. Co jest dokładnie pode mną? Teraz nie mogę odwrócić głowy.

- Po prostu dziedziniec. Coś co przypomina asfalt. Co tam masz?

- Róża siedzi mocno, ale duża część podstawy, razem z różą jest ruchoma. Co mam zrobić?

- Nie, nie możesz tego zrzucić na dół. Ktoś mógłby zobaczyć, albo usłyszeć. Może mogłabyś tę część przywiązać do liny?

Oceniała taką możliwość.

- Nie. Mógłbyś poprosić Mortena, żeby przyniósł mój plecak? Nie mogę takiego dużego kawałka drewna trzymać na brzuchu, nie mogłabym się wspinać.

Antonio już miał przekazać jej prośbę Mortenowi, gdy Sissi zawołała:

- Poczekaj! Nie potrzeba. Obluzowałam trochę jedną część ornamentu. Jest pusta, ale z tyłu za różą coś leży.

- Wspaniale, Sissi!

Zauważył, że Sissi coś przeszukuje, a potem układa na miejscu odsunięty kawałek drewna. Musi jej się to dawać porządnie we znaki, pomyślał. A zwłaszcza mięśniom. Ciężka praca w takiej niewygodnej pozycji. Całe szczęście, że jest wytrenowana.

W końcu Sissi dała znak, że jest gotowa, a on pociągnął linę, by pomóc jej zejść. Powstrzymała go jednak. Mogłoby jej to przysporzyć problemów, musiała znaleźć własne tempo.

Z wielkim napięciem obserwował, jak balansuje, zawieszona na gzymsie. Znowu znalazła się w tym krytycznym punkcie. I teraz było znacznie gorzej. Sissi musiała wolno opaść tak, by on znowu mógł podeprzeć jej stopę, na co właściwie nie powinien jej pozwolić, to zbyt ryzykowne. Wisiała więc na wąskim gzymsie i machała nogami w poszukiwaniu jakiegoś oparcia, ale niczego takiego w polu widzenia ani jej, ani jego nie było. Znalazłoby się takie tuż przy róży, bo tam gzyms dochodził aż do przybudówki, i Sissi mogłaby się zsunąć na jej podstawę, ale tam, gdzie się znajdował, gzyms umieszczony był za wysoko.

- Gdybym się jedną ręką puściła, to byś złapał moją nogę? - zawołała z wysiłkiem.

Antonio wysunął się z okna najdalej jak mógł. Nogi Sissi dyndały niepokojąco. Wyciągała palce w jego stronę.

- Złapię cię! - krzyknął Antonio. - Prawie - dodał w duchu.

- Ja... Ja nie mogę się już dłużej trzymać... Antonio złapał czubek jej buta. To dodało im siły do jeszcze większego naprężenia, w końcu mogła oprzeć stopę na jego dłoni i trzymając się muru powoli zsuwała się w dół, dopóki drugą stopą nie dotknęła górnej części okiennej ramy. Wymagało to od niej wykonania niemal szpagatu, ale Sissi była zwinna i zdołała zacisnąć dłoń na ramie. Podpierana przez Antonia zsunęła się w końcu bezpiecznie do pokoju.

- Nigdy więcej nie będziemy tego robić - wydyszał Antonio.

Sissi uśmiechnęła się tylko. Była bardzo wyczerpana.

- No? - spytała Flavia. - Co tam znalazłaś? Dziewczyna wydołała coś spod biustonosza.

- Kawalek skóry? - zdziwił się Antonio. - Taki jak ten, który Jordi dostał od rycerzy, a która wywoływała u Unni straszne koszmary. Cóż za znalezisko, Sissi! To na pewno to, czego szukaliśmy! Musimy pójść do któregoś z naszych pokoi i dokładnie przestudiować. A gdzie to Morten?

- Zobaczył pewną znajomą, tę młodą damę - szepnęła Flavia dyskretnie.

- Nie, no tego to już za wiele! - ryknął Antonio i obie kobiety pomyślały, że nie chciałyby teraz być w skórze Mortena. O nie!

- Idziemy na górę! - oznajmił Antonio stanowczo.

Przemknął przed nimi przez całą salę, minął recepcję biegiem niczym lekarz, który się spóźnił na wizytę, i znalazł Mortena na schodach, pogrążonego w poufalej, pełnej śmiechów i chichotów rozmowie z tą kociooką blondynką.

- Morten, proszę ze mną - zakomunikował Antonio ostro. - Dziewczęta, czekajcie na mnie w pokoju Sissi, zaraz do was przyjdę.

Morten zrobił konspiracyjną minę do bujnej blondynki i powłókł się za Antoniem, który bardzo starannie zamknął za nim drzwi.

- No i jak poszło? - spytał Morten, nawet nie przeczuwając nieprzyjemności. - Co Sissi znalazła?

- Morten, wracasz do domu!

Uśmiech zgasł na twarzy chłopca.

- Do domu?

- Tak. Dla kogoś takiego jak ty nie mamy tu zajęcia.

- Ale... Ja przecież pomagałem! Ale potem nie byłem już potrzebny, no to kiedy Miranda na mnie kiwała, żebym przyszedł, nie mogłem jej odmówić!

Antonio złapał go za ramiona z taką siłą, że zabolalo.

- Sissi cię lubi. Naraziła życie na wielkie niebezpieczeństwo na tym oknie, a ty latasz za jakąś blondyną niczym marcowy kot! Nie można się doprosić, żebyś przestał. Już dawno wszyscy w naszej grupie poznali twój kiepski gust, jeśli chodzi o kobiety. No ale w ostatnim czasie... Najpierw katastrofa z Emmą. Potem Monika, która była w porządku, ale nic poza tym. Później Sissi, która jest świetną dziewczyną, za dobrą jak dla ciebie. I teraz ta wulgarna wywłoka, z którą romansujesz, kiedy my narażamy życie, by rozwiązać zagadkę i przez to właśnie ciebie uratować od śmierci za trzy, cztery miesiące.

- Sissi ma umrzeć za trzy lata. Więc ratowała także siebie - próbował się bronić Morten.

- Ty widocznie masz tylko siano w głowie. Nie widzisz, że sprawiasz Sissi przykrość?

- Phi! Przecież tylko tak trochę flirtowałem z Mirandą.

Antonio zrezygnował. Puścił Mortena.

- Dzisiaj wracasz do domu. Trzymanie cię tutaj grozi nam wszystkim śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Chłopak zrobił się czerwony. Wyglądało na to, że zaraz się rozplacze.

- Czego ona od ciebie chciała? - spytał Antonio.

- Niczego, pytała tylko dokąd stąd pojedziemy. Powiedziałem jej, że na zachód, bo to prawda. A poza tym sami nie wiemy nic bliższego. No to ona poprosiła, czy może się z nami zabrać.

- Co? I ty jej naturalnie obiecałeś, że może?

- Nie, wyobraź sobie, że nie obiecałem - Morten zaraz zmienił ton. - Poza tym ty przyszedłeś z dziewczynami. Antonio, ja już naprawdę dostałem nauczkę, obiecuję ci, że więcej nie spojrzę na żadną kobietę. I naprawdę interesuje mnie Sissi, nie myślałem tylko, że to będzie miało jakieś znaczenie... Muszę zostać z wami. Tu przecież chodzi o moje życie.

- Ach tak, nagle sobie o tym przypomniałeś? Nie wiem, Morten - powiedział Antonio zmęczonym głosem. - Jesteś taki cholernie nieodpowiedzialny. Najpierw muszę porozmawiać z Jordim. On zebrał w swoich rękach najmocniejsze karty. Ma Pedra, Unni, twoją babcię, a na dodatek Juane, niewyczerpane źródło wiadomości. A ja dostałem ciebie. Flavia i Sissi są dobre, ale... to naprawdę niesprawiedliwy podział. Zatelefonował, ale nie było odpowiedzi. Telefon Jordiego pozostawał głuchy.

- Dziwne, wciąż nie odpowiada. Próbowałem do Pedra, ale skutek ten sam.

Unni i Gudrun też nie odpowiedziały. Znalazł w notatniku numer do Juany, ale i jej komórka pozostawała głucha.

- Przecież nie mogli wszyscy naraz wyłączyć telefonów! A może są w podróży. Lecą gdzieś samolotem. Nie, no dlaczego mieliby to robić? Przecież by nas uprzedzili. Martwi mnie to, Morten. Chodź, porozmawiamy z dziewczynami.

Czekały na nich w pokoju Sissi Antonio przedstawił im problem. Opowiedział, że ta jakaś Miranda zawołała Mortena, a on uznał, że nie może jej odmówić, ale czy oni mogą zaakceptować taki brak odpowiedzialności wobec grupy? Czy dla bezpieczeństwa nie powinno się odesłać Mortena do domu?

Flavia była wstrząśnięta, Sissi spuściła głowę. Właśnie ze względu na Sissi Antonio położył nacisk na to, że to Miranda zawołała Mortena, ale Sissi i tak była smutna. Antonio gotów był udusić kuzyna, złagodniał dopiero, kiedy się okazało, że Sissi się martwi tym, iż Morten będzie musiał ich opuścić. Flavia też się za nim wstawiała.

- Daj mu jeszcze jedną szansę, Antonio!

- W ostatnich miesiącach Morten otrzymał wiele szans, ale większość roztrwonił.

- Zrobił też wiele dobrego. Antonio się zastanawiał.

- Tak, to prawda. Najlepsze jest to, że dzięki niemu mamy Sissi. Ali right, Morten.

Jeszcze jedna szansa. Ale jeśli z niej nie skorzystasz... to jedziesz prosto do domu!

Chłopak rozpromienił się, gorąco dziękował za zaufanie. Obiecywał poprawę, głośno i uroczyście.

No i mogli nareszcie obejrzyć znalezisko Sissi.

Nie była to mapa, choć mieli taką nadzieję. Z drugiej jednak strony, informacja nie była aż taka skomplikowana, jak się obawiali.

Na skórze został wyryty tekst. Nietrudno go było odczytać, a przy znajomości hiszpańskiego, jaką posiadał Antonio, poszło im gładko:

„REUNION EN GOBAS FAIDO LANO”

- To wszystko - stwierdził Antonio krótko. - Żadnej gramatyki, widocznie z braku miejsca, po prostu samo mięso.

- Dobrze, ale co to znaczy? - pytała Flavia. - Pierwsze rozumiem: „SPOTKANIE W...”
No, ale dalej?

- Jeśli się nie mylę, to słowo gobas znaczy tyle co grotę czy coś takiego w miejscowym języku. Cuevas, gobas, podobne słowa.

- No tak, z grotami spotykamy się często w naszych poszukiwaniach - Morten zaczynał się ożywiać po myciu głowy. Nie mógł tylko przeboleć, że Antonio nazwał go marcowym kotem. To takie obraźliwe i upokarzające.

- No właśnie - potwierdził Antonio. - Habit Jorgego. Las fronteras, granice. Wioska pustkowie chleb przełęcz puchary grotę grotę. Czy mamy uznać, że owo Faido Laño leży gdzieś przy granicy? Pomiędzy Nawarrą a Krajem Basków na przykład? Ech, teraz przydałaby się nam mapa Unni!

- Ależ mój drogi - wtrąciła Flavia. - Mamy własną, kupiłam jakiś czas temu. To mapa drogowa Hiszpanii i Portugalii, wydana przez Michelina, naprawdę znakomita, zaraz przyniosę.

- Hm - mruknął Antonio. - Ciekawe dlaczego wcześniej nie kupiliśmy, przez cały czas korzystaliśmy tylko z mapy Unni, jakby innych nie było.

Flavia wróciła i wszyscy pochylili się nad stołem. Bardzo szybko się wyjaśniło, że chodzi o dwa miejsca położone blisko siebie. Z grotami, oczywiście, i niedaleko granicy. Na terytorium baskijskim, na południe od Vitoria/Gasteiz.

- To właśnie tam Jordi spotkał po raz pierwszy rycerzy - powiedział Morten. - W pobliżu Vitoria.

- No więc tak - rzekł Antonio. - Teraz się wszystko zaczyna zgadzać. Ale, jak sobie przypominam jego opowieść, to to nie było dokładnie tam, w Faido i Laño. Nie tam ich

spotkał. Myślę jednak, że do jego miejsca też dotrzemy. Moim zdaniem ci, którzy nieśli skarby z poszczególnych prowincji, spotykali się właśnie gdzieś na granicy. Pojedźmy więc najpierw do Faido i Laño. Zobaczymy, może znajdziemy jakieś nowe ślady.

- Ale dlaczego oni zostawiali ślady i informacje tak trudne do odnalezienia? - zastanawiała się Sissi.

Antonio próbował odpowiedzieć:

- Może bali się, że zostaną wzięci do niewoli i zamordowani? Wtedy tylko ich najbliżsi byliby w stanie odnaleźć skarby, może zresztą również ich samych.

- To możliwe - zgodziła się Flavia. - Trzeba jechać niezwłocznie!

Wielokrotnie jeszcze telefonowali do Jordiego i jego grupy, ale bez rezultatu. Niepewność dręczyła wszystkich, ale nic zrobić nie mogli. W Hotelu w Santiago de Compostela powiedziano im, że grupa Norwegów wyszła do miasta zaraz po śniadaniu i dotychczas nie wróciła.

Antonio musiał stłumić w sobie chęć natychmiastowego wyjazdu do Santiago. Nie miał przecież nawet pojęcia, od czego tam zacząć poszukiwania zaginionych przyjaciół.

Trzeba więc było po prostu telefonować w równych odstępach czasu, a poza tym koncentrować się na własnym zadaniu.

Nie jechali główną drogą, wybrali szlak na skróty, przez miasto Estella. Nazwa szczerze ich ubawiła, a kiedy się zaraz potem okazało, że będą też przejeżdżać przez miejscowość Miranda, w samochodzie zapanowała wesołość. Na tej mapie zostały najwidoczniej uwiecznione wszystkie osławione kobiety.

Flavia była pilotem, siedziała na przedzie z mapą w ręce. Morten uważał, że to jego zajęcie, w „dawnych czasach” tak przecież było, boczył się na Antonia, który tego nie pamiętał.

Za Estellą znaleźli się w przepięknym, pagórkowatym krajobrazie. Kupili sobie broszurę na temat Kraju Basków i teraz mogli przeczytać, że minęli właśnie wejście do „*the hidden valley of Arana*”. Cóż, ukryta dolina to właśnie cel główny całej ich krucjaty, ale wszyscy byli zgodni co do tego, że to nie może być ta dolina, o której na dodatek pisze się w przewodnikach turystycznych. I znajduje się w zupełnie innym miejscu.

Zatrzymali się, żeby coś zjeść, w Bernedo, bardzo starym nadgranicznym miasteczku otoczonym murami, położonym u stóp Sierra de Cantabria, nie mylić z Kordylierami Kantabryjskimi, które znajdują się dalej na północny zachód i są znacznie większym łańcuchem górskim. Nikt nie miał wątpliwości, że i tam w końcu dotrą. Nad Bernedo i całą doliną czuwał wspinały klasztor zbudowany na wzniesieniu.

W miasteczku otrzymali też dodatkowe informacje o grotach w Faido i Laño. Mówiono, że są wyjątkowe w swoim rodzaju.

Faido to niewielka miejscowość, zaś jedna z miejscowych grot została poświęcona la Virgen de la Pena, co Sissi bez zastanowienia przetłumaczyła jako Dziewica Smutku. Antonio wyjaśnił jednak, że smutek to po hiszpańsku pena, a peña to po prostu skała. Na ścianach grot znajdowały się malowidła, przy nich zaś przypominające ludzkie postaci kamienie nagrobne.

Laños gobas musiały być miejscem schronienia dla przedhistorycznych plemion, a później dla mnichów i eremitów.

To wszystko brzmiało ekscytująco, ale oni przecież nie przyjechali tu na wycieczkę, ekspedycja miała poważne zadania.

Najpierw znaleźli się w Laño, a zatem tutaj zaczęli poszukiwania z pewnego rodzaju fatalistycznym przeświadczeniem, że zawsze ostatnie z przeszukiwanych miejsc okazuje się tym właściwym.

No ale nie tym razem.

Grotty były naprawdę bardzo interesujące ze swoimi kamiennymi sarkofagami i mnóstwem dowodów na to, że w dawnych czasach mieszkali tutaj ludzie. Jedni z najstarszych przodków ludzkości.

Wymarzone miejsce, by się tu spotkać potajemnie i ukryć skarby. Domyślali się, że ludzie w piętnastym wieku mało się zajmowali turystyką. Chyba tylko Krzysztof Kolumb i Vasco da Gama cenili ten sposób spędzania czasu wolnego. Tak więc skarby były tutaj bezpieczne.

- No i znowu trzeba szukać róży - powiedziała Sissi niemal wesoło. Była bardzo dzielna, skoro tak szybko udało jej się znaleźć pierwszą.

Stali przy wejściu do grotty. Antonio popatrzył w niebo.

- Dzień ma się ku końcowi - stwierdził. - Wiele dzisiaj udało się nam zrobić. Może powinniśmy teraz pojechać do jakiegoś hotelu?

Młodzi byli pełni zapału i chcieli natychmiast rozpocząć poszukiwania. Antonio szukał moralnego wsparcia u Flavii, ale ona wzruszyła tylko ramionami.

Łatwo zapomnieć, ile ona ma lat i tak naprawdę należy do tej samej grupy co Pedro i Gudrun, pomyślał Antonio. Flavia ma tylko 45 lat, stanowi coś w rodzaju pośredniego ogniwa między pozostałymi członkami grupy.

On sam miał trochę problemów z zachowaniem równowagi we wzajemnych stosunkach z Flavią, wcale nie z powodu wieku, bo była otwarta i nietrudno się z nią porozumieć, pochodziła jednak z zupełnie innej warstwy społecznej niż on. Wychowana w

dużym mieście, przypuszczalnie bogata, wypiełgnowana dosłownie po koniuszki palców. Jako reprezentantka włoskiej klasy wyższej była dla mieszkańców północy trochę za bardzo elegancka. Używała mocnych perfum, obwieszała się ponad miarę ozdobami, miała ostry makijaż. Czarne włosy potrzebowały zapewne pomocy dla zachowania koloru, a wysokie obcasy kosztownych butów zupełnie się nie nadawały na wędrówki po grotach.

Zwracała na siebie powszechną uwagę, a poza tym odnosiła się wyjątkowo do Jordiego w jego najbardziej samotnych latach i była znakomitą macochą Mortena.

- Jeden przeciwko dwu i pół, przegrałeś - żartowała Sissi i Antonio poddał się z westchnieniem. Wyjęli więc latarki.

- Rózo, rózo, gdzieś ty? - wyrecytowała Sissi.

- Chciałaś powiedzieć: „Konia, konia, królestwo za konia”? - spytał Morten.

- Nie, nie, nie chodzi mi o Shakespeare'a. Wolę jak Cyrano de Bergerac: Pocałunek, pocałunek, cóż to jest? Nasze nieme wsparcie dla równie niemej modlitwy, czy jakoś tak.

- Uważaj, bo cię złapię za słowo!

- No, dzieciaki! Szukajcie! - zawołał Antonio. - Flirtować możecie gdzie indziej. Ale skoro mamy przytaczać różne złote myśli o róży, to pozwólcie przytoczyć słowa Gustafa Frödinga: „Bo śmieć jest śmieciem, nawet w złotej misie, a róże choćby w rozbitym wazonie pozostaną różami”.

- Jakie ładne - zachwycił się Morten. - Ale z naszymi różami nie wiele ma wspólnego.

Nie byli w tych grotach sami. Turyści kręcili się tu i ówdzie, ale o tak późnej porze zostało ich niewielu, poza tym Antonio i jego przyjaciele mieli w razie czego swoje skandynawskie języki, za którymi mogli się schronić.

Postanowili, że się rozdzielą i każde przeszuka jakąś część terenu, bo tak będzie szybciej.

Morten najchętniej poszedłby razem z Sissi, ale Antonio był nieubłagany.

- Zapominasz, że jesteś pod obserwacją - upomniał go.

Tak więc Sissi zapaliła latarkę i sama weszła do jednego z licznych korytarzy. Po chwili znalazła się w jamie, której podłoga i ściany zostały wyrąbane w skale i miały regularne, geometryczne kształty. Domyśliła się, że to krypta grobowa, bardzo uważnie przeszukała pomieszczenie w nadziei, że może znajdzie się coś podobnego do róży, a potem ruszyła dalej. Od czasu do czasu spotykała się z przyjaciółmi również studiującymi grobowe nisze, raz Flavia pomachała do niej z uśmiechem - rozmawiała po włosku przez telefon, ale połączenie najwyraźniej było kiepskie. W kolejnej krypcie na drodze Sissi stanęła jakaś para, nie mogła więc wszystkiego dokładnie obejrzeć.

W końcu znalazła się znowu na dworze. Stwierdziła, że słońce już zaszło i przeniknął ją dreszcz, chciała zbadać jeszcze jedną grootę, ale zobaczyła tam Antonia, jak po raz niewiadomo który próbował nawiązać kontakt z grupą Jordiego. Kiedy Sissi go mijała, głęboko zatroskany pokiwał jej głową.

Sissi zapamiętała, że przy wejściu do tej groty siedziała jakaś kobieta. Wyglądała dość pospolicie, ale kiedy Sissi na nią popatrzyła, odwróciła twarz.

Znalazłam już dzisiaj jedną różę, myślała Sissi. Dlaczego nie miałabym znaleźć jeszcze jednej?

Ożywiona zapalem odkrywcy wodziła latarką po ścianach, po kamiennej podłodze i suficie.

Nagle usłyszała za sobą cichy dźwięk, jakby szum w powietrzu. Nie zdążyła się odwrócić, ale automatycznie odskoczyła w bok, jak przystało na świetnie wytrenowaną osobę ze skandynawskich pustkowi.

Ciężki przedmiot uderzył ją w kark, tuż nad barkiem, a przedtem skaleczył jej ucho.

Poczuła potworny ból, upadła na ziemię i straciła przytomność.

Beznadzieja

„Wpadają w pułapki, wszyscy jak jeden mąż - oznajmił don Garcia udreńczonym głosem. Tym razem to jego potomek popełnił błąd.

„Tak, wygląda to strasznie - westchnął don Ramiro. - Że też musiało się to wszystko stać!”

„Niewielu nam już zostało - mówił don Galindo. - A ci, których jeszcze mamy, przeważnie są bez sił”.

„A przestrzegaliśmy ich - przypomniał don Sebastian. - Przestrzegaliśmy, żeby widzieli to, co jest. Ale oni widzą tylko to, czego nie ma, czym się w ogóle nie powinni przejmować”.

„Nie jestem już w stanie na to patrzeć - oświadczył don Federico. - Tak blisko celu... i wszystko na próżno! Chodźcie, wycofujemy się!”

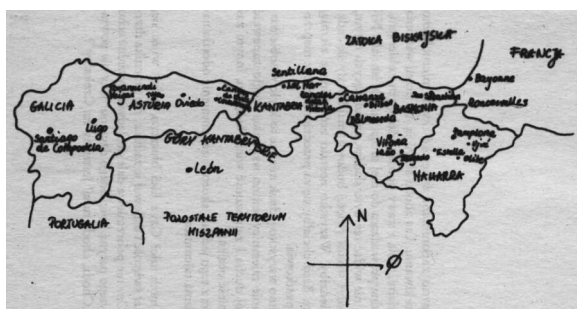
„Czy nie moglibyśmy porozmawiać jeszcze z Urracą, poprosić jej o pomoc?” - zastanawiał się don Ramiro, kiedy zawracali konie.

„Chyba nie powinniśmy budzić jej zbyt często - protestował don Federico. - Chociaż może, gdyby to była ostatnia próba... „

Odjechali. Wiatr rozwiął ich myśli nad doliną Rio Barruntas i nad wszystkimi grotami.

Nie było jednak nikogo, kto mógłby tłumaczyć myśli czarnych rycerzy z ponurego wieku piętnastego.

Światło dnia zgasło. Dolina pogrążyła się w ciemnościach.



Tym razem to Morten okazał się geniuszem.

- Antonio! - wrzasnął, aż echo zadudniło odbijając się od skalnych ścian i sklepień. - Zdaje mi się, że coś znalazłem. Sissi! Flavia! Chodźcie do mnie!

Przybiegł Antonio i znalazł Mortena stojącego w jednej z licznych dziur rozproszonych po trudnej do ogarnięcia wzrokiem okolicy.

- Gdzie wy jesteście? - wołała Flavia. Podpowiadali jej, jak ma iść.

Morten pochylał się nad ziemią w na wpół ukrytym kącie grotu.

- Spójrzcie tu - powiedział, kierując światło latarki na podłogę. - Czy to by nie mogło przypominać róży? Heraldycznej?

Wszyscy troje zaczęli się nad tym zastanawiać.

- Kiedyś może to i była róża - powiedział Antonio w zamyśleniu. To jednak, co widzieli teraz, było kupką mniejszych i większych kamieni, ułożonych w zniszczony, wyraźnie naruszony wzór. Kiedy się jednak patrzyło na kamienie mocno tkwiące w ziemi, i puściło wodze fantazji, to... Tak, to mogło być to, czego szukali.

- To bardzo nierozsądne, układać wzór w ten sposób - stwierdziła Flavia. - Wzór z luźnych kamieni!

- Owszem - zgodził się Antonio. - Ale oni pewnie nawet nie przypuszczali, że minie więcej niż pięć wieków, zanim ktoś zacznie tego szukać. A poza tym skąd mogli wiedzieć o tysiącach turystów, którzy zaleją grotu?

- Gdzie jest Sissi? - zaniepokoił się Morten. Wszyscy podnieśli głowy.

- Prawdopodobnie gdzieś dalej - powiedział Antonio. - Idź i poszukaj jej, Morten! Krzycz, żeby cię usłyszała. Nie ruszymy tego, dopóki nie wrócicie.

Morten wyszedł na światło dzienne, czy ściślej biorąc, w mrok. Na całym terenie panowała absolutna cisza. Kilka samochodów odjeżdżało drogą, wszyscy już opuścili grotu.

Morten wołał, ale Sissi nie odpowiadała.

Przestraszył się, a kiedy się bał, zwykle wygadywał jakieś głupstwa.

- Nie, no Sissi, wyjdź z ukrycia, naprawdę nie czas teraz bawić się w chowanego! Właśnie znaleźliśmy.

Umilkł. Ktoś przecież mógł tu jeszcze być, nie powinien więc chyba głośno obwieszczać o znalezisku.

Stał więc bez ruchu, a serce biło mu tak, że je słyszał. W którą stronę Sissi mogła iść?

Sam dobrze nie wiedział, gdzie on się znajduje, jakim sposobem więc mógłby pamiętać...?

Nagle uświadomił sobie, że naprawdę tęskni za Sissi. Nie tak wiele czasu ze sobą spędzili, nie mieli jeszcze okazji dobrze się poznać. Nie spędzili razem nocy. To ostatnie akurat z powodu Sissi, to ona nie chciała, on próbował, tak całkiem rutynowo, ale do porażki nie chciał się przyznać nawet przed samym sobą. Owszem, skończył z Moniką, chociaż wystarczyłoby przestać się z nią spotykać, z czasem musiałaby zrozumieć, że nie ma czego u niego szukać. Antonio jednak był bardzo surowy i powiedział, że tylko tchórzliwi mężczyźni unikają otwartego załatwienia sprawy i że to najgorsze, co można kobiecie zrobić. Czy Morten nie rozumie, jakie to bolesne zastanawiać się całymi dniami i nie wiedzieć, jak się rzeczy mają? Bać się, że to może już koniec, ale jeszcze mimo wszystko mieć nadzieję?

Nie, Morten tego nie rozumiał. Upierał się, że skoro Antonio nalega, to on może napisać list.

To też nie zadowalało kuzyna. Ani obietnica Mortena, że załatwi wszystko przez telefon. Nie, musi pójść i porozmawiać, osobiście wyjaśnić, Monika na to zasługuje! I, do diabła, koniec z wykrętami!

Na szczęście Antonio podpowiedział mu, jak powinien się wysławiać, co konkretnie powiedzieć i Morten powłókł się jak na ścięcie. On jednak zawsze najchętniej wybierał linię najmniejszego oporu. A tymczasem musiał przejść przez naprawdę trudne doświadczenie.

Monika ucieszyła się na jego widok, co wzbudziło w nim jeszcze większe wyrzuty sumienia. W końcu jednak zdołał wykrztusić to, co miał do powiedzenia, że muszą zerwać tę znajomość, bo dla niej bycie z nim mogłoby się okazać śmiertelnie niebezpieczne. Że on teraz musi wyjechać, bo otrzymał do wypełnienia poważne, tajne zadanie za granicą, co przecież było zgodne z prawdą, i nie chce jej narażać. W ogóle nie powinien się z nikim wiązać...

W tym momencie Monika ze spuszczoną głową zapytała, czy to ta młoda blondynka, która u nich mieszka od kilku dni, jest przyczyną.

„Co, kto taki?” - spytał Morten z miną niewiniątka. „Ach, masz na myśli Sissi? Nie, no coś ty, ona też należy do grupy wypełniającej zadanie, a poza tym ona nie jest w moim typie!”

Monika mu uwierzyła, ale teraz znowu dopadły go wyrzuty sumienia. Jak mógł się tak haniebnie zaprzeczyć Sissi?

Znowu linia najmniejszego oporu? No cóż, na szczęście Monika to już teraz historia.

Ale gdzie podziała się Sissi w tym szarym krajobrazie, pogrążonym w wiecznym mroku? Akurat teraz tęsknił szczerze, by zobaczyć jej radosne, mądre oczy i otwartą twarz. Sissi była nierozsądnie odważna, taka silna i pewna siebie. Całkiem inna niż dziewczęta, w

których się dotychczas zakochawał, ale prawdopodobnie właśnie dzięki temu wydawała mu się taka świeża, taka inna, imponowało mu, że ktoś taki się nim interesuje. Właściwie nie zamierzał angażować się za bardzo, ale skoro tak się różni od innych dziewcząt, to może - warto spróbować?

Gdzieś w głębi podświadomości coś mu szeptało, że przecież wciąż jeszcze nie wie, czym tak naprawdę jest miłość. Ale nie był aż takim masochistą, żeby dopuszczać do siebie tę myśl.

Tylko gdzie, na Boga, Sissi się podziała?

- Sissi! - wrzasnął ile tchu w piersiach.

Zaczynał się naprawdę bać. I naprawdę obchodził go jej los. Piękne uczucie jak na Mortena!

Nie - zawodziło mu coś w duszy. Sissi jesteś przecież fantastyczna! Jesteś jedną z najfajniejszych dziewczyn, jakie spotkałem. Mogło by nam być bardzo dobrze razem podczas tej wyprawy.

A on o mało wszystkiego nie zepsuł z powodu jakiejś przypadkowo spotkanej Mirandy.

Szpony strachu zaciskały się w jego piersi i ponownie zaczął wzywać Sissi po imieniu.

I nagle coś usłyszał. Cichy jęk.

Odetchnął głęboko i pobiegł w kierunku, z którego docierał dźwięk.

Spotkał ją przy wyjściu z korytarza, który badała. Podeszła do niego ślaniając się na nogach i przyciskając rękę do karku, a on objął ją i mocno przytulił.

- Ktoś mnie uderzył - wyszeptała Sissi i uczepliła się Mortena.

W jego duszy zaświeciło słońce. Tego właśnie mi w niej brakowało, pomyślał. Żeby była słaba i potrzebowała mojej opieki. Tymczasem zawsze było odwrotnie. Teraz równowaga została przywrócona.

Antonio i Flavia byli, naturalnie, wstrząśnięci.

- Myślałem, że nikt nie wie, gdzie jesteśmy - rzekł Antonio ponuro. - Widocznie jednak nie doceniliśmy naszych wrogów.

Obejrzeni w świetle latarki skaleczenia Sissi. Ucho krwawiło wprawdzie, ale zostało tylko dość płytko zadrażnione, wielki guz na karku nabrzmiwał coraz bardziej.

- Jak to dobrze, moja droga, że masz mięśnie - powiedział Antonio z przekąsem.

- I żelazną czaszkę - roześmiała się Sissi nerwowo, nie chciała bowiem wystąpić przed Mortenem silna jak chłopak. - Poza tym udało mi się uskoczyć.

- I całe szczęście - powiedział zatroskany Morten. - Bo moim zdaniem ten kamień,

który cię trafił był naprawdę duży. W ranie jest piasek i kawałki kamienia. Musimy cię zaprowadzić do doktora.

- Dziękuję za zaufanie - syknął Antonio. Morten zachichotał nad własną głupotą, ale cały drżał z niepokoju. Dlaczego to akurat Sissi, zastanawiał się.

- Pewnie dlatego, że była sama, co stwarzało napastnikowi okazję - próbowała wyjaśniać Flavia. - Widziałam cię przecież, Sissi, kiedy rozmawiałam przez telefon z siostrą. Ale nawet do głowy by mi nie przyszło, że ktoś może nas tutaj znaleźć. Teraz mam wyrzuty sumienia.

- Nikt nie mógł przypuszczać, że się coś takiego stanie - łagodził Antonio.

Chciał, żeby Morten zabrał Sissi do samochodu, ona jednak nalegała, żeby najpierw zbadać znalezisko, sama była ciekawa, przekonywała, że w tej sytuacji nie powinni się rozdzielać. Wszystkim wydało się to najbardziej rozsądne.

Sissi siedziała więc na krawędzi jakiegoś grobu z czasów prehistorycznych i bardzo cierpiała z powodu kontuzji, a jej towarzysze za pomocą noża zdrapywali ziemię ze środka tego, co być może było różą.

W grotach panowała teraz absolutna cisza. Słyszeć było tylko to ich skrobanie, które echem odbijało się od starych skalnych ścian.

Sissi zastanawiała się, co zrobić, żeby znowu nie zemdleć.

Musiała oprzeć się o ścianę. Mój Boże, jak ja będę dzisiaj spać? myślała. Leżeć na jednym boku przez całą noc?

Radosny krzyk przyjaciół wytrącił ją z tych prozaicznych myśli. To, co znaleźli jest różą! A pod nią znajdowała się niewielka szkatuła zawierająca kawałek skóry.

Triumf!

Zabrali szkatułkę, posprząтали po sobie. Chyba nie ma już żadnych noszących skarby spiskowców, którzy chcieliby w grotach Lafios szukać wskazówek co do dalszej drogi.

W końcu wszyscy wsiedli do samochodu, Sissi najwygodniej jak to możliwe na tylnym siedzeniu razem z Mortenem, który czuł się bardzo szlachetny i opiekuńczy. Z ulgą opuszczali terytorium grot, by poszukać jakiegoś hotelu. Tam Sissi zostanie porządnie opatrzona przez Antonia i nareszcie będą mogli uważnie obejrzeć nowe znalezisko.

Dwie róże w ciągu jednego dnia. Naprawdę niezłe zbiory.

Ciemności spowijały niezbyt gęsto zaludnione okolice Kraju Basków na południe od Vitoria/Gasteiz. To tu, to tam migotały w oddali światełka jakiejś wsi, czasami mijali grupy zabudowań pogrążonych w nocnym spoczynku, przeważnie jednak jechali przez pustkowia.

Tym razem Flavia prowadziła, Antonio tymczasem telefonował, najpierw do Vesli, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku, a potem do Jordiego i jego grupy. W tym ostatnim przypadku wiele się nie dowiedział.

Vesla też kłamała, kiedy zapewniała go, że wszystko jest w najlepszym porządku, zamierzała bowiem iść do lekarza. Tego jednak mężowi nie powiedziała, bo i tak sprawiał wrażenie przybitego. Veslę wciąż dręczyły krótkie skurcze, miała bóle w krzyżu i była śmiertelnie przerażona. Nie o swoje życie się obawiała, ale jakkolwiek los czeka to dziecko, chciała je mieć. Bo kochała jego ojca, kochała zresztą również dziecko i to tym bardziej, że wciąż wisiała nad nim groźba, iż będzie żyło tylko dwadzieścia pięć lat.

Na razie jednak udało jej się uspokoić Antonia.

Gorzej z grupą przyjaciół działających w Galicji, którzy nadal nie dawali znaku życia. Żeby nie wiem kiedy i jak często dzwonił, ich telefony pozostawały głuche.

- Pewnie je wyłączyli, żeby nikt nie mógł się dowiedzieć, gdzie są - pocieszała Flavia, ale chyba nikt w to nie wierzył. Antonio nic a nic nie rozumiał.

Jordi, Jordi, co się stało? Gdzie wy jesteście i co się z wami dzieje? Jordi, przecież wiesz, że bez ciebie jestem nikim. Jeśli ty znikniesz, to co my zrobimy? Unni, Juana, Morten, ja, Pedro, Gudrun, Sissi, Flavia, co my wszyscy pocniemy? Czym będziemy? Niczym, kompletnie niczym!

Jordi. Jego idol przez całe życie. Raz Antonio go utracił i to pozbawiło go jakiegokolwiek oparcia w życiu. Nie zniesie po raz drugi utraty starszego brata. Tego by nie przeżył. Nie tylko ze względu na siebie, ale też ze względu na pozostałych członków rodziny. Zresztą teraz niepokoił się przede wszystkim ze względu na samego Jordiego, który przecież odnalazł nareszcie miłość swego życia. Co to więc za złe moce nie pozwalają im żyć szczęśliwie razem?

Nie, no teraz to popadam w czarnowidztwo, a przecież wszystko może mieć całkiem banalny powód. Flavia z pewnością ma rację.

Głęboko i zdecydowanie wciągnął powietrze:

- Musimy jeszcze raz się zastanowić, jakich to mamy prześladowców. Myślałem, że

tutaj będziemy bezpieczni, najwyraźniej jednak za wcześnie w to uwierzyliśmy.

- Poczekaj no, ja się tym zajmę - powiedział Morten. - Zaraz zadzwonię do Jørna, on przez swoje kontakty wszystko nam wyjaśni. Cześć! - wołał teraz do przyjaciela. - Ty śledziłeś w internecie ruchy naszych łotrów, prawda?

Jørn potwierdził.

- No dobrze, to w takim razie dokonajmy przeglądu sytuacji. Emma i Alonzo na początek.

Antonio powiedział, że chce rozmawiać bezpośrednio z Jørnem i Morten oddał mu telefon. Pocieszał się tym, że przecież to on wpadł na pomysł skontaktowania się z komputerowcem.

- Hej, Jørn - przywitał się Antonio. - Czy to prawda, że śledziłeś ruchy naszych prześladowców?

- Jasne, w internecie, ale innymi kanałami też.

- Świetnie!

- Zaraz ci ich wyliczę: Numer jeden Wamba. Dwa - kaci inkwizycji. Trzy - Leon. Cztery - Emma, Alonzo & Co: Tommy, Kenny, Roger oraz pięciu Hiszpanów. Pięć: Trzech nieznanymi, nazwisko jednego z nich brzmi Thore Andersen.

- Tak, no to chyba rzeczywiście wszyscy - potwierdził Antonio. O tym, że istnieją przeciwnicy numer sześć, czyli Tabris i Zarena, nikt nie miał pojęcia.

Jørn raportował, co mu wiadomo o poszczególnych grupach.

- Zacznę od Wamby, otóż on dwukrotnie umierał. Raz blisko pięćset lat temu, no i ponownie całkiem niedawno temu, kiedy Jordi obciął mu łeb.

- Nie jestem tak całkiem pewien, że Wamba nie ma - oznajmił Antonio cierpko. - Słyszano pogłoski...

- Owszem. Wrócimy jeszcze do tego. Teraz tak zwane „pokorne sługi inkwizycji”. Na początku było ich trzynastu, teraz zostało sześciu.

- Ale żaden z nich nie jest w stanie nikogo uderzyć kamieniem w głowę. W każdym razie nie tutaj. Bo to, co mogą robić w Santiago de Compostela, przesłonięte jest mroczną tajemnicą. Dalej mamy Leona. Leon zniknął bez śladu od pamiętnych wydarzeń w więzieniu, kiedy to wyłamał kraty i uciekł, a przedtem jeszcze śmiertelnie wystraszył strażników, którzy stanęli mu na drodze. Wiadomo, że uciekał na północ, a po pewnym czasie ślady się urwały.

- Tak. I wiemy też, że jego wygląd oraz zachowanie uległo gruntownym przemianom - No właśnie, stał się podobny do Wamby, więc przy nim też musimy postawić znak zapytania, a może nawet dwa.

- Potwornie się boję, że ten stwór jest nieśmiertelny - rzekł Antonio ponuro. - Co dalej?

- Emma, Alonzo i reszta.

- Bez Leona łatwo ich namierzyć. To pospolicie poszukiwacze skarbów, Bogu dzięki nie ma w nich fanatyzmu Leona ani jego żądzy krwi. Wiesz, gdzie oni się teraz podziewają?

Głos Jørna znajdującego się w dalekiej, chłodnej Norwegii, brzmiał w samochodzie donośnie i czysto:

- Alonzo ponownie trafił do więzienia. W Bilbao. Emma na niego czekała. Tommy, Kenny i Roger przed pięcioma dniami znaleźli się na liście pasażerów samolotu do Bilbao właśnie. Sądzę, że w tym czasie Alonzo wyszedł z paki.

- Tak, więc znowu mogą nas ścigać, ale przecież w grotach było tak niewiele ludzi. Rozpoznałibyśmy ich.

- Przecież mało znamy hiszpańskich koleżków Alonza. Ma ich zresztą teraz tylko dwóch, jak słyszałem. Reszta uznała chyba, że za trudna sprawa dla nich.

- Dużo wiesz, Jørn.

- Mam swoje źródła. Przyjaciół w sieci.

- Tylko bądź ostrożny. Wiesz, każdy kij ma dwa końce.

- Oczywiście. Już przecież miałem okazję popróbować, czym wam to grozi. No, ale wracając do tematu, to była ostatnia grupa. Ci nieznajomi. Nic nie mogę znaleźć. Czy ty wiesz, ilu jest w Norwegii ludzi nazwiskiem Thore Andersen?

- Ale jego imię pisze się przez th.

- Niewielka różnica. Przejrzałem wszystko, co się dało. Nic się nie zgadza. Może on jest Duńczykiem? Albo Szwedem?

- Unni twierdzi, że mówi po norwesku. Bez dialektu. A o dwóch pozostałych wiemy jeszcze mniej.

Jørn westchnął.

- No tak, trudno jest szukać wysokiego, chudego mężczyznę o ponurym wyglądzie. A już ten jego asystent jest kompletnie anonimowy. Poza tym ich może być więcej niż trzech, nic nam na ten temat nie wiadomo.

- Ja myślę, że ich jest więcej - powiedział Antonio. - I ma być z nimi kobieta. A Sissi widziała jakąś kobietę dziś wieczorem przy wejściu do grotty. Potem ta kobieta gdzieś zniknęła. Pracuj dalej, Jørn, wykonujesz fantastyczną robotę!

Rozmowa została zakończona wzajemnymi napomnieniami, by zachowywać ostrożność.

Antonio nie był już w stanie dłużej powstrzymać ciekawości. Poprosił Flavię, by zatrzymała samochód, chciał nareszcie obejrzeć tajemniczy ostatni kawałek skóry.

Dwoje z tylnego siedzenia dosłownie zawisło nad Flavią i Antoniem, lampa u sufitu oświetlała pole widzenia.

- Patrzcie, to jest prawie takie samo, jak tamten kawałek, który Jordi dostał od don Ramira, wtedy na brzegu, wiele lat temu.

- No właśnie, i jest tak jak przypuszczaliśmy, kolejna róża znajduje się w ruinach, gdzie Jordi spotkał rycerzy.

Antonio obracał skórę na wszystkie strony, przyglądał się narysowanej na niej prostej, można powiedzieć, prymitywnej mapce. Nazwy Gasteiz tu nie było, poza tym jednak podobieństwo do pierwszej mapy rzuciło się w oczy. Tylko mniej informacji.

- Żeby tak wiedzieć, gdzie tu jest góra, a gdzie dół...

- Myślałem, że będziemy się kierować ku następnej granicy - rzekł Morten.

- Chyba każda prowincja miała jakiś punkt zborny w głębi kraju - wtrącił Antonio.

- Możliwe, ale teraz ja myślę wyłącznie o prysznicu - oznajmiła Flavia. - Jedziemy do Vitoria/Gasteiz, gdzie mają porządne hotele. Tam się zatrzymamy.

Owszem, wszyscy byli zgodni co do tego, że zasłużyli sobie na trochę luksusu.

Samochód sunął cicho po samotnych drogach. Zmęczeni pasażerowie milczeli.

Nagle pojawił się jakiś drogowskaz.

- Stop, Flavio! - zawołał Antonio. - To przecież ta mała miejscowość, w której był Jordi. Tam spotkał owego starszego mężczyznę, który wskazał mu drogę do ruin, gdzie czekali rycerze. My też tam powinniśmy pojechać!

Flavia, przywykła do komfortu, wahała się.

- Dzisiejszego wieczoru powinniśmy pojechać do Vitoria. Tak zresztą będzie lepiej dla Sissi.

I dla ciebie, uśmiechnął się Antonio w duchu. Morten powiedział jednak:

- I co, jutro rano wracać? Czy to potrzebne? Może się chociaż rozejrzyjmy po miasteczku, skoro już tu jesteśmy.

Flavia została przegłosowana.

Miasteczko to może za dużo powiedziane, znacznie lepszym określeniem jest wioska. Chociaż kościół był, dokładnie, jak opowiadał Jordi, a obok również niewielki hotelik. Tam się zatrzymali, Flavia z ciężkim westchnieniem, ale dostała najlepszy pokój. Ogarnęli się trochę, Antonio porządnie opatrzył ranę Sissi, po czym zasiedli do smakowitego posiłku. Jeśli Baskowie są w czymś naprawdę dobrzy, to w zamiłowaniu do dobrego jedzenia.

Sissi, po tabletkach od bólu głowy z bogatego zapasu Antonia, czuła się dobrze, jedną ręką władała zupełnie swobodnie. Nikomu tylko nie wolno było się zbliżyć do jej obolałego barku.

Mieli za sobą długi i naprawdę męczący dzień. Flavia i Morten rozmawiali cicho w kącie gospody, Morten nad kuflem cerweza - piwa - Flavia z kieliszkiem wina w dłoni, Antonio jednak nie mógł usiedzieć na miejscu i oznajmił, że pójdzie oglądać miejsce spotkania Jordiego z rycerzami. Sissi, która przestudiowała mapę i zorientowała się, gdzie te ruiny mogą być, poszła na górę po kurtkę, bo chciała mu towarzyszyć.

- Nie, moim zdaniem nie powinniście już dziś wieczorem wychodzić - protestowała Flavia. - Zrobiliśmy więcej niż dosyć na jeden dzień.

Morten zaczynał być trochę śpiący, zrobił się jowialny, roześmiał się i powiedział:

- A niech idą, nie zatrzymuj ich. I tak daleko nie zajdą!

- Pewnie masz rację - odpowiedział Antonio. - Jest późno. Ale i tak chcę wyjść trochę na dwór, księżyc tak pięknie świeci.

Poszedł. Po chwili usłyszeli, że Sissi zeszła na dół i też wychodzi. Morten i Flavia natomiast kontynuowali swoją rozmowę o dawnych czasach i o przyszłości świata.

Antonio wciągał do płuc chłodne październikowe powietrze. W tej części zabudowania były typowo wiejskie, pośrodku placu sklep, zwany supermercado, kościół i ten hotelik, w którym zamieszkali, stanowiły jedyne punkty zborne. Ale było bardzo ładnie. Na horyzoncie góry skąpane w blasku księżyca, sama miejscowość znajdowała się na równinie, czy może raczej należało to określić jako szeroką dolinę, Antonio nie był pewien.

Tutaj, w tej gospodzie, wiele lat temu jego brat siedział z pewnym starszym mężczyzną. A teraz on nie może nawiązać z Jordim kontaktu.

Czyżby tamci byli aż takimi idiotami, żeby wyłączyć wszystkie telefony komórkowe? Czy nie pojmują, że ich przyjaciele są przerażeni?

Antonio próbował gniewem stłumić lęk.

Sissi wyszła na dwór, ale on tego nie zauważył.

- Ach, jesteś - powiedział dopiero po chwili. - Może jednak powinniśmy poczekać do jutra rana?

Oczy dziewczyny załśniły wesoło w księżycowym blasku.

- Nie, idziemy zaraz. Chciałabym przeżyć przygodę.

- Nie masz dość na dzisiaj? - roześmiał się. Czuł się w jej towarzystwie jakoś dziwnie lekko. - Znalazłaś drogę na mapie Flavii?

- Tak. Wszystko wiem. Chodź za mną! Ruszyła szybko tak zwaną główną ulicą, potem

skręciła na mały placyk. Antonio szedł za nią i mógł się na własnej skórze przekonać, że Sissi naprawdę jest świetnie wytrenowana. Musiał się bardzo starać, by za nią nadążyć.

- Zaczekaj, chyba nie musimy się aż tak spieszyć!

- To daleko, chodź, nie marudź!

Jej głos niósł się daleko i brzmiał jakoś dziwnie pośród niskich zabudowań. Księżyc schował się za chmurę, dużą i ciemną, Antonio mało co przed sobą widział.

Nagle znowu zrobiło się jasno. Znajdowali się teraz na równinie, ale wszystko przesłaniała mgła, tak mu się przynajmniej zdawało. Góry zniknęły, pochłonęła je ciemność, tylko sylwetka Sissi była widoczna daleko przed nim niczym chybotliwy strzęp mgły.

Wyglądało na to, jakby dziewczyna była bardzo pewna, że idzie właściwą drogą. Antonio musiał się uważnie rozglądać i uważać, gdzie stawia nogi, ona tymczasem szła szybko i pewnie.

Jedna sprawa go niepokoiła. Otóż Jordi musiał jechać spory kawałek z miasteczka, a potem jeszcze długo iść coraz bardziej zarośniętą ścieżką przez równinę. Czy on i Sissi mają całą drogę pokonać piechotą? To chyba zajmie bardzo dużo czasu?

Zawołał do niej, czy nie lepiej zawrócić?

Nie odpowiedziała.

Och, musi być jakaś miara determinacji!

Raz po raz znikająca mu z oczu, ale po chwili znowu się pojawiała w świetle jego latarki. Kołysząca się, roztańczona, jakby nie miała na sobie zwyczajnego sportowego ubrania, ale jakieś cieniutkie, zmysłowo powiewające szaty w mieniących się kolorach.

Antonio zatrzymał się i przecierał oczy. Był zmęczony, zły i niczego nie pojmował. Takie zachowanie to niepodobne do Sissi. W najmniejszym stopniu.

Najgorsze ze wszystkiego było jednak to, że odczuwał do niej silny pociąg erotyczny. Momentami dławiąco intensywny.

Ona sprawiała wrażenie zniecierpliwionej. Machała do niego białym ramieniem, żeby się pospieszył, a on posłusznie wyciągał nogi.

Białe ramię?

Sportowa kurtka Sissi jest granatowa.

Białe, nagie ramię?

Wciąż wolno idąc naprzód, wydobyl z kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił do Mortena.

Kiedy tamten odpowiedział, Antonio rzekł cicho:

- Morten, ja idę za Sissi, ale moim zdaniem ona zachowuje się bardzo dziwnie. Zresztą

wszystko zrobiło się dosyć dziwne, co mam począć?

- Idziesz za Sissi? - usłyszał zdziwiony głos Mortena. - Ale ona siedzi tu z nami i czeka na ciebie! Nie znalazła cię na ulicy i wróciła.

Antonio więcej go nie słuchał. Wyłączył telefon, zawrócił i ile sił w nogach popędził z powrotem do gospody. Potykał się o kolczaste krzewy, tracił z oczu ścieżkę, jeśli to w ogóle była jakaś ścieżka, ale starał się kierować na pojedyncze światełka we wsi.

Zdawały mu się teraz bledsze, jakby przesłonięte mgłą.

I... Serce z przerażenia przestało mu bić. Słyszał za sobą kroki. Gniewne kroki zbliżały się coraz bardziej. Wciąż jeszcze odległe, bo tamta postać odeszła od niego daleko i być może nie od razu odkryła, że zawrócił, ale teraz biegła szybko!

Antonio starał się wydobyć z mięśni wszystkie siły, wciągnął powietrze, rzucił się naprzód, i dopadł do pierwszych zabudowań. Biegł dalej, odbijał się od ścian niczym pijany, bowiem jakaś potworna siła ciągnęła go w tył, słyszał za sobą te skradające się po kryjomu kroki...

Kiedy światła przed nim stały się wyraźniejsze, usłyszał wściekle prychnięcie, jakby kota, potem głośno załopotwały wielkie skrzydła, miał wrażenie, jakby nad jego głową przepłynęła chmura, po czym znalazł się na głównej ulicy.

Zobaczył przed sobą dwóch obcych mężczyzn, zaraz potem ukazała się trójka jego przyjaciół, którzy wybiegli z gospody i Antonio rzucił się w ich stronę, jakby byli jego ostatnią deską ratunku.

Kroki za nim ucichły, już go nikt nie gonił.

Przechodnie patrzyli zdumieni, jak przyjaciele wprowadzali go do gospody.

Cała czwórka poszła na górę do pokoju, który Antonio dzielił z Mortenem. Antonio opadł na krzesło.

Dysząc ciężko opowiedział, co się stało.

Przyjaciele słuchali w milczeniu, zaszokowani.

Potem Antonio wstał i przytulił do siebie obie panie, Morten obejmował ich wszystkich. Długo tak stali w tym zamkniętym kręgu, śmiertelnie przerażeni.

- Mój Boże, co to za świństwo przypadło nam w udziale? - powiedział w końcu Antonio przygnębiony. - Najpierw Morten został zwabiony i odciągnięty od Sissi. Potem na nią ktoś napadł w grocie. I teraz ja... Bóg raczy wiedzieć, jaki los mnie czekał, gdybym szedł dalej...

- A najgorsze ze wszystkiego - westchnął Morten - jest to, że nie mamy kontaktu z naszymi przyjaciółmi z Galicji. Boże, co się z nimi stało?

CZEŚĆ TRZECIA
W IMIENIU NIEBIOS

Najpierw panowała zupełna cisza.

Z czerwonego mroku wylaniały się wszystkie złowieszcze narzędzia tortur oraz ich operatorzy. Wszystko wyglądało niczym groteskowy, trójwymiarowy obraz albo jak gabinet figur woskowych. Pięcioro ludzi, którzy wyszli z piwnicznych lochów nie wierzyło własnym oczom.

- W imię Boże, a to co takiego? - szepnęła Gudrun.

- Właściwe słowa - mruknął Jordi. - Bo oni właśnie w imię Boga popełniali najstraszniejsze grzechy, jakie świat widział.

Scena powoli nabierała życia. Pojawiły się dźwięki, najpierw ledwie słyszalne, potem coraz głośniejsze. Szelesty, trzaski i echo śmiertelnych krzyków z minionych czasów docierały do przybyszów stłoczonych przy zamkniętych drzwiach i zmuszały ich do zatykania uszu. Jordi objął Unni i mocno przycisnął do siebie, chcąc ją ochronić, choć wiedział, że to się na nic nie zda.

Zostali oto bowiem wszyscy pojmani i zamknięci w sali tortur z piętnastego wieku. W sali tak ohydnej, że na sam widok jej wyposażenia robiło im się słabo.

- Pamiętajcie, że to wszystko to omam - powiedział Jordi do swoich przyjaciół.

- Ale kiedyś to była prawda? - Unni uważała, że wszystko wygląda jak najbardziej realistycznie.

Pięć osób z końca dwudziestego wieku zostało przeniesionych w czasy odległej przeszłości i pozbawionych wszelkiej pomocy. Koła maszynierii zaczęły się obracać, mnisi wyrwali się z egzystencji, na jaką byli skazani przez ostatnie pięć wieków.

- AMOR ILIMITADO SOLAMENTE! - wrzasnęła Unni ile sił w płucach.

Sześciu katów drgnęło, robiąc krzywe miny, ale ich grymasy rychło przemieniły się w pełne triumfu śmiechy, gdy stwierdzili, że wrogowie nie mają przy sobie groźnych znaków.

Obrzydliwie szybko zlecieli ze swoich miejsc przy narzędziach tortur i rzucili się na pięcioro przybyłych. Tutaj kaci byli u siebie, tu dysponowali niewiarygodną siłą, ale mimo to najpierw rzucili się na najsłabszą w grupie, na Juanę. I chociaż przyjaciele starali się jej pomóc, została pochwycona i uniesiona w głąb sali. Pedro starał się ochraniać Gudrun, ale ją również porwał jeden z mnichów. Pedro był następnym, za którego się wzięli. Krzyczał głośno z wściekłości i strachu, ale na siłę mnichów nie było rady, choć Jordi i Unni starali się z nimi walczyć.

Trzej pozostali mnisi jakby się wahali, bo oto nadeszła kolej na ich najzacieklejszych wrogów. Unni miotała obraźliwe wyzwiska, ale na tych „sinych, heretyckich impotentów”, jak ich nazywała, nic nie działało, wprost przeciwnie, wściekłość zdawała się dodawać im sił. Czują już na ramionach ich szponiaste łapy, potem została oderwana od Jordiego, który teraz musiał sam walczyć z dwoma ostatnimi potworami.

Wszystko dokonało się tak szybko i brutalnie, że chociaż piątka przyjaciół trzymała się mocno razem, potworna siła odrywała ich od siebie, jedno po drugim.

Skąd im się bierze ta siła? zastanawiał się Jordi, wleczony, mimo desperackiego oporu po kamiennej podłodze. Kiedy byłem tu ostatnio, wcale nie mieli takich możliwości. Dotarła do nich skądś nieludzka, potworna siła. Kto im ją daje?

Zerwano z niego T - shirt, związano mu ręce z tyłu, zmuszono, by leżał z twarzą przy brudnej ziemi. Zajmowało się nim dwóch mnichów i najwyraźniej było to niezbędne. Jordi odczuł gorzki triumf, kiedy sobie to uświadomił.

W starym kościelnym lochu wszystko działo się równocześnie, ale każdy z ludzi doznawał własnych przeżyć.

Z pozoru najlepiej radziła sobie Gudrun. Walczyła zaciekle, szarpała i kopała w mało kobiecy sposób, nie miała tylko ochoty drapać trupiej skóry swojego prześladowcy. Wszystko to jednak na nic, została zamknięta w jednej z klatek i zawieszona pod brudną powalą. Spoglądała stamtąd wprost na palenisko, gdzie leżały rozżarzone miecze, gotowe do użycia, dymiące.

Słyszała, jak Pedro woła ją po imieniu, a ona odpowiadała uspokajająco, choć serce rwało jej się na strzępy, próbowała odwracać głowę, by zobaczyć, co się dzieje z nim i z pozostałymi, ale w klatce było tak ciasno, że nie mogła się ruszyć. Słyszała krzyk Juany: „Miguel! Musimy ostrzec Miguela!” Gudrun jednak nie mogła nic zrobić. Zwinięta we dwoje, zamknięta, upokorzona, sponiewierana. Zawieszona wysoko, gdzie z pewnością czeka ją powolna śmierć głodowa.

Klatka została przyciśnięta do sklepienia, Gudrun nie mogła jej rozkołysać. Jedyne, co mogła zobaczyć, to kilka innych klatek, również „zamieszkanych”. Gudrun właściwie nie chciała nawet zerkać w tamtą stronę, ale wyglądało na to, że ci, którzy w nich siedzą, są żywi, choć może niewiele im już zostało na tym świecie. Z jednej klatki sterczały czyjeś nogi, białe i wysuszone, dyndające nad paleniskiem. Gudrun niechętnie uniosła wzrok i napotkała spojrzenie dwojga oczu, niepokornych, płonących pod kapturem zakonnego habitu.

Przerażona skierowała wzrok na drugą klatkę i zobaczyła tam taką samą istotę. Kątem oka mogła dostrzec trzecią, zawieszoną na ścianie.

To siedmiu wyeliminowanych katów inkwizycji, pomyślała wstrząśnięta. No to mogli spróbować własnego lekarstwa. Teraz rozumiem, dlaczego się tak boją unicestwienia.

Byli tacy wychudzeni, raczej należałoby powiedzieć: wyschnięci, że musieli tak wisieć od dłuższego czasu.

Bogu dzięki, że chociaż jakaś sprawiedliwość istnieje, pomyślała z pełnym gorzki uśmiechem.

Sytuacja jednak nie nastrajała do uśmiechów. Na dodatek Gudrun była głodna. Od śniadania w hotelu minęło wiele czasu, jak wiele nie potrafiłaby powiedzieć. W ogóle czas stał się słowem bez treści.

Na co tak się gapią ci kaci? Dlaczego rzucają przerażone, niemal oszalałe spojrzenia gdzieś daleko poza mnie? Nie mogę się odwrócić...

Pedro? Co się z nim stało? Gudrun nie słyszała jego głosu od tamtej chwili, kiedy wołał ją po imieniu i potem, gdy wydał krótki, przzerwany krzyk bólu. Ale pośród tych wszystkich rozdzierających wrzasków, tego łoskotu łańcuchów i trzeszczenia starych, budzących grozę urządzeń, niełatwo było usłyszeć coś innego.

Bała się o niego. Bardzo, bardzo się bała. Nie wolno narażać go na cierpienia, jest na to za szlachetny, za delikatny. Zbyt wspaniały i dobry, by konfrontować się z takim barbarzyństwem i brutalnością.

A co z innymi? Unni krzyczała na swego prześladowcę, Gudrun dobrze to słyszała. Jakie to typowe dla Unni, niepokorna i waleczna do ostatka!

Nie, nie wolno tak myśleć! Do jakiego ostatka?

Gudrun drgnęła. Boże, te wychudłe potwory w klatkach sprawiają wrażenie, jakby chciały rzucić się na nią i w ten sposób zaspokoić swój straszliwy głód. Cienkie, kościste łapy o dłoniach jak szpony sępa wyciągały się do niej, a były przerażająco blisko, choć nie na tyle blisko, by ją pochwycić i rozerwać na sztuki, ślepią płonące w wyschłych twarzach, szalone z głodu, gapiły się na jej ramiona, których nie miała czym okryć.

Głęboki dreszcz przeniknął ciało Gudrun i spuściła wzrok.

Wtedy stwierdziła, że ktoś zabrał miecze z paleniska.

Pedro siedział na zimnej, nierównej kamiennej podłodze z podciągniętymi kolanami i plecami przy niewygodnym słupie pręgiarza. Żelazna obręcz przytwierdzona do słupa, została założona na jego szyję. Gniotła go na karku i pod uszami. Jeśli coś w tej sytuacji budziło jego wdzięczność to to, że obręcz nie ma od wewnętrznej strony gwoździ, które mogłyby mu się wbijać w skórę. Chociaż tego najgorszego wariantu zdołał uniknąć.

Widział Gudrun na górze, w klatce, i serce mu krwawiło ze współczucia. Dobrze, że na razie jest jako tako bezpieczna. Również Pedro widział wyeliminowanych mnichów w klatkach, dostrzegał większość z tych siedmiu i zdawał sobie sprawę, że nie powodzi im się za dobrze. Nad ich losem jednak płakać nie zamierzał.

Jego osobisty strażnik syknął mu do ucha: „Heretyku, wyznaj swoje grzechy! Żałuj za nie, nim staniesz przed obliczem Pana, byś mógł liczyć na życie wieczne!”

- Ale ja nie jestem heretykiem - objaśnił Pedro urażony. - Jestem dobrym katolikiem, zawsze byłem. A poza tym to całe gadanie o heretykach jest obrzydliwie staroświeckie...

Zardzewiała obręcz została jeszcze trochę zaciśnięta i wbiła mu się w krtań. Pedro nie był w stanie powstrzymać jęku. Strach zaczynał się w nim budzić na dobre.

„Ale trzymasz z tymi przeklętymi zdrajcami, rycerzami, którzy pracują dla diabła!”

- To są ludzie o czystych sercach. Tacy zasługują na łaskę w oczach Pana.

„Nie waż się wymawiać imienia Pana swoimi grzesznymi ustami!”

Obręcz została gwałtownym szarpnięciem jeszcze trochę zaciśnięta. Pedro nie mógł już mówić, z trudem oddychał.

Powinniśmy przekazać wiadomość grupie Antonia, ostrzec ich, myślał Pedro. Może prosić o pomoc.

Obręcz na szyi została zaciśnięta jeszcze bardziej.

Tylko jak moglibyśmy to zrobić? Tkwimy tu wszyscy po uszy, zastanawiał się, a krew pulsowała mu w skroniach boleśnie. Jeszcze inna sprawa budziła w nim niepokój. W tym starym kościele znajdowało się coś więcej, nie tylko ta izba tortur. Coś, czego Pedro nie mógł widzieć, ale co wyczuwał wszystkimi zmysłami. Gdzieś z tyłu, za sobą. Spojrzenia mnichów też wskazywały, że coś tu jest.

Obręcz została dociśnięta, sytuacja zaczynała być krytyczna.

Boże, co takiego uczyniłem, by zasłużyć na to? powtarzał bliski utraty przytomności. Huczało mu w głowie, nie mógł zebrać myśli. Czy nie chodziłem dostatecznie często do kościoła? A może to zdrada, jakiej się dopuściłem wobec Flavii? Czyż jednak nie byłoby większą zdradą, gdybym się z nią ożenił...? Co się dzieje z innymi...? Co z Gudrun? Boże, pomóż mi... nie jestem w stanie... dłużej oddychać...

Wściekła Unni złapała rozpalony do czerwoności pogrzebacz i zamachnęła się na mającego się nią zająć mnicha.

- Stop! - wrzasnęła. - Zbliżysz się do mnie choćby o milimetr, to ci oparzę mordę!

Kat inkwizycji odskoczył, miał bowiem w pamięci okrutny los swoich kolegów.

„Nie chcę ci zrobić nic złego” - mówił przymilnym głosem i przez cały czas próbował podejść bliżej. „Błagam cię tylko: zawróć! Zawróć, grzesznico, zmień swoje życie, heretyczko tak, byś mogła wejść do nieba.

- Gówniarz!

Mnich dosłownie wił się u jej stóp. „Przecież wiesz, że my jesteśmy wysłannikami Pana. I robimy to wszystko w imieniu Niebios”.

- I myślisz, że ty też trafisz do niebios?

Te słowa zaszokowały go do tego stopnia, że Unni zdołała jeszcze dodać:

- Czy tych siedmiu twoich kompanów się tam może dostało? Mam na myśli tych, którzy teraz tutaj dyndają w klatkach pod sufitem. Czy to takie niebo nam proponujesz?

W tym momencie kat inkwizycji był już taki wściekły, że zlekceważył groźby i słowa swojej podopiecznej. Rzucił się na nią i zdołał wyrwać jej rozpalony pogrzebacz Tymczasem jednak Unni zauważyła już inną drogę wyjścia. Od jednej z klatek odpadł drewniany pręt. Ułożyła go na skos przy czole i mocno przycisnęła nadgarstkami obu rąk, dłonie zaś odchyliła na zewnątrz, ramiona przycisnęła do ciała, tworząc w ten sposób znak rycerski. Potem zwróciła się ku mnichowi i krzyknęła:

- AMOR ILIMITADO SOLAMENTE!

Przeciwnik nie miał szans. Najpierw gapił się na nią z rozdziawioną gębą, kompletnie ogłupiały, potem zaczął gwałtownie dygotać, aż w końcu z krzykiem osunął się na podłogę i zamienił w kupkę pyłu.

Niestety, ten mnich, który wyciągnął klatkę Gudrun na górę i teraz był bezrobotny, zdążył złapać Unni od tyłu, potrząsał nią z całej siły, dopóki drewniany pręt nie wypadł na ziemię, a potem związał jej ręce na plecach.

„Więcej szkód już nie narobisz - syknął jej do ucha. - Teraz zapoznasz się z żel. Żelazną dziewicą!”

Unni kręciło się w głowie od szybkości wydarzeń, od gorącego, dławiącego dymu z paleniska i od tego okropnego hałasu.

Z miejsca, w którym stała nie mogła dostrzec Jordiego, ale inne zjawisko zajmowało ją coraz bardziej i budziło potworny strach.

Co to jest ta jakaś zielonkawa poświata, spływająca z najdalszej części kamiennego sklepienia? We fragmencie piwnicy tonącym w mroku. Nie podobało jej się to, bo w żadnym razie nie powinno było tu się pojawiać.

Nagle drgnęła gwałtownie. Dopiero teraz dotarło do niej, co powiedział mnich. Żelazna dziewica?

Nie! Tylko nie to! Nie wierzyła już ani trochę słowom Jordiego, że to wszystko, to jedynie omam, iluzja. To przecież potwornie prawdziwa rzeczywistość! Unni absolutnie nie miała zamiaru sprawdzać jego teorii na żelaznej dziewicy.

Tam w kącie stoi owo osławione paskudztwo. Unni została uniesiona z ziemi i choć szarpała się i kopała z całych sił, kaci dźwigali ją przez całe pomieszczenie ku górującemu, podobnemu do skrzyni urządzeniu, kształtem przypominającemu stojącą kobietę. Nordycki wariant tego aparatu nazywa się beczka z gwoździami. Pewna duńska księżniczka została zamknięta w czymś takim i toczona po zboczu. Jak to ona się nazywała, Mała Tove, czy Mała Karin? A może i tak, i tak, baśnie się zmieniają.

Boże drogi, jakimi drogami krążą moje myśli! Unni była śmiertelnie przerażona. Wyła ze strachu, patrząc na wznoszącą się nad nią niczym wieża żelazną dziewicę, zwłaszcza, że teraz widziała już wszystkie okropnie długie i wyostrzone gwoździe w środku. I na ścianach urządzenia, i na podłodze.

- Jordi! - wrzeszczała i wiła się niczym węgorz, by wyrwać się z uwięzienia.

„Teraz zostało nas już tylko pięciu! - syknął jej do ucha wściekły mnich. - Jeśli ktoś ma tutaj umrzeć, to na pewno ty, czarownico!”

Czarownico? To całkiem nowy tytuł. Unni uważała, że niezbyt jej przystoi.

- Jordi! Na pomoc!

Ale Jordi nie mógł jej usłyszeć.

Biedna Juana na szczęście nie pojmowała powagi sytuacji. Przynajmniej na początku. Bała się, oczywiście, jednak wierzyła Jordiemu, gdy mówił, że to wszystko jedynie omam. Bo czy coś takiego mogłoby istnieć naprawdę? Juana zwiedziła rzecz jasna wiele najróżniejszych muzeów inkwizycji, ale uważała, że to tutaj zostało stworzone przede wszystkim do straszenia turystów. Niezwykle przekonująca inscenizacja! Tylko że pozbawiona smaku. Fe, kompletnie bez gustu!

Patrzcie, tam oto zawiesili Gudrun w klatce pod sklepieniem. Juana uważała, że zabawne to to nie jest. Czy inni zwiedzający będą się z czegoś takiego śmiać?

I Pedro został przykuty stalową obręczą do pręgierza.

Ale... czy to przypadkiem nie jest na poważnie? I dlaczego Unni walczy tak zaciekle?

Dlaczego wszyscy walczą?

Wtedy wybrany kat Juany zwrócił się ku niej, a ona spojrzała w najbardziej przerażającą twarz, jaką kiedykolwiek widziała. Nawet w filmach grozy coś takiego nie mogłoby się pojawić. On przecież nie jest żywą istotą, nie mógłby żyć z taką twarzą i z takimi

oczyrna.

Kiedy Juana zdała sobie sprawę z tego, co się ma stać, zawołała przerażona:

- Miguel! Musimy ostrzec Miguela!

Potem została rzucona na ławę, z której sterczała zębata piła, ostre zęby wbiły się w plecy dziewczyny, a jej ręce zostały szeroko rozciągnięte, zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje. Kiedy budząca grozę postać pochyliła się, by podobnie rozciągnąć jej nogi, Juana zaczęła kopać i szarpać, ale wtedy zęby piły jeszcze boleśniej wbijały się w jej plecy i Juana nie mogła powstrzymać jęku. Kopnięty mnich zatoczył się w tył, ale sił miał wystarczająco dużo, by mimo sprzeciwu dziewczyny rozpiąć jej nogi w taki sam sposób jak ręce.

Urządzenie do odzierania ze skóry, pomyślała wstrząśnięta. Ława z dodatkowymi bajerami, jak na przykład ta piła zębata, wbijająca się w moje plecy.

Mój Boże, a co z resztą? zmartwiła się.

Widziała tylko plecy Gudrun w klatce pod sufitem.

A Miguel? Sam, opuszczony w tych katakumbach.

Biedny chłopak. Za nic nie wolno dopuścić, by przyszedł tutaj! Nie wolno! Ja nie pozwalam...

- Trzeba pomóc Miguelowi! - krzyknęła w nadziei, że przyjaciele ją usłyszą. - Nie możemy zostawić go samemu sobie! On nie może tutaj przyjść! O, Miguel, on, taki miły i sympatyczny!

Mnich ściągnął rzemienie, które ją unieruchomiły i narzędzie tortur ruszyło z trzaskiem. . Juana odchyliła głowę w tył.

- Au! To boli!

Z bólu pociemniało jej w oczach, mimo to widziała za sobą jakąś poświatę. Coś jak wielki, zielonkawy cień...

Jordim zajmowało się dwóch. Skrępowali mu ręce na plecach, związali też mocno nogi. Leżał z twarzą blisko palącego się ognia i niewiele widział, szczerze mówiąc tylko brzег habitu mnicha, który biegał nieustannie między nim a paleniskiem.

Myśli Jordiego wciąż były przy Unni. Słyszał, jak ukochana wyklóca się ze swoim katem. Bądź ostrożna, najdroższa! Ty jesteś taka porywczą!

W rozpaczy myślał o tym, co powiedziała mu tego samego ranka, że mianowicie już wiele dni minęło od terminu kiedy powinna się była pojawić jej kolejna miesiączka.

Przytulił ją do siebie mocno i długo trwali objęci, przepelnieni mieszaniną szalonych uczuć: radości, strachu i rozpaczy.

W końcu Unni powiedziała z płaczem:

- Przynajmniej będziemy mogli ucieszyć Vesłę i Antonia, teraz oni mogą mieć bezpieczne dziecko, nieobciążone złym dziedzictwem. Muszę jak najszybciej zadzwonić do Vesli.

Ale nie było na to czasu. Ani Vesla, ani Antonio nie dostali żadnej wiadomości, Jordi i Unni chcieli poczekać do wieczora, kiedy jednak Jordi rozmawiał z bratem, mieli do przedyskutowania wiele ważniejszych spraw. Trzeba było jak najszybciej szukać przesłania zostawionego przez tych, którzy przynosili skarb.

No a teraz nie było żadnej możliwości kontaktu. Każda z grup znajdowała się w innym czasie, każda w swoim stuleciu. Telefon komórkowy był w tej sytuacji bezwartościowym przedmiotem, w żaden sposób nie mógł ich połączyć.

Nagle Jordi zobaczył czubek rozpalonego do czerwoności miecza.

Nie! Co to ma być?

Nie musiał długo czekać, żeby się dowiedzieć.

Miecz został wbity pod skórę na jego karku i wolno się pod nią przesuwał. Odór palonego mięsa... Jordi nawet nie zdążył krzyknąć. Stracił przytomność z potwornego, nieznośnego bólu.

A więc znajdowali się tutaj, wszyscy razem.

Ale Pedro już nie oddychał. Żelazna dziewica została zamknięta z Unni w środku. Jordi był nieprzytomny. Podobnie Juana, która nie zniosła bólu, jaki jej zadano, rozciągając ręce i nogi tak, że członki zostały wyrwane ze stawów. Gudrun też straciła przytomność ze strachu, kiedy jeden z mnichów w sąsiedniej klatce zdołał ją pochwycić za ramię i próbował je oderwać od jej ciała.

Krzyki ucichły.

Tabris był wściekły.

Wyłonił się z cienia, teraz znowu pod postacią demona, i ćwiczył śmiertelnie przerażonych mnichów żelaznym prętem.

- Czyście wy kompletnie pogłupieli? - wył. - Nie po to dałem wam tę moc. Mielście się tylko z nimi pobawić, tak dla demonstracji siły, ale wy oczywiście wszystko potraktowaliście dosłownie. Tym ludziom mamy towarzyszyć, aż doprowadzą nas do celu. A jak się to ma dokonać teraz, po tym, coście zrobili? Uwolnijcie ich, natychmiast, nie ma chwili do stracenia! Najpierw tego starszego mężczyznę i dziewczynę zamkniętą w beczce!

Mnisi biegali tam i z powrotem w historycznym strachu przed tym budzącym grozę demonem ze skrzydłami i szponami. Drżącymi rękami rozciągali obręcz na szyi Pedra i otwierali żelazną dziewicę.

„Teraz zostało nas tylko pięciu - żalił się jeden. - A czyja to wina? Jej! Nie zasłużyła na nic lepszego”.

Wytrząsnął zakrwawioną Unni na podłogę i zostawił ją leżącą, prawdopodobnie z nadzieją, że i tak jest martwa, ale też z podejrzeniem, że akurat tego Tabris sobie nie życzy.

Klatka z Gudrun zjechała na dół, Juana została uwolniona z więzów.

- A teraz wynoście się stąd. - ryknął Tabris, pokazując zakrzywionym szponem drzwi.

Kaci zniknęły dosłownie w jednej sekundzie.

Tabris znowu stał się Miguelem.

Chodził po izbie tortur wokół piątki nie dających znaku życia ludzi i wolno dotykał ich ciał oraz twarzy. Pedro znowu zaczął oddychać, rany Jordiego i Unni zostały zabliznione, krew usunięta. Zatrzymał się przy Juanie, jego dłonie leczyły jej zmasakrowane członki.

„Nas też wypuść! - wyli mnisi w klatkach pod powałą, zamknięci tam na całą wieczność. - Teraz jest nas tu już ośmiu!”

Demon popatrzył na nich. - Nie - odparł krótko. - To nie moja sprawa.

W końcu stanął w drzwiach izby tortur i uczynił ruch ręką. Zrujnowane piwnice pod kościołem stały się znowu klasztornym muzeum, które w swoim czasie odwiedził Jordi. Z ulicy słyhać było szum samochodów i głosy ludzi.

Przyjaciele budzili się oszołomieni, rozglądali się nie pojmując, gdzie są, niepewnie dotykali własnych ciał. Pedro złapał się za szyję, nie rozumiał nic a nic.

- Więc to jednak mimo wszystko był omam - rzekła Gudrun niepewnie. - Ale za to jaki omam! Byłam absolutnie pewna, że...

Unni drżały ręce.

- Widziałam cię tam w górze, Gudrun.

- Naprawdę? I ja tam rzeczywiście byłam!

- Ja też cię widziałem - wtrącił Pedro. - Ale siedziałem przykuty do pręgierza, żelazna obręcz dusiła mnie tak, że w końcu przestałem oddychać. Myślałem, że umrę. I ciebie też widziałem, Juano. Rozpiętą na ławie.

- To było straszne - szepnęła Juana ocierając łzy. - To najgorsze, co mnie w życiu spotkało.

- Koszmar - przytaknął Jordi. - Nie jestem w stanie o tym myśleć.

- Jordi - powiedziała Gudrun z powagą. - Ciebie ja nie widziałam. Ale czułam woń spalonego ciała.

- Tak było - przytaknął Jordi. - A co z tobą, Unni? Tak strasznie się o ciebie martwiłem.

- Później - odparła Unni ochryple. - Wszystko opowiem później. Jeśli zdołam.

- O, a wy siedzicie tutaj! - zawołał Miguel radośnie od drzwi i wszyscy zwrócili się ku niemu. - A więc znaleźliście schody na górę? Świetnie! W takim razie wychodzimy stąd na ulicę, a potem obejdziemy dookoła kwartału, dobrze? Nie mam już ochoty na błądzenie po omacku pod ziemią. To było okropne! Myślałem, że już was nigdy nie znajdę.

Juana podbiegła do niego.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co myśmy przeżyli! Tak strasznie się martwiłam, że zostawiliśmy cię samego w katakumbach.

Miguel o mało nie powiedział, że zdawał sobie z tego sprawę, ale zdołał się w porę powstrzymać. Chciał też im powiedzieć, że zgubili się jedynie na parę krótkich chwil, ale widział, że Gudrun ma zegarek, więc nie mógł.

Zamiast tego rzekł całkiem niewinnie:

- No a co przeżyliście w podziemiach? Znaleźliście to, czego szukacie?

- Nie w podziemiach - zawołała Juana. - Tutaj. - Tutaj?

Jordi im przerwał.

- Porozmawiamy o tym innym razem. Teraz chcemy wrócić do hotelu.

Wszyscy bardzo pragnęli właśnie tego. Znaleźć się jak najdalej od tych okropności, kompletnie niepojętych.

Głęboko wstrząśnięci i oszołomieni otwierali drzwi na ulicę.

I stanęli zaskoczeni.

Nie zdali sobie sprawy, że w klasztorным muzeum palą się światła. W pomieszczeniach nie było przecież okien.

Teraz stwierdzili, że na dworze jest ciemno. I że nocne życie w mieście wygasa. W świetle ulicznych latarni widać było ostatnich elegancko ubranych przechodniów, wracających do domu. Samochodów też prawie nie było.

Spędzili w tym koszmarze cały dzień i blisko całą noc.

Frenesi

Kiedy pierwsze światło brzasku szarą smugą spoczęło nad czarnym horyzontem, Tabris wylądował na płaskowyżu, na którym po raz pierwszy wyszedł na ziemię. Zarena jeszcze nie przyleciała. Tabrisem szarpał bezsilny gniew, aż się z niego skry sypały, na co odpowiadały grzmotem i błyskawicami ciężkie, burzowe chmury wiszące nisko nad dzikimi rozpadlinami płaskowyżu.

Przekłęci ludzie, pomyślał i kopnął kamień z taką siłą, że ten odleciał wiele metrów dalej. Cholerni mnisi, do diabła z całym tym zadaniem!

Usłyszał szum skrzydeł i natychmiast twarz mu złagodniała. Była teraz obojętna i nieprzenikniona.

Stanąła przed nim Zarena.

Agresja między tymi dwojgiem była tak wielka, że powietrze wokół nich drżało. Ale rozmawiali ze sobą z chłodną rezerwą.

- To wszystko jest za łatwe, za proste - prychnęła Zarena. - Nie ma w tym nic zabawnego. Ludzie są tacy głupi. Dlaczego nie możemy ich po prostu zmiażdżyć między palcami i raz na zawsze z nimi skończyć?

- Mam rozumieć, że wykonałaś swoje zadanie? - spytał Tabris szorstko, jakby jej odpowiedź wcale go nie interesowała.

- Jakie zadanie? Wystarczy, że kiwnę palcem, a już chłopcy lecą na wyścigi i popuszczają w spodnie.

- A kobiety?

- Kobiety są bez znaczenia.

Jakaś iskra wywołana grzmotem, napotkała inną z tych, którymi sypał Tabris, i w jednej chwili płaskowyż zalała fala ognia. Zarena zachichotała szyderczo:

- Jesteśmy dzisiaj w znakomitym humorze, jak widzę.

- No więc co takiego zrobiłaś? - zapytał, nie zwracając uwagi na jej złośliwości.

- Chyba nie jestem przed tobą odpowiedzialna za moje działania?

- Nie jesteś, dajmy temu spokój.

Ta odpowiedź zirytowała Zarenę, wyciągnęła ku niemu swoje mieniące się, żółtozielone pazury i syknęła:

- Najpierw uwiodłam małolata. Tego, który na sam mój widok robi się czerwony.

- Uwiodłaś go? A to dlaczego?

- Tak sobie, dla zabawy. Chciałam go odciągnąć od takiej jednej, cholernie fałszywej panienki o jasnych włosach.

Tabris uniósł górną wargę, odsłaniając ostre kły w nieprzyjemnym grymasie.

- Powinnaś być ostrożniejsza!

- Nie, do niczego nie doszło, bo ten starszy facet, taki surowy jak jakiś pastor przyszedł i wszystko zepsuł. No to ja go za to wywabiłam wieczorem na pustkowie, świętoszka. Leciał za mną na złamanie karku, a napalony był...

- Dostyc, już dziękuję! Co ty masz z tymi mężczyznami, to przecież nie należy do naszego planu, nie powinni cię wcale obchodzić.

- Przecież by mnie nie zjadł.

- A więc go nie uwiodłaś?

- Coś nam przeszkodziło.

Zarena nie chciała przyznać, że Antonio za nią szedł, bo myślał, że to Sissi, i że uciekł, gdy tylko zdał sobie sprawę z pomyłki. To zbyt przykre dla kogoś takiego, jak ona.

- Przecież chyba mam też prawo do odrobiny rozrywki - powiedziała ponuro i zaraz zapytała swoim zwykłym, aroganckim tonem:

- A ty, co robiłeś ze swoimi dziewczynami? Łaskotałeś je w różne miejsca, a potem sam musiałeś się zaspokajać ręką, bo jesteś za duży dla tych nędznych ludzkich bab?

- Ja bym żadnej z nich nawet nie dotknął - burknął Tabris, którego tak irytowały te zarozumiałe, obraźliwe wypowiedzi Zareny, że chętnie by jej przyłożył.

- No to co robiłeś?

- Dużo więcej niż ty. Załatwiłem sobie wejście do grupy. Będę im towarzyszył przez całą drogę jako ich przyjaciel Miguel.

W jego oczach płonął triumf. Zarena zrobiła się z zazdrości zielona jeszcze bardziej niż zwykle.

- Kłamiesz!

- Nie. Na pożegnanie odwiozłem ich do hotelu, gdzie mieszkają. Oni znaleźli coś, czego nie chcą mi pokazać. Jeszcze nie. Ale nabrali do mnie zaufania, a kiedy zapytali mnie o jakąś miejscowość, nie pamiętam nazwy, powiedziałem, że wiem, gdzie to jest. Poprosili mnie, żebym tam z nimi pojechał. Postaram się, żeby i później mnie potrzebowali.

Tabris zamilkł. Zarena przyglądała mu się podejrzliwie.

- Co ty ukrywasz? Ocknął się z zamyślenia.

- Nic. Miałem problemy z naszymi tak zwanymi zleceniodawcami.

- Z sępami? Jakiego rodzaju kłopoty? Przekroczyli swoje kompetencje. Zamierzali,

wymordować tych ludzi, całą piątkę.

Zarena zachichotała.

- O, do diabła! Oczywiście, ja też miałabym ochotę uciszyć te bezczelne ludzkie pokraki, ale przez jakiś czas będziemy musieli trzymać się w ukryciu.

Tabris jej nie słuchał, pograżył się w myślach, jego żółte, koźle oczy zwężyły się jak szparki.

- Jedno z moich ma specjalne zdolności.

- Ostatnim razem już to mówiłeś. Wtedy powiedziałeś nawet, że jest ich dwoje.

- Tak, ale teraz myślę o dziewczynie. Ona wyeliminowała jednego sępa.

Zarena ożywiła się.

- Jak to wyeliminowała?

- Nie wiem. Wypowiedziała kilka słów, uczyniła kilka znaków. Pozostałe sępy zamknęły ją w żelaznej dziewicy.

- O fuj! Wstrętne typy!

- Są po prostu głupi.

- Co się z tobą dzieje Tabris? Bez przerwy popadasz w zamyślenie.

- Co? Nie, myślę tylko, co mam robić w najbliższej przyszłości.

- To chyba proste! Trzeba się dowiedzieć, co oni zamierzają, i... - przeciągnęła ręką po gardle i zarzęziła wymownie.

- Tak - powiedział nieobecny myślami Tabris. - To będzie wielka rozkosz. Naprawdę wielka. Przeklęci ludzie!

- Przypadkiem zgadzam się z tobą całkowicie.

- Ja ich nienawidzę, oni mają uczucia!

Zarena spojrzała na niego zdumiona.

- Przecież my też je mamy, nie?

- Do innych?

Uśmiech Zareny był teraz szeroki.

- Nie no, ale co komu z tego przyjdzie? Każdy jest najbliższy sobie samemu. I wystarczy!

Tabris wpatrywał się przed siebie w milczeniu.

Zarena nie mogła już dłużej znieść jego zamyślenia. Prychnęła coś niezrozumiale i odleciała głośno machając skrzydłami.

Robi taki hałas jak wiszący w powietrzu helikopter, myślał Tabris pełen niechęci do swojej towarzyszki.

Znalazł sobie miejsce pośród skal na niewielkim wzniesieniu i usiadł ze spuszczoną głową, obejmując ramionami kolana. Skrzydła złożył niczym nietoperz i wyglądał jak jeszcze jeden sterczący występ skalny.

Wolno zaczął zapadać w sen, choć z trudem odzyskiwał spokój. Musiało minąć sporo czasu, zanim znieawidzony ludzki świat opuścił jego myśli.

Przedtem nie miał pojęcia, że aż tak nienawidzi ludzkość.

Intermezzo:

Kawałek stamtąd - w bezpiecznej odległości - siedziało pięciu pozostałych jeszcze katów inkwizycji; kulili się, choć szarpał nimi gniew. Mówili jeden przez drugiego, wściekle, w napięciu, trudno ich było zrozumieć.

„Patrzcie, on siedzi tam, to ten wielki kokon”.

„Na co on nam? Nie o takiego prosiliśmy”.

„Nie pozwolił nam zabijać! Już ich mieliśmy i nie wolno nam było dokonać zemsty!”

„To przeklęty diabeł! Odebrał nam najlepsze!”

„Już ich mieliśmy w naszej izbie tortur. Wróbelki wpadły nam prosto w paszczę”.

„On ich nam przyprowadził i nagle. , taka zdrada!”

„Chyba nigdy nie nadarzyła się nam lepsza okazja. I chyba już nigdy takiej nie będziemy mieć”.

„Nawet nie marzyłem, że zbierzemy ich kiedyś wszystkich razem w takiej sytuacji. I w takim znakomitym miejscu”.

„W miejscu, które należy wyłącznie do nas, i w którym jesteśmy naprawdę silni”.

„To on dał nam siły, trzeba powiedzieć. Niezwykłe siły. A potem odebrał nam prawo korzystania z nich”.

Jeden z mnichów roześmiał się w złośliwym rozmarzeniu:

„Ale darli się, jak trzeba”.

Ponure oblicza pojaśniały.

„Nie zapomnieliśmy dawnej sztuki”.

„Och, jak rozkosznie było znowu wziąć w ręce narzędzia. Miecz na przykład. Uwielbiam woń ciała skwierczącego pod rozpalonym mieczem, uwielbiam go wbijać w skórę pod łopatkami”.

„Byłem absolutnie pewien, że ten stary to już nie żyje. Był kompletnie siny”.

„A ta dziewczyna, która odebrała nam jednego z braci? Sam widziałem, jak długie gwoździe dziewicy wbijają się w jej ciało, kiedy zamykałem dekiel”.

„Och, to była rozkoszna chwila”.

Wszyscy westchnęli.

„No a ty rozpiąłeś na ławie drugą z dziewczyn. Że też nie skorzystałeś z okazji, żeby sobie z nią pohulać!”

Mnich, do którego to się odnosiło, sposepniał. Ten przeklęty demon odebrał im

możliwość rozprawienia się z przeciwnikami.

Znowu ogarnął ich ponury nastrój.

„Nie pozwalał nam zabijać. Mieliśmy ich i nie . mogliśmy nikogo uśmiercić”.

„Śmierć temu nietoperzowi na skale!”

„Śmierć! Śmierć!” - powtarzali kompani.

„Dopadniemy go we śnie!”

„Brać, brać go, bracia! Idziemy!”

Przeniknięci wołą walki poderwali się z ziemi. Krążyli nad demonem niezdarnie, nigdy bowiem do końca nie opanowali sztuki latania.

„On śpi - powiedział jeden. - Go robimy? Co robimy?”

Nie zastanowił się nad tym przedtem.

„Odeślemy go z powrotem tam, skąd przyszedł”.

„No właśnie! Najlepiej wepchnąć go z powrotem do dziury w ziemi”.

Był to jednak pomysł skazany na niepowodzenie.

„Zjeżdżaj, stąd! - syczeli niecierpliwie. Sio! Znikaj w swojej otchłani, którą tak dobrze znasz!”

Nie odważyli się jednak obudzić demona. Machali tylko rękami, starając się go odegnąć tak, jak się odpędza kota. „A sio, sio!”

Tabris ani drgnął.

„Hallo, Mistrzu tam w dole, hallo - szeptał jeden z mnichów gorączkowo. - Zabierz go z powrotem. My go tutaj nie chcemy! Przyślij nam innego, Wielki panie i Mistrzu!”

Żadnej odpowiedzi, rzecz jasna nie otrzymali.

Zaczynali rezygnować.

„No to co teraz robimy?”

„Mam pomysł. Znakomity! Dźgnijmy go mieczem! * Rozpalonym do białości!”

„Tak! Tak!”

Ale nie mieli żadnego miecza.

„Wracajmy do naszej izby tortur! Trzeba przynieść miecze!”

Poderwali się znowu i odlecieli kawałek, ale tylko po to, by się przekonać, że ich izba tortur nie istnieje. Została w piętnastym wieku. Muzeum klasztorne w niczym nie mogło im pomóc. Było przecież czymś zupełnie innym.

Tym razem musieli więc zrezygnować. Ale następnym... ! Następnym razem pokażą temu zdradzieckiemu demonowi. Klęli na czym świat stoi.

Bo co, jak co, ale kląć to oni umieli, ci pokorni słudzy, którzy zawsze działali w

imieniu niebios. Tak przynajmniej twierdzili.

CZEŚĆ CZWARTA
PONAD GRANICAMI

Jordi i Unni leżeli w hotelowym łóżku, rozdygotani, przytuleni mocno do siebie. On wsunął rękę pod jej głowę, spoczywającą na jego ramieniu. Unni obejmowała jego piersi w taki sposób, jakby się bała, że lada chwila zjawią się mnisi, by go jej odebrać, więc musi go bronić. Jordi tulił ją niemal kurczowo.

- Ja tego nie rozumiem - powtórzył po raz chyba dwudziesty. - Nie rozumiem, jak iluzja mogła być aż taka silna. To prawda, że mnisi znajdowali się na własnym terenie, ale przecież aż tacy wyjątkowi nie są.

Unni drżała jak w gorączce.

- Ciągle nie mogę się pozbyć wrażenia, że tam było coś jeszcze.

- Tak, coś, czego oni się bali, bo może jest od nich silniejsze.

Nawet nie zwrócili uwagi, że nie mówią „ktoś”, ale „cos”. Jordi mówił dalej w zamyśleniu:

- Myślę, że to od tego czegoś pochodziła siła. Bo przecież to jednak niezupełnie była iluzja. To wyglądało na rzeczywistość.

- Ja też tak myślę.

Jordi pogłaskał Unni po policzku. Ona starała się przytulić do niego jeszcze bardziej.

- Prawie natychmiast straciłam cię z oczu, Jordi.

Tak strasznie mi ciebie brakowało, tak strasznie się o ciebie bałam.

- A ja o ciebie. Byłem śmiertelnie przerażony, bo nie wiedziałem, co się z tobą dzieje. Ja zostałem ciśnięty na kamienną posadzkę, Unni, wiesz, te rozpalone miecze były prawdziwe. My naprawdę znajdowaliśmy się w izbie tortur z piętnastego wieku. Czy mogliśmy wszyscy śnić ten sam „sen”? Czy można zemdleć, jeśli się przeżywa iluzję? Może ktoś jeden, bardziej wrażliwy, ale przecież nie wszyscy. Ta izba była równie prawdziwa jak wtedy, kiedy rycerze mnie naznaczyli.

- Nie, to niemożliwe. Znak rycerzy nadal masz na skórze, ale przecież nie został ci żaden ślad po tej straszliwej torturze, jakiej zostałeś poddany dzisiaj.

- To prawda. I właśnie tego nie mogę pojąć.

- Otóż to, Jordi. Ja też czułam jak gwoździe dziewicy wbijają się w moje ciało, najpierw w plecy a potem, po zamknięciu, wszędzie, nawet w twarz... w oczy... och, jak mnie to bolało!

Łzy znowu popłynęły jej z oczu i wybuchnęła rozpaczliwym szlochem.

Jordi dał jej tabletkę nasenną, którą przedtem dostał od Antonia. Sam zażył drugą. Trzymał Unni mocno przy sobie.

- Unni, a tamto, o czym rozmawialiśmy mniej więcej dobie tu?

- Wiem, o czym mówisz? Czy mamy prawo się cieszyć?

- No pewnie! I pamiętaj, że mamy czas, nie musimy robić niczego pośpiesznie.

Odwróciła się ku niemu gwałtownie.

- Masz na myśli aborcję? - spytała. - To w ogóle nie wchodzi w rachubę!

- No ale jeśli ja umrę? A przecież musimy się z tym liczyć!

- Czy w takim razie miałabym utracić jeszcze to jedyne, co mi po tobie pozostanie?

- Unni, najdroższa, jeśli ja umrę, to i ty zejdziesz z tego świata najpóźniej w trzy lata po mnie.

No tak, nie pomyślała o tym. Wtedy dziecko zostanie sierotą, w dodatku będzie musiało żyć z tym mieczem Damoklesa nad głową, że umrze w wieku dwudziestu pięciu lat.

- Wiele się nauczyliśmy - rzekła z uporem. - Zaszliśmy naprawdę daleko i możemy z tą wiedzą posunąć się jeszcze dalej. Tak, by dziecko mogło podjąć dalszą walkę w lepszych warunkach. Nie będzie musiało zaczynać od zera tak jak my.

Jordi westchnął. Zgadzał się z nią pod wieloma względami, ale żeby pozostawiać takie dziedzictwo małej dziecku...?

- Antonio i Vesla z pewnością zechcą się nim zająć na wypadek, gdyby... - zaczął wolno. - Ale...

Głośno wciągnął powietrze.

- My musimy wygrać tę walkę, Unni, musimy zwyciężyć! Ja chcę zobaczyć moje dziecko, chcę widzieć, jak dorasta, żyć dla niego.

- Ja także, Jordi, ja także chcę tego samego. Ale mamy bardzo silnych przeciwników. A w dodatku wciąż ich jakby przybywa i są wciąż silniejsi.

- No właśnie.

Jordi uniósł rękę i palcem rysował w powietrzu jakieś znaki. - Przedtem właściwie nie miałem życia. Owszem, był przy mnie Antonio, żyłem jego życiem. Potem spotkałem ciebie i miałem już dla kogo żyć. A teraz tym bardziej. Ja muszę żyć, Unni!

Po to, byś i ty mogła żyć. I dziecko. My wszyscy troje.

- Myślę podobnie jak ty, ale chyba nie we wszystkim masz rację. Trzeba żyć nie tylko dla innych, Jordi. Musisz też myśleć o swoim własnym życiu. Pomyśl o tych setkach tysięcy ludzi samotnych, czy ich życie nie jest wartością samą w sobie? Chociaż nie są z nikim bezpośrednio związani?

- Tak, masz oczywiście rację. Człowiek jest odpowiedzialny także za własne życie. Powinien się cieszyć ze względu na siebie i martwić też ze swojego powodu. To jest prawo, a nawet powinność każdego z nas. Często jesteśmy tak bardzo skoncentrowani na sobie... To prawda. Ale... Unni jedź do domu! Zaraz! Boję się o ciebie i o nasze dziecko. Sytuacja tutaj zaczyna być niebezpieczna, a ja nie chciałbym się martwić o nikogo prócz siebie teraz, kiedy zbliżamy się powoli do końca naszej strasznej wędrówki.

- Zapomnij o tym! - zaprotestowała Unni stanowczo. - Uważasz, że dla dziecka będzie lepiej, kiedy ja będę siedziała w domu i umierała ze strachu o ciebie? Że być może cierpisz, albo konasz gdzieś, a mnie przy tobie nie ma? Nie, nie będziemy więcej o tym rozmawiać!

Jordi zrezygnował. Tabletki zaczynały działać.

- Powinniśmy zadzwonić do Vesli. I do Antonia - rzekła Unni sennie.

- Teraz? Kwadrans po czwartej nad ranem? Chyba by się specjalnie nie ucieszyli - odparł Jordi z ironią.

- Ale przecież mamy radosne nowiny! Poza tym zastanawiam się, co z tamtymi, czego dokonali od naszej ostatniej rozmowy, kiedy to znaleźli różę.

- Zadzwonimy wcześniej rano, zaraz po przebudzeniu - obiecał Jordi. - Wierz mi, będą wdzięczni, że zaczekaliśmy.

Tu, niestety, Jordi się mylił. Ale przytulił Unni mocno i nareszcie mogli zasnąć.

Sen mieli jednak pełen koszmarów.

Pedro i Gudrun leżeli trzymając się za ręce i wpatrywali się w ciemność.

- Teraz widzę, że przesłama przez to stosunkowo lekko - powiedziała Gudrun. - Mimo wszystko było to trudne do zniesienia. Ale myślę sobie, że ta obręcz musiała być dla ciebie straszna.

- I była... Nie, nie jestem w stanie o tym mówić, dostaję mdłości. Wiesz, przez chwilę myślałem, że to jest kara. Za grzechy.

- Ja też tak myślałam - przytaknęła Gudrun. - Za to, co zrobiliśmy Flavii. Bo chyba oboje mamy takie same wyrzuty sumienia.

- To wszystko dlatego, że ani ty, ani ja nie umiemy nikogo ranić. A to, co się stało, to nie była żadna osobista kara dla nas, wszyscy członkowie grupy przeszli przez tortury.

- No właśnie. Zupełnie nic z tego nie rozumiem!

- Dziękuję Bogu, że mam ciebie, Gudrun. W najstraszniejszych chwilach myślałem o tobie. A kiedy wszystko się skończyło, dziękowałem Najświętszej Dziewicy i mojemu świętemu opiekunowi, że ty zostałeś uratowana.

Guðrun pomyślała, że jej zdaniem owi święci powinni być przy nich od początku, to uniknęliby tej grozy, która z pewnością wryje się w ich dusze na zawsze. Guðrun już dawno temu utraciła wiarę w Boga, który chce tylko najlepszego dla swoich dzieci i który nieustannie nad nimi czuwa. Ona sama straciła wszystkich najbliższych, ale nie zauważyła, aby ktokolwiek chociaż palcem kiwnął, by w tym przeszkodzić albo chociaż złagodzić jej ból.

- Podziękuj także w moim imieniu - poprosiła Pedra. Uważała, że jego wiara jest piękna, wzruszało ją to. Przekleństwo odebrało mu ojca i matkę a także brata, a on wierzył mimo wszystko. Głęboko i pokornie.

Guðrun bardzo by chciała, żeby i jej była dana taka wiara. Zwłaszcza teraz bardzo tego potrzebowała. Walczą oto ze złym losem o przyszłość jedyne go krewnego, jaki jej został, wnuka Mortena.

Przytuliła się do Pedra i myślała o tych długich, samotnych latach, które przeżyła jako wdowa. Nigdy by jej nawet przez głowę nie przeszło, że pewien wielki arystokrata hiszpański będzie kiedyś tyle dla niej znaczył. I że na dodatek będzie ją najwyraźniej wielbił. Ją, kobietę z lodowatych krańców zimnej Norwegii, on, taki światowiec... To naprawdę niepojęte. Ale jakie cudowne, rozkoszne i jakie bezpieczne!

Pedro chyba przeczuwał, o czym Guðrun myśli, bo wyszeptał:

- Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Guðrun. Taką prostolinijną, taką silną, a mimo to kobietę, którą mogę się opiekować.

Przysunęli się pod kołdrą jeszcze odrobinę bliżej i próbowali wymazać pamięć niedawnych przeżyć w izbie tortur. Szukali u siebie nawzajem pociechy.

Niełatwo było jednak zapomnieć.

Juana siedziała w swoim pokoju na łóżku. Jordi i Unni zaproponowali, by spała u nich, ale zapewniała, że znakomicie da sobie radę sama.

Juana zawsze była realistką. Dzisiaj jednak jej świadomość została wstrząśnięta do głębi. Wiedziała, że naprawdę leżała rozpięta na urządzeniu do straszliwych tortur i czuła, że jej członki są wrywane ze stawów, a zęby piły wbijają się w ciało. I że z bólu straciła przytomność. To naprawdę nie był sen.

Przeniknął ją gwałtowny dreszcz. Chociaż z drugiej strony, w całej tej grozie były też sympatyczniejsze punkty.

Twarz Juany rozjaśniła się w łagodnym uśmiechu na to rozkoszne wspomnienie.

Miguel.

Obiecał, że następnego dnia będzie im towarzyszył w podróży. Jordi najwyraźniej

odnosił się do tego sceptycznie, uważał, że nie powinno się dopuszczać zbyt wielu nowych do tajemnicy. Ale to przecież jest Miguel! Najwspanialszy mężczyzna jakiego spotkała. Miguel w jakiś sposób przypominał Jordiego. Nie w szczegółach, ale jego styl, sposób chodzenia, gesty, uśmiech...

Miguel był jakby bardziej chłopięcy, młodzieńczy. Mimo to coś w jego oczach wskazywało, że taki młody już nie jest, no w każdym razie nie jest chłopcem. To coś wydawało jej się... prastare?

Nie no to brzmi tak głupio, Juana musiała się roześmiać. Ale oczy to jednak ma dziwne. Niby całkiem zwyczajne, ale czasami pojawia się w nich jakiś zielonkawy błysk, a czasami żółty, coś przeźroczyściego, jakby się zaglądało w tysiącletnią otchłań...

No, proszę, ona znowu ze swoimi idiotycznymi sformułowaniami.

Zdawała sobie sprawę z tego, że może zbyt mocno nalegała na Jordiego, by Miguel mógł im towarzyszyć. W końcu jednak, ku jej niewypowiedzianej radości, Jordi się zgodził. Nie mieli przecież nikogo innego, kto mógłby im pokazać drogę do następnego punktu.

Dokładnie studiowali mapę na kawałku skóry. Była dość zniszczona, ale znajdowało się na niej tylko jedno jedyne słowo, w końcu nabrali pewności, że słowo to brzmi: VEIGAS.

Nikogo to specjalnie nie zdziwiło. Tylko że nikt nie wiedział, gdzie się to znajduje. Nawet Juana musiała się z wielką niechęcią poddać. Wyglądało na to, że miejscowość jest maleńka i trudno ją znaleźć na jakiegokolwiek mapie.

Tymczasem Miguel wiedział. Obiecał pojawić się w hotelu o dziesiątej. Przedtem miał jeszcze coś do załatwienia.

Och, żeby już jak najprędzej nastął dzień!

Jordi i Unni ocknęli się po stanowczo zbyt krótkim śnie na dźwięk telefonu komórkowego.

Było dopiero wpół do siódmej. Dwie godziny snu z koszmarnymi wizjami o zamknięciu w żelaznej dziewicy najeżonej gwoździami, o mieczu przypiekającym nagą skórę.

Właściwie to miło było się obudzić.

Telefnował Antonio, w jego głosie słyhać było ogromną ulgę:

- Bogu dzięki, nareszcie ktoś odpowiada! Dzwoniliśmy do was niezliczoną ilość razy. Co się z wami działo?

Jordi wahał się przez chwilę, jakby nagle zajrzał w nieskończoność.

- Byliśmy daleko. Bardzo, bardzo daleko! Dziesięć tysięcy mil od tej październikowej nocy.

Na tym połączenie zostało przerwane. To wina wysokich gór w Kraju Basków. No ale

przynajmniej nawiązali jakiś kontakt. Zawsze to pociecha.

To prawda, Tabris miał tego ranka wiele do załatwienia. Jako Miguel biegał po Santiago de Compostela i szukał po biurach turystycznych oraz księgarniach kartograficznych.

W końcu gotowy do podróży przyszedł do hotelu i spotkał się grupą.

Juana nie potrafiła ukryć rumieńca radości na jego widok. Nerwowo dotykała rękami to obrusa, to włosów, to znowu notatnika, co widząc Unni, nie mogła opanować zatroskania. Pamiętała jednak, jak ona sama się czuła w pierwszych dniach znajomości z Jordim, więc świetnie rozumiała Juanę. Miguel był i przystojnym, i bardzo sympatycznym młodym człowiekiem, było w nim jednak coś, czego nie potrafiła zdefiniować. A Unni miała bardzo czujne anteny, jeśli chodzi o ludzi. Wciąż się zastanawiała, co to może być.

- Jest tak, jak powiedziano - rzekł Jordi: - „Rzymianie ochrzczili okolicę, ale nie wiedzieli nic o Veigas”. To właśnie już dawniej przeczytaliśmy o tej małej, zapomnianej wiosce.

- Chyba nie mówimy teraz o owej zapomnianej wsi, która miała być samym celem? - wykrzyknęła Gudrun.

- Nie, to by było za wiele szczęścia. Teraz chodzi tylko o etap w drodze. Przypuszczalnie jest to stacja graniczna, jeśli nasze wyliczenia są właściwe. Przypomnijcie sobie napis na habicie Jorgego: „Las fronteras - granice. - Podążajcie śladem innych - znaczy innych niosących skarby - ze wschodu na zachód - z zachodu na wschód. Wieś pustkowie chleb przełącz puchary groty groty”. Znajdujemy się teraz najdalej na wschód i mamy podążać na zachód. Tam jest, o ile dobrze rozumiem, „wioska” podobna do Veigas. O którym Rzymianie nic nie wiedzieli. Miguel, powiadasz, że znasz Veigas. Powiedz nam teraz, gdzie ono leży!

- Chętnie - zgodził się Miguel i zasiadł nad mapą. - Ja sam nigdy tam nie byłem, ale miejscowość jest obecnie znana. Chociaż dopiero w ostatnich dziesięcioleciach. Jest to miejsce, że tak powiem, nowo odkryte.

Jego kształtne palce przesuwały się po mapie.

- Rzymianie, o których wspominałeś, ochrzczili okolicę nazwą Taramundi...

- Owszem - przytaknął Jordi. - Mundi to słowo łacińskie i dokładnie znaczy: świata. O to, co znaczy tara, będziemy musieli spytać Flavię.

Palec Miguela szukał. Juana wpatrywała się weń jak zaczarowana.

- Tutaj - powiedział. - Między Lugo i Ribadeo, na wybrzeżu. Tam, na zupełnych pustkowiach... leży Taramundi.

Wszyscy mogli to zobaczyć.

- A Veigas?

- Veigas jest za małe, żeby je umieszczać na mapach. Cała okolica wokół Taramundi była bardzo biedna aż do czasów, gdy władze zwróciły uwagę na ten zapomniany dystrykt. I odnaleziono tam wówczas, w głębokich dolinach, kilka wiosek. Na przykład Veigas, które nie zmieniło się od osiemnastego wieku.

- Ale ludzie tam mieszkali? - spytała Unni.

- Oczywiście. Tylko że trzeba tam iść piechotą jakieś trzy godziny z Taramundi.

- I nikt o nich nie wiedział?

- Owszem! W Taramundi znali wszystkie okoliczne wioski. Latem mieszkańcy mogli iść brzegiem strumienia do Taramundi, by tam prowadzić handel wymienny. W głębi doliny mieszkali na przykład znamienici kowale. W okresie zimy byli absolutnie odcięci od świata.

- A czy teraz ktoś tam mieszka?

- Tego nie wiem.

- Tylko spójrzcie! - zawołała nagle Gudrun. - Taramundi leży dokładnie na granicy między Galicją i Asturią!

- Wspaniale! - ucieszył się Jordi. - Musiało to być ich miejsce graniczne. Trzeba tam jechać. Natychmiast!

Podróżnych było tak wielu, że należało wyruszyć w dwa samochody. Juana najchętniej zabrałaby do swojego wozu tylko Miguela, ale to jej się nie udało. Przeciwstawili się temu i Jordi, i Unni, choć powodu Juana nie rozumiała. Oni wzięli jej samochód i pojechali nim sami, ona zaś z Miguelem, musiała zająć tylne siedzenia w dużym, wynajętym wozie, który prowadził Pedro, a obok niego siedziała Gudrun.

No trudno, pogodziła się Juana z losem. Przynajmniej mogę siedzieć obok niego.

Opuścili Santiago de Compostela i jechali El Camino, drogą pielgrzymów, w stronę Lugo.

Juana siedziała napięta niczym struna, zafascynowana swoim sąsiadem do granic przytomności.

Przypominała sobie swoje drobne miłostki i zadurzenia w kolegach klasowych, w nauczycielach, potem kolegach ze studiów... Za każdym razem była absolutnie przekonana, że właśnie ta miłość przetrwa całe życie. Nic innego nie mogło wchodzić w rachubę.

Te uczucia wypalały się jednak bardzo szybko, umierały często z braku pożywienia.

Juana miała pewne bardzo wysokie wyobrażenie na temat sympatii dusz, uważała, że poważna, głęboka rozmowa i rozległa wiedza, to najlepsi budowniczości mostów między dwojgiem ludzi. Patrzyła z wyższością na swoje lekkomyślne koleżanki i sądziła, że chłopcy powinni dostrzegać ich duchową pustkę. Ona sama lubiła opowiadać chłopcom, jak jej ciężko, jak ponuro - patrzy na świat, i o swoich studiach.

Ale te głupie chłopaki niczego nie rozumiały. Przeciwnie, śmiali się i flirtowali z mało poważnymi dziewczynami, Juana zaś niemal zawsze musiała do domu wracać sama, z raną w duszy, bo na przykład wyznała uczucia jakiemuś niewdzięcznikowi, albo co gorsza - o wstydzie! - wysłała do niego z takim wyznaniem list.

Kiedy teraz siedziała w samochodzie i patrzyła na boleśnie piękny krajobraz Galicji, taki pusty i wymarły, wszystko zdawało się odmienione. Bliskość Miguela, choć siedział w drugim kącie, była przytłaczająca, wsysająca, Juana mogłaby powiedzieć: manipulująca, ale tak myśleć nie chciała. To, rzecz jasna, określenie niewłaściwe. Czula się jak zaczarowana. Po prostu.

Piękna przygoda z Unni i Jordim oraz rycerzami otworzyła jej oczy na nowy świat, w którym śmiech i humor są ważnym elementem bliskości z innymi ludźmi. Juana trochę... no cóż, trochę kokietowała Jordiego. Szybko jednak zdała sobie sprawę z tego, że on należy do Unni i nikt inny się nie liczy. Ale wspólnota z nimi i ta próba uwodzenia Jordiego coś w niej poruszyły.

Teraz się z tego cieszyła. Cieszyła się ze swoich modnie ostrzyżonych włosów, z nowych strojów i nowej twarzy. Z tego całego sprzątnięcia, jak to nazywała. Starannie wyskubanych brwi, usunięcia tego, co zbędne, oraz, że zdecydowała się na dobre kremy, soczewki kontaktowe, odpowiedni makijaż. Wyglądała teraz naprawdę interesująco, co ze zdziwieniem stwierdziła patrząc w lustro. Nauczyła się też uśmiechać, a nawet śmiać. Właściwie nie było nikogo, kto chciałby słuchać ponurych opowieści o jej zmaganiach z życiem, znacznie łatwiej nawiązywała kontakt z ludźmi dzięki poczuciu humoru i pogody ducha.

Spotkanie z Miguelem odmieniło wszystko. Wyczuwała jego bliskość każdym nerwem, każdą cząsteczką skóry.

Pedro przez cały czas gadał. Dyskutował z Gudrun i Miguelem, komentował to, co mijali po drodze, raz po raz starał się też wciągać do rozmowy Juanę, ona zaś starała się odpowiadać jako tako rozsądnie, w gruncie rzeczy jednak była ogłuszona niebywale silną osobowością Miguela. Był dla niej niczym Anioł Stróż, tak jej się zdawało. Widziała to także w jego oczach oraz w chwili, gdy chciał położyć rękę na jej dłoni. Doznała wtedy jakiegoś

dziwnego, rozkosznego oszołomienia i bliska desperacji zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby w przyszłości kontynuować znajomość z nim. Wkrótce dotrą do Taramundi, a potem. - wszystko się skończy?

Jordi dostał telefon od Antonia.

- Jordi, nie mogę się porozumieć z Veslą. nie odpowiada.

- No właśnie, my też próbowaliśmy się z nią skontaktować. Widocznie poszła na zakupy.

- Zwykle wszędzie zabiera komórkę. Czy mógłbym porozmawiać z Unni?

Unni przejęła telefon.

- Słuchaj, czy ty masz ze sobą telefon do swojej mamy do pracy? Może ona coś wie.

- No jasne, zaczekaj, znajdę w notatniku... Połączyli się z matką Unni, Inger Karisrud, ale ona nie wiedziała, co się stało z Veslą. Miała natychmiast pójść do niej i sprawdzić.

Unni i Jordi siedzieli w samochodzie w milczeniu, Wszelkie możliwe myśli na temat losu Vesli samej w Norwegii cisnęły im się do głów.

W ukryciu

Tommy, Kenny i Roger przyjechali do Bilbao, Alonzo wyszedł z aresztu i był przyjmowany przez Emmę. Siedzieli wszyscy razem w małym mieszkanku należącym do jednego z ludzi Alonza. Pokój był czarny od dymu, cuchnęło resztkami jedzenia z ostatniego tygodnia. Emma czuła się tu potwornie nie na miejscu.

Ale czego się nie robi dla skarbu?

- Oni się rozdzielili - powiedział Alonzo, ów piękniś i uwodziciel o bardzo małym rozumku, żeby się posłużyć określeniem Kubusia Puchatka. - Moi ludzie ich tropią. Jedna grupa jedzie samochodem tutaj, w głąb kraju. Druga poleciała samolotem do Santiago de Compostela. Mój chłopak też poleciał, ale mówi, że trudno ich śledzić tak, żeby nie być widzianym.

- Trafna obserwacja - prychnęła Emma ze złością. Nie cierpiała tych pomocników Alonza. Rozbierają ją oczyma, ale to bez znaczenia. Cieszyła się, że tutaj żadnego nie ma.

- Wczoraj na chwilę stracił ich z oczu - musiał przyznać Alonzo, zaraz jednak dodał pospiesznie: - Ale dzisiaj ich znajdzie, chyba wrócili na noc do hotelu.

- Byłoby dla niego najlepiej, żeby ich znalazł - stwierdziła Emma cierpko.

- Czy te wszystkie rozjazdy mają naprawdę takie znaczenie?

- Człowieku, ty nie wiesz, o czym gadasz! Pominąwszy już różne drobne kosztowności, które same w sobie warte są oszałamiająco wielki majątek, to każda prowincja miała swój specjalny skarb. Leon dowiedział się tego od moich przodków. Teraz chodzi o miliardy.

- Jakie to na przykład skarby? - spytał Roger, który był w grupie stosunkowo nowy.

Emma posłała mu spojrzenie, które zdawało się mówić: „Ty nie masz tu nic do szukania”, i zaczęła wyliczać na palcach:

- Galicia miała swoje Święte Serce. Nawet nie mam odwagi pomyśleć, ile milionów jest warte. Początkowo należało do Wizygotów i było ogromne. Masywne złoto wysadzone diamentami i niebywale wielkim rubinem. Asturia miała złotego ptaka z Ofir, zdobytego na Maurach bardzo, bardzo dawno temu. Skarb Kantabrii był mniejszy, już nawet nie pamiętam, co to takiego, w końcu Kantabria nigdy nie była królestwem. Darem Vasconii były dwie korony z czystego złota, wysadzone szlachetnymi kamieniami, przeznaczone dla młodej pary królewskiej...

Emma umilkła.

- No a Nawarra? - spytał Kenny, który najwyraźniej dobrze się przygotował.

Na twarzy Emmy pojawił się wyraz irytacji.

- To miał być dar najwspanialszy, nikt jednak nie wie, co to takiego było.

Emma nie lubiła czegoś nie wiedzieć, chciała mieć przewagę we wszystkim.

- Coś magicznego, otoczonego mistyczną sławą - próbowała ratować sytuację.

Odezwał się telefon. To Hiszpan Manuelito. Chciał, by go nazywano Manolete, jak legendarnego torreadora Hiszpanii, ale nikt nie chciał tego czynić. To by było świętokradztwo, uważało jego otoczenie.

Manolete raportował, że grupa zachodnia opuściła Santiago de Compostela i że jest cholernie trudno ich śledzić. Zatrzymali się w Lugo i poszli do restauracji na lunch, potem jechali przez jakiś czas na północ, ku morzu. Manolete nie mógł im siedzieć przez cały czas na kole, więc w końcu stracił ich z oczu. Ale spokojnie, zapewniał, zaraz ich znowu znajdzie, jest urodzonym psem tropiącym. Zna wzór ich opon, wszystko pójdzie dobrze.

Emma i Alonzo byli raczej umiarkowanie zadowoleni z raportu.

- Nie siedź przy mnie tak blisko, Tommy - syknęła Emma. - Może mi jeszcze usiądziesz na kolanach?

- Nigdy by mi to nie przyszło do głowy - burknął urażony Tommy, który właśnie o czymś takim fantazjował w nocy i za dnia. - Tu jest tak cholernie ciasno!

- Tak? A myślałam, że zdążyłeś się przyzwyczaić do celi - mruknęła. - A jak tam Pepito?

Obaj pomocnicy Alonza byli mężczyznami wyjątkowo niskiego wzrostu, stąd te zdrobnienia imion, kończące się na - ito.

Odpowiedź, jaką miał Alonzo, była tak mało satysfakcjonująca, że ją prawie wyszeptał:

- Pepito stracił ze swoimi kontakt zaraz za Bernedo. Ma dać znać, jak ich znowu odnajdzie.

- Bernedo? W Bernedo to oni byli wczoraj!

- Wiem, ale znajdzie ich na pewno.

- Czego oni do cholery szukają? - denerwował się Roger. - I każda grupa w innym miejscu? Co to za przekłety ślad, który tropią?

- Właśnie tego mają się dowiedzieć moi ludzie - rzucił niecierpliwie Alonzo. - A kiedy już to zrobią, wtedy uderzymy, przejmujemy całą koncepcję.

Najlepiej, żeby doszło do tego jak najszybciej, pomyślała Emma. Bo to wszystko zaczyna być nie do zniesienia. Jak długo jeszcze wytrzymam z tymi neandertalczykami?

Chyba muszę znowu pogadać z moimi drogimi, cuchnącymi, czarnymi upiorami.

Tommy był wciąż naburmuszony, że go odepchnęła. Alonzo mówił o niej żelazna dziewczica i Tommy gotów był mu przyznać rację.

W głębi kraju, daleko od Bilbao, jechał wielki, kosztowny samochód.

- Teraz już wiemy, gdzie oni się podziewają - powiedział wysoki, chudy mężczyzna o bardzo wyrazistych rysach. - Zaraz ich dopadniemy! Są w drodze do celu, obie grupy, każda zbliża się do niego od swojej strony.

- Tak jest - potwierdził Thore Andersen. - I co wtedy z nimi zrobimy, szefie? Chudy nienawidził, żeby go nazywali szefem. Uważał, że jest na to za elegancki.

- Nic - odparł krótko. - Zostaw to mojemu asystentowi! My nie musimy nawet palcem kiwnąć. Wiemy wszystko o dolinie, mamy pisma i dokumenty, których oni nie znają. Chodzi tylko o to, żeby tam dotrzeć, a wtedy już wszystko będzie nasze, cały problem, że nie wiemy, gdzie ta dolina leży. To była zagadka przez ostatnie pięćset lat.

- Więc musimy im pozwolić, żeby odnaleźli dolinę - roześmiał się Thore zadowolony.
- A wtedy... będę mógł użyć żelazo, prawda?

- Wtedy będziesz miał prawo zrobić z nimi, co zechcesz. Nic już dla nas nie będą wari. A świadkowie chyba nie są nam potrzebni, nie?

Obaj byli zadowoleni z obrotu spraw.

W swoim świecie zła i małości pięciu pozostałych jeszcze katów inkwizycji siedziało i gapiło się gdzieś ponad krajobrazem, którego nie dostrzegali.

Wszystko poszło nie tak, ten głupi demon, którego im dano jako „pomoc”, zniszczył ich wspaniałą izbę tortur. Jak on mógł coś takiego zrobić? Odebrać im radość patrzenia na umieranie znieprawionych ofiar? To straszne, od znacznie mniejszych rozczarowań można dostać wrzodu żołądka. Pod warunkiem, że się ma żołądek. Ale oni, tak, oni mieli żołądki. W pewnym sensie mnisi funkcjonowali tak, jakby nadal byli istotami żyjącymi. Ale mieli też inne zdolności. Potrafili na przykład zniknąć - wzbić się w powietrze i przepaść nie wiadomo gdzie.

Teraz jednak trzymali się na uboczu. Z minami cierpkimi, jakby napili się octu.

Świetnie zakamuflowany, pod postacią sympatycznego, przyjaznego Miguela, Tabris siedział w samochodzie i z całego serca nienawidził ludzi, z którymi przyszło mu się spotykać. Nienawidził zadania, jakie mu przydzielono. Czekał tylko na moment, kiedy skończy już z tą sprawą i będzie mógł wycisnąć życie z tych śmiesznych kreatur, otaczających go w samochodzie.

A także z dwójga pozostałych, w drugim samochodzie. Tamtych jednak nie był całkiem pewien. Nie bał się ich, to jasne, ale widział, że oni trzymają się od niego z daleka.

Czyżby mogli się czegoś domyślać?

Zarena uczepliła się swoich ludzi. Tylko że teraz była nieco ostrożniejsza. Uważała, żeby jej nie zobaczyli. Mogła zmieniać postać, jak tylko chciała, było jednak oczywiste, że zdradzają ją oczy, te jej kocie oczy.

Konieczność musi zdobyć takie czarne ochraniacze na oczy, jakie widziała u niektórych ludzi.

Ale nudne zadanie przypadło jej w udziale! Nie dano jej prawa zrobienia czegokolwiek z tymi ludźmi. A byłoby przecież zabawne przeżyć małą przygodę w ludzkim świecie. Tylko że oni do niczego się nie nadają. Jak mogłaby się zabawić z takimi sierotami?

Z Tabrisem też zadawać się nie mogła. Należał do zupełnie innej klasy demonów niż ona i nigdy nie było zwyczaju, by obie grupy miały ze sobą coś wspólnego. Krewniacy Tabrisa byli na to zbyt wytworni, zbyt wielcy. Tyle tylko że w królestwie Ciemności nie mieli za dobrej pozycji, Zarena dobrze o tym wiedziała. Uważano ich za przesadnie „czystych”.

Natomiast ona w domu zajmowała dobre miejsce. Tęskniła, by tam wrócić. Niechby już jak najszybciej uporać się z tym zadaniem tutaj, na górze.

Gówniane ludziki!

W górach, w gęstym lesie siedział Leon - Wamba, a może raczej Wamba - Leon, bo z tego ostatniego niewiele już zostało. Siedział przed swoją grota, niedaleko skarbu, choć akurat o tym nie wiedział, i czekał.

Kiedyś przecież przyjdą.

A wtedy on powinien być gotowy.

Tak więc grupa poszukiwaczy zapomnianej doliny miała licznych przeciwników. I bardzo różnych, działających z odmiennych motywów. Wszyscy jednak byli tak samo wrogo nastawieni do tych dziewięciorga, którzy próbowali znaleźć ratunek dla rycerzy oraz ich potomków.

Zarena odszukała mnichów. Ściśle biorąc to ich do siebie wezwała, a oni przybyli.

Nie lubili oglądać jej pod postacią demona, nie mieli wtedy odwagi się do niej zbliżyć, wobec tego zmieniła się w piękną i pociągającą kobietę.

Wtedy podeszli. Oblizywali się obleśnie swoimi czarnymi jęzorami, a oczy im błyszczały tak, jak w żadnym razie nie powinny u mnichów zobowiązanych do celibatu.

Zarena była zirytowana.

- Ja wiem - powiedziała - wiem, że musimy się włączyć za tym robactwem, aż doprowadzą nas do celu. Takie jest życzenie naszego Pana i Mistrza. Ale czy oni wszyscy muszą nas do tego celu prowadzić? Czy nie można by grupy odrobinę ograniczyć?

Jeden z mnichów, wyłamując ręce o długich, czarnych paznokciach, powiedział przypochlebnie:

- No właśnie to usiłujemy przez cały czas zrobić! Ale oni trzymają się siebie niczym rzepy. Oczywiście, że popieramy propozycję waszej wysokości.

- Świetnie! Oni mnie okropnie irytują. Zaczniemy od tych całkiem zbędnych. Komu musimy towarzyszyć przez całą drogę?

Kaci mieli teraz rozbiegane oczy.

- Wasza wysokość nie powinna tykać tych dwojga znających się na czarach.

- W mojej grupie nie ma żadnych czarowników - prychnęła Zarena.

- To prawda. Oni są w grupie kolegi waszej wysokości. Ściśle biorąc to nikt z grupy waszej wysokości nie jest niezbędny. No nie, jeden jest. Brat. Powiedziano bowiem, że dwóch braci odnajdzie skarb.

Przez twarz Zareny przemknął złowrogi cień.

- Czy oni naprawdę szukają tylko zwyczajnego skarbu?

- Nn - nie - odparł kat - Nie, mają inne cele Nieznane. Nie chciał się wdawać w historię rycerzy. Była ona pełna zbyt kompromitujących szczegółów jeśli chodzi o wkład katów inkwizycji.

- Brat? - powtórzyła Zarena. - To ten przystojny mężczyzna, prawda? Antonio ma na imię?

- Zgadza się. Zastanawiała się przez chwilę.

- W takim razie ja ich rozdzielę. Będę usuwać jedno po drugim, a ten cały Antonio zostanie pozbawiony wszelkiej pomocy. Najpierw trzeba im odebrać owe małe zabaweczki, do których oni mówią. Rozmawiają ze sobą na bardzo duże odległości. To dla nas niebezpieczne.

- A druga grupa? - spytał mnich z nadzieją w głosie. Teraz z kolei Zarena odwróciła wzrok.

- To jest problem Tabrisa - prychnęła. - Ale porozmawiam z nim, powiem mu, żeby zrobił to samo co ja. Zachował najważniejszych, a odrzucił śmieci.

Potem, wciąż zirytowana, popatrzyła na swoich rozmówców.

- No, teraz już nie mam dla was więcej czasu. Jazda stąd!

A ponieważ nie od razu posłuchali, tylko wciąż się gapili na jej wspaniałe ciało,

osłonięte tylko lekką szatą, Zarena ponownie zmieniła się w demona i wstrząśnięci mnisi zaczęli uciekać, potykając się jeden o drugiego. Przewracali się i z trudem podnosili z ziemi.

Zarena uśmiechała się nienawistnie.

Ale nie miała zamiaru słuchać ich rady. Przynajmniej nie w całości. Owszem, oszczędzi Antonia, zostawi go na koniec, ale to przede wszystkim z nim pragnęła się rozprawić. Bo jest taki cholernie podejrzliwy.

Jakieś rozproszone, zielonkawe światło, nie wiadomo skąd...

Wielka cisza. Ale z tej ciszy docierają tykające, stukające dźwięki. Rytmiczne, usypiające.

Vesla odwraca lekko głowę. Nie jest w swoim domu. Nie jest też u Karlsrudów. To zielonkawe światło to z nocnej lampki.

Zapach? Bardzo dobrze znany. Szpital.

Nie!

Dziecko?

Dzięki ci, dobry Boże, dziecko jest jeszcze w niej!

Wróciła pamięć. Vesla wybrała się do ośrodka zdrowia. I tam, podczas badania poczuła, że traci świadomość.

Bardzo praktyczne miejsce, żeby zemdleć!

No a teraz się ocknęła na szpitalnym łóżku. Była noc, a może wieczór, lub wczesny poranek, październikowe noce są takie długie.

Widziała teraz coraz więcej. W pokoju było kilka łóżek. Na jednym z nich ktoś leżał, słyszała spokojny oddech.

Coś przez cały czas pikało i błyskało w aparaturze obok niej. Na nadgarstku miała bandaż. Spod niego wystawała kaniula, a długi wąż łączył ją z czymś, czego nie mogła zobaczyć.

Co jej dolega?

Czy to może palec losu? Może właśnie los ją ostrzega: „Pozbądźcie się tego dziecka! Nie bądźcie egoistami. Czy naprawdę chcecie sprowadzić na świat istotę, którą czeka taka przyszłość? Ze będzie musiało umrzeć w wieku dwudziestu pięciu lat?”

Znowu pojawiło się uczucie bezradności, które tak dobrze знаła. Czy oni naprawdę pragną tego dziecka? Czy nie byłoby dla niego lepiej, gdyby w ogóle nie ujrzało tego świata? Może jej choroba to właśnie znak?

Vesla skuliła się. Tak strasznie pragnęła urodzić dziecko Antonia. Musi z nim jak najszybciej porozmawiać, dowiedzieć się, jak daleko zaszli w poszukiwaniach i czy można mieć nadzieję na rozwiązanie zagadki.

Po omacku szukała torebki, ale nie było jej w pobliżu. Szuflada nocnej szafki? Tam też nic. Żadnej komórki, normalnego telefonu na ścianie w sali też nie zauważyła. Tylko

dzwonek do pielęgniarki.

Czy powinna zadzwonić?

Nie musiała, bo nocna pielęgniarka sprawdzała właśnie, czy wszystko w porządku.

- Nie śpisz? - spytała Vesłę szeptem. - No i jak się czujesz? Wszystko w porządku?

- Tak, ale dlaczego ja tutaj leżę? I od kiedy? Która godzina?

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Szósta rano. Przywieźli cię wczoraj po południu, z bardzo wysokim ciśnieniem i groźbą poronienia. Ale jeśli zachowasz spokój, wszystko będzie dobrze. Masz jeszcze siedem tygodni, prawda?

- Tak, coś koło tego. Ale myślałam, że jestem zdrowa. To miała być ostatnia kontrola.

Pielęgniarka przyglądała jej się przez chwilę.

- Miałaś ostatnio dużo stresów?

- Stresów? Fizycznych nie, ale to prawda, że żyję pod wielką presją.

Przez cały czas rozmawiały szeptem, żeby nie budzić drugiej pacjentki.

- Czy mogłabym zadzwonić do męża? - spytała Vesla. - Jest w Hiszpanii i nie wie, co się ze mną dzieje.

- Za parę godzin będziesz mogła się z nim skontaktować.

Ale za parę godzin Vesla spała. Lekarze, którzy przyszli na obchód nie kazali jej budzić, wyglądała na bardzo zmęczoną. Jakby przez wiele tygodni żyła w strasznym napięciu, zastanawiali się z jakiego powodu.

Kiedy Inger Karlsrud przyszła do Vesli, w domu nie było nikogo. Inger na wszelki wypadek zabrała klucze, więc mogła wejść do środka. Stwierdziła, że wierzchniego okrycia Vesli też nie ma, więc chyba wyszła sama, nie została na przykład uprowadzona albo coś w tym rodzaju.

Inger zastanawiała się. Matka Vesli? Nie, musiałyby się stać coś naprawdę niezwykłego, żeby Vesla do niej poszła. Matka tylekroć krzyczała, że atakuje ją wilk, iż nikt już nie był w stanie uwierzyć, że naprawdę coś jej grozi.

Na chybił trafił wybrała ośrodek zdrowia jako pierwsze miejsce, dokąd należy zadzwonić, i dowiedziała się wszystkiego.

Pospiesznie wybrała numer Antonia, ale on najwyraźniej znajdował się daleko od swojego telefonu. Wobec tego Inger skontaktowała się ze swoją córką. Dlatego właśnie Unni mogła jako pierwsza porozmawiać z Veslą.

Kiedy ta ostatnia dowiedziała się, że jej dziecku już nic nie grozi, że żadne przekleństwo nie obciąży jego życia, najpierw podskoczyła z radości, ale zaraz się uspokoiła.

Przez dłuższą chwilę nie mówiła nic.

Miała gratulować przyjaciółce, czy wyrażać ubolewanie?

Ani jedno, ani drugie. Powiedziała tylko:

- Na Boga, Unni, rozwiążcie tę zagadkę, bo w przeciwnym razie nigdy nie zaznamy spokoju! Ani Antonio, ani ja.

Unni doskonale wiedziała, dlaczego Vesla wymienia tylko ich dwoje. Jeśli bowiem zagadka nie zostanie rozwiązana, to Unni i Jordi długo żyć nie będą.

Vesla wpatrywała się w biały szpitalny sufit. Prawie nie miała odwagi się poruszać, leżała spokojnie, bardzo spokojnie.

- Będziesz żyć, moje maleństwo, będziesz żyć. Miecz Damoklesa wychylił się w inną stronę. Nie chcę się nad tym zastanawiać akurat teraz, nie potrafię, teraz pragnę myśleć jedynie o tobie, o tym, że jednak możesz bezpiecznie przyjść na świat. Teraz jesteś moim największym obowiązkiem, muszę uczynić wszystko, wszystko, co tylko możliwe, by zachować cię przy życiu do czasu, aż będziesz gotów ujrzeć światło dnia po raz pierwszy.

Bardzo chciała zatelefonować do Antonia, ale używanie komórek w szpitalu było zabronione. Mogłyby zakłócać działanie wrażliwych aparatów, dokładnie tak, jak to jest na pokładach samolotów. A Vesla nie chciała prosić, by jej natychmiast przyniesiono telefon stacjonarny.

Miło było porozmawiać z Unni, lecz ona nie należy do grupy Antonia. Kiedy Vesla dostała telefon do dyspozycji i zadzwoniła, Antonio się nie odezwał.

Przeraziła się, że coś mu się stało. Mój Boże, dlaczego akurat teraz, kiedy musiała pilnie z nim porozmawiać? O tym, że leży w szpitalu, że przez chwilę jej stan był krytyczny, ale teraz znowu jest dobrze. I o tej zaskakującej wiadomości od Unni. Wiedziała, że Antonio jeszcze o tym nie słyszał, Unni powiedziała, że wie tylko Jordi.

Vesla czuła, jak bardzo kocha Antonia i jak bardzo go jej brakuje. Uczucie było tak silne, że bała się, iż serce jej pęknie.

Powinna się uspokoić, nie wolno jej się stresować, bo znowu ciśnienie podskoczy!

Dlaczego on nie dzwoni? Unni nie powiedziała, że próbowała z nim nawiązać kontakt, Vesla musi zrobić to sama. Boże, dlaczego on nie dzwoni?

Unni wzdychała niecierpliwie, kiedy jechali drogą łączącą Lugo z wybrzeżem.

- No to przynajmniej z Veslą udało się nawiązać kontakt. Ale nadal nic nie wiemy na temat Antonia i jego grupy. Czy mamy machnąć ręką na producentów telefonów komórkowych, wypowiedzieć abonament i wyrzucić te nieprzydatne do niczego pudełka na śmietnik?

- Popatrz - przerwał jej narzekania Jordi. - Pedro zwolnił przy jakimś znaku drogowym.

- Tak! Taramundi! Tutaj skręcamy.

Nic dziwnego, że Manuelito stracił ich z oczu. Kiedy bowiem on dojechał do znaku drogowego, śledzone samochody już dawno zniknęły w gęstym liściastym lesie.

- Przeraza mnie, że trzeba będzie iść trzy godziny - westchnęła Gudrun w dużym samochodzie.

Juana ją pocieszała.

- Myślę, że nie będzie tak źle. Moim zdaniem te trzy godziny to na drogę tam i z powrotem.

Gudrun uważała, że półtoragodzinny marsz w jedną stronę ze świadomością, że trzeba będzie jeszcze wrócić, to wystarczająco nieciekawa perspektywa. I nic nie pomogło to, że Pedro z entuzjazmem odkrywał, iż okolice Taramundi są piękne i pagórkowate.

Wysokie wzgórza na przemian z głębokimi dolinami jak okiem sięgnąć.

Wszyscy czuli się tak, jakby opuścili zamieszkane części świata i przenieśli się do zapomnianej przez Boga i ludzi krainy. Wokół widzieli lasy w jesiennej szacie, ale nigdzie śladu ludzkich domostw. Nawet Unni siedziała milcząca.

Nagle jednak krajobraz się przed nimi otworzył i na zboczu wzgórza zobaczyli śliczną maleńką wioskę z kościołem i leżącymi bardzo blisko siebie zabudowaniami.

- Taramundi! - wykrzykiwali jedno przez drugie.

Przez wiele długich lat kościelna wioska pozostawiona była sama sobie. Ludzie żyli tu w skrajnej nędzy, na granicy tego, co człowiek może znieść.

W końcu jednak sposób rządzenia krajem się zmienił i Taramundi zostało „odkryte”. Świat dowiedział się ponadto, że również w odległych dolinach poza Taramundi znajdują się jeszcze inne ukryte wioski, w których ludzie żyją dokładnie tak samo jak w osiemnastym wieku. Wśród nich Veigas.

W kościelnej wsi Taramundi czekały ich dwie niespodzianki.

Jedna to nowa zabudowa. Miejscowość otrzymała bardzo nowoczesny ratusz, hotel z barem oraz biuro obsługi turystów, wszystko pięknie wkomponowane w krajobraz na zboczu najbardziej stromego wzgórza. W pełnej zgodzie z tutejszą naturą. Drugim zaskoczeniem okazały się informacje w biurze turystycznym. Otóż została zbudowana szosa do niektórych z wiosek położonych na pustkowiach, jak Veigas oraz Teixois i kilka innych tak, że turyści mogą tam pojechać i zobaczyć, jak żyli ludzie w okresie izolacji.

Gudrun odetchnęła z ulgą.

Otrzymali małą mapkę oraz wyjaśnienia, jak dojechać do Veigas. Pracownik biura przekonywał ich jednak, że przede wszystkim powinni odwiedzić Tebtois. Znajduje się tam młyn z olbrzymim kołem, miejscowej roboty generator elektryczny z dziewiętnastego wieku, a także niebywalej wielkości kuźnia, która była znana co najmniej od siedemnastego wieku. Podobno w Teixois ludzie mieszkali od czasów rzymskich.

- Ale Rzymianie o tym nie wiedzieli - wtrąciła Gudrun. - Tak napisano w dokumentach, które odnaleźliśmy.

- Chodzi tylko o to - powiedział Jordi, kiedy stali przed mapą i słuchali informacji - że my nie chcemy jechać do tego miejsca, którego nazwy nawet wypowiedzieć nie potrafimy. Musimy dotrzeć jedynie do Veigas.

- Mimo wszystko ciekawie było posłuchać - złagodziła jego słowa Gudrun.

Wszyscy dzielali jej zdanie. Unni z uporem ćwiczyła się w wymowie trudnej nazwy, która w jej wykonaniu brzmiała mniej więcej jak „Teiczojsz”, wszyscy jednak zgadzali się z Jordim, że jechać tam nie powinni.

W chwilę potem opuścili miasteczko Taramundi i wjechali na nową, wąską drogę przez pustkowia.

- I tędy mielibyśmy iść? - zadrzała Gudrun, kiedy samochód wspinał się po zboczu po to, by zaraz potem stoczyć się w kolejną dolinę. Na szczycie zobaczyli gromadkę domów na sąsiednim wzgórzu, oszłamiająco wysoko ponad doliną, w którą mieli właśnie zjechać. Droga, jak powiedzieliśmy, była bardzo wąska, Gudrun i Juana trzymały się kurczowo oparcie. Unni robiła to samo w swoim samochodzie, ani razu nie odważyła się wychylić przez okno.

- Żebyśmy tylko nikogo tu nie spotkali - jęknęła cicho. - Bo byłyby problemy.

- Wielkiego ryzyka nie ma, sezon turystyczny się skończył.

Unni siedziała i myślała o zachowaniu Miguela w Taramundi. Przedtem przez okno samochodu widziała, że śmiał się i rozmawiał z Juana, z Gudrun i Pedrem. W Taramundi jednak nie odezwał się ani słowem, najwyraźniej trzymał się z daleka od Unni i Jordiego,

towarzyszył natomiast Juanie, która promieniała ze szczęścia i nie zwracała uwagi na próbę sił, dokonującą się w milczeniu.

Pedro i Gudrun absolutnie niczego nie pojmowali.

Minęli wyjątkowo mały drogowskaz z napisem „Teixois”, kierowali się konsekwentnie ku Veigas. Dawno opuścili zamieszkane tereny.

- I co ty o nim myślisz? - spytała nieoczekiwanie Unni, ale Jordi nie miał najmniejszych wątpliwości, o kogo chodzi.

- To samo co ty. Trzymam się od niego na dystans.

- No i ja. Nie jest to przyjemne uczucie. Jordi machnął ręką.

- Absolutnie nie. Wiesz, co ja sędzę?

- Nie.

- Że on się nas boi.

- I to przez cały czas. Mam nadzieję, że nie dopuściliśmy do towarzystwa jakiegoś przestępcy.

Na to Jordi nie odpowiedział. Twarz miał nieprzeniknioną.

I właśnie to przerażało Unni.

Zapuszczali się coraz bardziej i bardziej na pustkowia. I oto, kiedy mozolnie pokonali kolejne wzgórze i mieli zjeżdżać w dół, pojawił się ostry zakręt. Oba samochody zwolniły i zatrzymały się. Pasażerowie wysiedli.

Mieli przed sobą jeszcze jedną, porośniętą lasem dolinę, wijącą się między wzniesieniami i ginącą w oddali.

W głębi tej doliny, u stóp jednego ze wzniesień, mieniła się niewielka, jasna plama, niewiarygodnie samotna pośrodku dzikich pustkowi.

- Veigas - stwierdziła Juana. Wszyscy poczuli ucisk w piersiach.

- Właściwie to nic niezwykłego - wyjaśnił Pedro. - Galicja jest pełna takich leżących na uboczu wiosek. Znajdują się dosłownie wszędzie. Zawsze były budowane nad rzekami i strumieniami. Bo tam, gdzie jest płynąca woda, tam jest też chleb.

Akurat on, pan Verin i Galicji, coś na ten temat wie.

- To prawda - potwierdziła Juana. - Z jedną małą poprawką, mianowicie nie jesteśmy już w Galicji. Okolice Taramundi należą do Asturii.

- Ale leżą nad granicą?

- Nawet bardzo blisko. Akurat tutaj linia graniczna się wykrzywia, więc sama dokładnie nie wiem, którą przebiega.

Pedro spojrzął na zegarek.

- W Veigas istnieje możliwość noclegu, miejscowość jest przecież otwarta na turystykę. Co prawda sezon się skończył, ale podobno mieszka tu jeden strażnik z psami. W Taramundi byli pewni, że jest w domu. A nam miejsce do spania będzie potrzebne, bo dzień ma się ku końcowi.

Unni spojrzała na małą wioskę w oddali i przeniknęła ją dreszcz.

Veigas wydało jej się tak straszliwie samotne na rozległych pustkowiach.

Kiedy pomyślała sobie o tych pokoleniach ludzi, którzy tutaj mieszkali, żyli i umierali, ogarnęło ją wielkie przygnębienie. Zimne, pewnie śnieżne zimy, dni pełne deszczu, głód, choroby, izolacja...

Bała się znaleźć w miejscowości, gdzie pamięć tych wszystkich ludzi nadal trwała w ścianach domów.

Na szczęście jest z nią Jordi i przyjaciele.

Zerknęła z boku na Miguela. Jego dłoń spoczywała na ramieniu Juany.

Unni poczuła, że ściska jej się żołądek. Przepęłniał ją strach. Co jest w tym człowieku, że wprawia ją w tak wielkie wzburzenie?

Nie, to głupota z jej strony. Po prostu wiąże z jego osobą wspomnienie żelaznej dziewczicy i wczorajszego przerażenia w podziemiach kościoła. Właśnie wyszła z potwornego urządzenia, kiedy on stanął w drzwiach. Wciąż dygotała z bólu i strachu, gdy go zobaczyła.

Ale to żelazna dziewczica jest winna, nie sympatyczny Miguel.

Tego przedpołudnia grupa Antonia miała opuścić małe miasteczko w Kraju Basków, by udać się na poszukiwanie ruin, w których Jordi po raz pierwszy spotkał rycerzy.

Poranek był bardzo stresujący. Antonio telefonował i telefonował do Vesli, ale nie otrzymał odpowiedzi. Jego twarz zdawała się sztywna z niepokoju.

I oto po śniadaniu, które się przeciągnęło ponad miarę, bowiem Flavia zeszła zbyt późno, stało się coś niepojętego.

Antonio chciał przed wyjazdem zadzwonić jeszcze raz, włożył rękę do kieszeni i... nie znalazł tam komórki.

- Gdzieś zostawiłem telefon - powiedział. - Morten, możesz mi pożyczyć swój?

Ale Morten też telefonu nie miał. Flavia i Sissi chwyciły swoje torebki. Wszystkie telefony zniknęły.

- To nie może być przypadek - rzekł Antonio zgnębiony. - Co to za cholerny idiota, który kradnie ludziom komórki? Czy komuś zginęło coś poza tym?

Zatrzymali się, by sprawdzić. Ale nie, wszystko było na miejscu.

- Mój był prawie wyładowany, złodziej niewiele z nim zdziała - rzekła Flavia lakonicznie.

- Mój też - roześmiała się Sissi.

- To nie do wytrzymania - denerwował się Antonio. - Muszę koniecznie zatelefonować do Vesli, ale jak mam to zrobić bez komórki? I w jaki sposób będziemy utrzymywać kontakt z tamtą grupą?

- Ale jak się to złodziejowi udało? - zastanawiał się Morten. - Sissi i Flavia miały swoje komórki w torebkach, to stosunkowo łatwo dostępne, ale przecież nasze były w kieszeniach. Naprawdę nic nie rozumiem.

Antonio podjął decyzję.

- Jesteśmy już za daleko, żeby zawracać. Później będziemy się zastanawiać nad tą tajemnicą. A teraz do ruin!

Otrzymali bardzo szczegółowe opisy od Jordiego, wiele też wyjaśniła skórzana mapa, bez problemu więc odnaleźli ścieżkę wiodącą do celu.

Flavia i Sissi poszły razem.

- Jak ci się układa z moim pasierbem? - spytała Flavia przyjaźnie. - W dalszym ciągu tak nazywam Mortena, uważam, że mogę sobie na to pozwolić.

- No cóż - odparła Sissi. - Na anielskich skrzydłach pojawiło się wprawdzie trochę plam i aureola bohatera też jakby się przekrzywiła. *Sic transit gloria mundi*. Ale też dzięki temu on stał się jakby bardziej ludzki.

Flavia roześmiała się i przetłumaczyła: Tak przemija sława świata. Masz świetną wymowę. Słyszę to, kiedy rozmawiasz z Hiszpanami. Jak na tak słabą znajomość języka, to...

- Tak, rzeczywiście, mam dobry słuch językowy. Ale chyba jesteśmy na miejscu. Patrz, nasi panowie stoją i przyglądają się czemuś w największej pokorze.

Wkrótce one też znalazły się w pobliżu i zobaczyły coś, co mogło być ruinami dawnej twierdzy. Teraz była to po prostu wielka dziura w ziemi.

- Tutaj Jordi odważył się zejść na dół? - zawołał Morten odskakując mimo woli w tył.

- Został do tego zmuszony - wyjaśnił Antonio. - Przez rycerzy. No a teraz nasza kolej.

Morten rozejrzał się dookoła, ale nigdzie żadnego rycerza nie dostrzegł.

- Nie, oni już nie uczestniczą w naszych poszukiwaniach - uspokoił go Antonio. - Jesteśmy za blisko rozwiązania zagadki. Tak powiedzieli Jordiemu.

- Za blisko? Coś takiego! - prychnął Morten i ciągnął sceptycznie:

- Zmieścimy się tam wszyscy?

- No to zostań na górze. Ja schodzę na dół.

- Ja też - oznajmiła Sissi.

Flavia wahała się. To chyba nie jest najodpowiedniejsze miejsce dla takiej światowej damy jak ona. Kiedy jednak Morten zdecydował się ofiarować życie, to i ona postanowiła zejść.

Kieszonkowe latarki oświetliły schody, na których Jordi znalazł pochodnię. Podłogę pokrywały kamienie, które spadły z góry. Instynktownie spojrzeli na sufit i zadrżeli. Opuściła ich ochota do dalszych poszukiwań.

Dostrzegli jednak ów wielki kamień, który został odsunięty przez Jordiego na bok i posuwając się ostrożnie, gęsiego, między leżącymi blokami, pokonali pomieszczenie i weszli do drugiej, otwartej sali z pustymi kamiennymi katafalkami.

Tutaj w dole trudno było oddychać.

Antonio wolno oświetlał ściany.

- Tam! - zawołała Flavia.

To herb, którego Jordiemu nie wolno było dotknąć.

Teraz zaczęli się domyślać dlaczego. Róża.

- Ty - zwrócił się Morten do tego, kto chciał go, słuchać. - Patrz na gryfa! Ten tutaj jest podwójny, ' z ogonem i lwimi łapami. Jordi źle go narysował.

- Nielatwo jest zapamiętać wszystkie szczegóły - wtrąciła Flavia usprawiedliwiająco.

Możliwe, że zwierzę, które otaczało sam herb, zostało przez Jordiego narysowane zupełnie błędnie. Ale herb był poprawny. Była tam sroka, która reprezentowała Urracę, i róża w prawym rogu.

Heraldyczna róża.

Której sensu nikt nie rozumiał. Wyglądała na umieszczoną tu przez nieporozumienie, trochę irracjonalna, jak na początku sroka.

Teraz wszystko znalazło się na miejscu.

Badali różę dokładnie, bo oni mogli jej dotykać. Właściwie jednak wyglądała niebywale prosto. Niewielkie przesunięcie...

Antonio je wykonał. Obrócił różę o sto osiemdziesiąt stopni. Róża oddzieliła się od herbu i Antonio ją usunął.

Wewnątrz znajdował się kawałek skóry.

- To ciekawe, że żaden z kawałków tej skóry nie zaginął - powiedziała Flavia.

- Niebo na to nie pozwoliło - westchnął Antonio. - W przeciwnym razie mielibyśmy problemy.

Tym razem nie zwlekali i zaczęli na miejscu badać znalezisko.

Rysunek. Duży ptak w locie, charakterystyczny styl.

- Sęp - stwierdził Antonio. - Jest tak jak Jordi zgadywał: Tam gdzie orły będą małe.

- Dolina Carranza - rzekł Morten. - Granica między Krajem Basków i Kantabrią.

- Jak to brzmiała ta strofka młodego mnicha Jorgego? - spytała Flavia. - Ta o granicach. Wioska pustkowie chleb przełącz puchary groty groty.

Popatrzyła na swoich towarzyszy i westchnęła:

- Znowu groty! Wiecie co, powoli zaczynam nienawidzić grot i krypt.

Trudno się chyba dziwić, że reszta zgadzała się z nią co do joty. Trzeba jednak pomyśleć o sytuacji tych, którzy w odległych czasach nieśli skarby. Chodziło o to, by ukrywać i te skarby, i siebie samych. Przez cały czas. Kluczyć, chodzić krętymi drogami, jak najdalej od niepowołanych oczu.

Kiedy nasi poszukiwacze już mieli wyjść, doszło do katastrofy, która mogła się skończyć tragicznie dla całej ekspedycji.

Morten posuwał się jako pierwszy[^] bo bardzo mu się spieszyło do wyjścia. Za nim Antonio. Następnie Flavia miała się wyczołgać spod na wpół zawalonego sklepienia, kiedy jednak dotknęła ręką jakiegoś kamienia, ten oderwał się i potoczył za Antoniem. Flavia krzyknęła, Antonio odwrócił się i zdołał ją wyciągnąć w ostatnim momencie, zanim wszystko

się zawaliło, bo obluzowany kamień wywołał reakcję łańcuchową. Osypujące się kamienie porwały ze sobą sufit nad wejściem i duży fragment sklepienia.

- Sissi! - wrzasnął Antonio.

W ruinach nikt się nie odezwał. A wejście zostało zawałone. Gdyby próbowali usunąć kamienie, spowodowałoby osunięcie się dalszych fragmentów sklepienia.

Antonio starał się ogarnąć sytuację. Trzeba myśleć tylko o jednej rzeczy na raz. Vesla... zapomnij o niej teraz...

- Uciekaj! Szybko! - zawołał do Flavii, bo sufit zaczynał trzeszczeć i skrzypieć, a w głębi wciąż było słycać spadające kamienie.

Nic nie mógł zrobić poza tym, żeby jak najprędzej wyprowadzić stąd Flavię.

- Uderzyłaś się? - spytał na schodach. Zanim odpowiedziała, rozległ się huk i wszystko za nimi ostatecznie runęło.

Flavia była już na dworze, ale jej twarz wykrzywił ból. Pokazywała mu nadgarstek, mocno pokaleczony, krwawiący.

- Nic mi nie będzie. Ale Sissi?

- Zejdę na dół, jak tylko kamienie przestaną się sypać - odparł Antonio, przerażony losem Sissi. - O Boże, Boże drogi - modlił się w duchu.

- Morten! - krzyknął, bo kurz przesłaniał mu widok. - Morten, gdzie jesteś? Musimy zejść na dół, jak tylko...

Huk ustał, tylko od czasu do czasu słycać było pojedyncze uderzenia.

- Morten! - zawołali Antonio i Flavia chórem.

- Tutaj - odpowiedział. - Chodźcie mi pomóc!

- Chodźcie mi pomóc? Czy on też jest ranny? Kurz powoli opadał, zobaczyli Mortena niemal obok siebie.

- Stoję na fragmencie ściany - poinformował. - Sissi jest dokładnie pode mną, musimy ją uwolnić.

- O, rany boskie! - zawołał Antonio i puścił się biegiem, a Flavia za nim.

- Czy ona żyje? - krzyczała.

- No jasne! - odparł Morten. - Skuliła się pod ścianą, jak sufit się zawalał. Znalazła ochronę pod jakimś gzymsem, ale sama stąd nie wyjdzie.

- Dzięki ci, dobry Boże - odetchnął Antonio. - Widział Sissi pokrytą warstwą kurzu tak grubą, że kiedy się uśmiechała, widać było tylko białe zęby. Szczerze powiedziawszy prezentowała raczej grymas niż uśmiech.

Trudno było wydostać ją ze zrujnowanej piwnicy. Nogi miała pocierane i

posiniaczone, ale poważniejszych obrażeń nie odniosła. Flavia znalazła w pobliżu strumyk, przy którym wyczyścili i jako tako umyli Sissi. Nie chcieli bowiem tracić czasu i wracać do miasteczka, pragnęli jak najszybciej ruszyć w stronę doliny Carranza zwłaszcza, że zostało im jeszcze trochę dnia. Żadne nie wierzyło, że w miasteczku odnajdą swoje komórkowe telefony, albo i samego złodzieja, a bagaże zabrali i tak. Z pewnością wkrótce dotrą do jakiejś większej miejscowości, gdzie kupią nowe telefony i Antonio będzie mógł zadzwonić do Vesli.

Tak więc najpierw wzięli kurs na Vitoria/Gasteiz, by w jakiś czas później skierować się na zachód.

Triumf

Kaci inkwizycji odszukali Zarenę.

Ta wcieliła się w postać wampa, przyjęła ich łaskawie, ale słuchała niecierpliwie.

No więc chodzi o to, że ich osoba kontaktowa w ludzkim świecie, owa piękna Emma, która jednak „w żadnym razie nie jest tak piękna, jak wasza wysokość, o nie!”, wyraziła życzenie, by móc sobie wypożyczyć jednego ze ściganych, a to w celu wyciśnięcia z niego potrzebnych informacji. Czy wasza piękna wysokość zechciałaby na to przystać?

Czy to możliwe? Przekrzywili swoje obrzydliwe główki i wpatrywali się wiernopoddańczo w Zarenę.

Ta zaś pospiesznie rozważała sprawę. Przecież właśnie czegoś takiego jej potrzeba. Ów kłopotliwy Antonio... jego mogą sobie wziąć. A wtedy pozostałych troje z jego grupy łatwiej będzie omamić. Będzie mogła się do nich przyłączyć. Tak samo jak Tabris do swoich. Dzięki temu i on nie będzie już miał powodu, by nad nią triumfować, taki pospolity cham.

- Ta pozbawiona jakiegokolwiek wartości Emma i jej goryle mogą sobie wziąć jednego - rzekła chłodno. - Ale on jest bardzo podejrzliwy. Jak mam go wam przekazać? I przede wszystkim jak go zwabić?

To nic, Emma i na to miała radę. Co prawda myślała, że kaci sami dokonają kidnapingu, bo przecież o istnieniu Zareny nic nie wiedziała. A mnisi woleli nie mówić.

Mając rady Emmy w myślach, Zarena ruszyła w drogę. Przybrała znowu ludzką postać i zdobyła niezbędne wyposażenie w pewnym sklepiku - nie płacąc za nie, rzecz jasna - po czym zrobiła to, co Emma wymyśliła.

Zarena od dawna tęsknie spoglądała na ludzi w szybko się posuwających powozach. Teraz wynalazła piękny egzemplarz, włamała się do niego bez problemów i usiadła za kierownicą, tak jak robią to ludzie.

Ruszyć jednak nie potrafiła!

Phi! Takie szczegóły to dla Zareny naprawdę nic wielkiego.

Antonio i jego przyjaciele nie ujechali daleko, gdy rozległ się za nimi odgłos szybko zbliżającego się samochodu, który dawał im znaki, by się zatrzymali.

Spełnili polecenie.

Podszedł do nich młody mężczyzna w bardzo ciemnych przeciwsłonecznych okularach.

- Antonio Vargas? - spytał z przyjaznym, jakby trochę kobiecym ruchem ręki.

W pierwszej chwili pomyśleli, że to ktoś, kto znalazł ich telefony.

Ale tak nie było.

Młody człowiek wyjaśnił, że szukał Antonia w hotelu, w którym spędzili noc, i tam powiedziano mu, że pojechali właśnie w tę stronę. Ma bowiem wiadomość dla Antonia Vargasa. Otóż pewna pani nazwiskiem Vesla Ødegard jest w drodze do Hiszpanii i za kilka godzin wyląduje na lotnisku w San Sebastian.

- Vesla? W San Sebastian? Teraz? - bąkał Antonio niezbyt inteligentnie, ale był kompletnie oszołomiony.

- Tak, wszystko się zgadza - potwierdził młody mężczyzna, który przedstawił się tak szybko, że nikt nie zrozumiał jego nazwiska. Otóż biuro podróży, w którym jest zatrudniony, wysłało go na poszukiwanie podróżnych, bowiem nie można się było z nimi skontaktować przez telefon. Gotów był zawieźć Antonia na lotnisko i później odstawić jego i Vesłę, dokąd będą chcieli.

- Ale my jedziemy aż do doliny Carranza.

- To zawiozę państwa tam. Będziecie mogli spotkać swoich przyjaciół w Ramales de la Victoria.

Vesla tutaj? Czy to dlatego nie mogli się do niej dodzwonić?

Dość zakłopotany poprosił Flavię, by usiadła za kierownicą, on zaś poszedł za obcym Hiszpanem do jego samochodu.

- Zobaczymy się w Ramales de la Victoria! - zawołał, machając im na pożegnanie. Oni też mu pomachali, zaskoczeni tak samo jak on.

Antonio nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, siedział w samochodzie, który młody mężczyzna o lekko kobiecych rysach prowadził bardzo pewnie i niebezpiecznie szybko.

Co się stało, że Vesla zdecydowała się tu przyjechać, skoro do rozwiązania zostało jej już tak niewiele czasu? Co się stało? Czy ona przed czymś ucieka? Pełen był jak najgorszych przeczuć i żałował, że zostawił ją w domu samą.

Chciał prosić szofera, by szybciej jechał na lotnisko, ale szybciej by już nikt jeździć nie powinien.

I chyba by nie mógł.

Dotarli do dużego skrzyżowania. Kierowca elegancko skręcił w jedną z dróg, nie przejmując się zbytnio zasadami ruchu. Antonio zmarszczył brwi.

- Ale... to chyba nie tak? Nie powinniśmy byli skręcić w prawo?

- Tamta droga jest akurat zamknięta. Ale to tylko małe objazdy.

Antonio zeszywniał. Przeczuwał, że coś jest nie tak. I to bardzo.

- Czy mógłby mi pan pożyczyć swój telefon komórkowy? - spytał. Chciał o tej całej sprawie z Veslą porozmawiać z Jordim lub chociaż z rodzicami Unni.

Hiszpan zrobił niepewną minę.

- Komórka... Ale ja nie mam.

A gdy Antonio zdziwił się jeszcze bardziej, że pracownik biura podróży nie ma telefonu, pospiesznie dodał:

- Nie mam przy sobie.

Te słoneczne okulary. W bardzo dobrym gatunku. Markowe.

Ciemne, ale nie całkiem. Czasami Antonio miał możliwość dostrzec oczy tego człowieka.

Czy Vesla naprawdę by chciała...?

Jechali z oszalemiącą prędkością, ale też Antonio miał wyjątkowo zdolnego kierowcę.

- W San Sebastian to chyba nie ma normalnego lotniska cywilnego - zaczął Antonio ostrożnie. - Dlaczego ona nie leci do Bilbao?

- To było jedyne możliwe połączenie.

Głos był łagodny, niemal przymilny. Ubranie...?

Antonio chciał się przyjrzeć ubraniu swojego towarzysza i wtedy jego dłonie mimo woli zacisnęły się na krawędzi obitego skórą siedzenia.

Kierowca ów nie trzymał stóp na pedałach. A kiedy przed chwilą skręcał... no tak, to właśnie to było nie tak: kierowca nie trzymał kierownicy!

Vesla nigdy w życiu nie wybrałaby się w swoim stanie w taką długą podróż!

Antonio wciągnął powietrze ze świstem. Jeszcze raz dał się podejść magicznej sile.

Kierowca usłyszał jego oddech. Wolno odwrócił się do Antonia, a samochód jechał sobie sam.

Antonio spojrzał w roześmianą, teraz już wyraźnie kobiecą twarz. I zobaczył dwoje triumfujących kocich oczu za słonecznymi okularami, po czym wszystko zniknęło, a on pogrążył się w mroku.

Zarena zatrzymała samochód, zdjęła okulary i wybuchnęła głośnym śmiechem.

W oddali dało się słyszeć zwycięskie wycie katów inkwizycji.

Oba samochody wolno toczyły się po ostatnim zboczach w dół do Veigas. Jordi i jego grupa znajdowali się bardzo daleko od Antonia i jego nad wyraz przykrych sytuacji.

Nad rzeką, w miejscu gdzie droga się kończyła, stał mały czerwony samochód. Zaparkowali obok niego, a potem poszli przez drewniany most ze zwyczajną poręczą, nie spuszczać oczu ze znajdującej się przed nimi, prastarej miejscowości.

Veigas przycupnęło u stóp stromego zbocza, w najszerszej części doliny. W górach, na stokach, i w dole, nad rzeką, wciąż jeszcze było widać małe poletka, teraz poźółkłe.

Dwa wielkie psy, najwyraźniej zadowolone, ujadły głośno, na widok zbliżających się podróżnych. Strumień, bo to był raczej strumień niż rzeka, szumiał poniżej, szeroko tocząc swoje wody. Poza tym panowała cisza. Wielka cisza wieczności.

Przejęci goście chłonili szczegóły. Domy zostały zbudowane z szarych i brązowych kamieni, również dachy wykonano z kamiennych płyt. Były starannie obrobione, ale mech i rośliny zdołały się wcisnąć w szczeliny, porastały również ściany domów i małe podwórka. Tu i ówdzie otwory okienne i drzwi ziały pustką dawno opuszczonych siedzib. Pewna część wsi była jednak najwyraźniej zamieszkała aż do naszych czasów, a ostatnio została odrestaurowana. W tej części też znajdował się najwyższy we wsi budynek i przybyli zastanawiali się, czy to nie właśnie tam są pokoje dla turystów.

To, że nowoczesność dotarła do wsi widać było też po obecności ładnego, zielonego pojemnika na śmieci oraz przezroczystej plastikowej osłony wokół jednego z kominów.

Gudrun bardzo cieszyła się modernizacją, a już zwłaszcza nową drogą do wsi.

Unni szła za Miguelem pod niewielką nadbudówką między dwoma domami. Uliczki zostały wyłożone płytami kamiennymi w dekoracyjne wzory. Veigas musiało być bardzo sympatycznym miejscem do mieszkania w czasach, kiedy w tutejszych domach żyli jeszcze ludzie.

Przyjrzała się Miguelowi. Od tyłu właściwie można go było pomylić z Jordim. Ta sama sylwetka, włosy podobnej długości i tak samo szerokie barki.

Unni zastanawiała się, dlaczego tak naprawdę on tu z nimi przyjechał. Chciał im służyć za przewodnika do Veigas? Owszem, ale po tym jak pokazał im na mapie Taramundi, sami mogli znaleźć dalszą drogę. Nie wiedział o Veigas więcej niż oni, odkąd opuścili Lugo nie podał ani jednej informacji.

Czy towarzyszy im ze względu na Juanę?

Odnosił się do niej wprawdzie bardzo przyjaźnie, ale mimo to w jego stosunku była wyraźna rezerwa, a zainteresowanie wydawało się powierzchowne. I naprawdę trudno powiedzieć, że szczere.

W tej chwili Miguel odwrócił się, jakby zrozumiał jej myśli.

Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę. To było bardzo dziwne spojrzenie. Unni zdawało się, że coś czyta w jego wzroku. Ale co? Był to właściwie tylko błysk, ta jakaś naga otwartość, i trwał bardzo krótko, a potem znowu pojawiła się przesłona, jakby chciał się ukryć przed światem.

I Miguel się odwrócił.

Unni nie do końca to rozumiała. Dlaczego nagle oczyma duszy zobaczyła górską halę w Norwegii, na której stała otoczona stadem kóz? Znajdował się tam. też kozioł o wielkich rogach. Minęły lata od czasu, kiedy tam była, ale obraz pojawił się teraz, kompletnie irracjonalny.

No a ten wyraz oczu Miguela, co mógłby znaczyć? Nadużycie? Przestrach?

Nie, nie umiała sobie tego wytłumaczyć.

Wyszła im na spotkanie bardzo sympatyczna, życzliwa pani. Wyjaśniła, że to nie ona tu pracuje, teraz tylko pilnuje psów swojego szwagra. Właściwie sezon został już zamknięty, ale pokoje są gotowe, gdyby chcieli przenocować. Jest też bar i mała restauracja, więc jeśli są głodni, nie będzie problemów...

Przedyskutowali sprawę. Zrobiło się już późne popołudnie, a oni przyjechali przecież, by odszukać rózę tych, którzy przynosili skarby, więc wszyscy uznali, że należy przenocować.

Wszyscy z wyjątkiem Gudrun. Ona czuła się jakoś niepewnie w tej dolinie, całe mile od innych ludzi. A już zwłaszcza w opuszczonej wsi z jej nieznaną historią, otoczoną przez pustkowia. Zastanawiała się, jakiego rodzaju ludźmi byli ci, którzy mieli odwagę mieszkać tu, w całkowitej izolacji. Jeśli jednak sądziła, że to jakaś zacofana grupa, to musiała ze wstydem zmienić zdanie. Pani opowiedziała bowiem, że jej szwagier tu się urodził i wychował, a teraz jest wykładowcą szkoły wyższej w stolicy Galicji, La Corunii.

Tak więc Gudrun musiała zmienić poglądy, inni być może też, ale tego nie wiedziała.

Stanoło na tym, że jednak przenocują. Poszukiwania będzie można rozpocząć następnego dnia rano. Rozważali, czy by nie zapytać gospodyni o rózę, ona jednak najwyraźniej włączyła się w historię tej miejscowości stosunkowo niedawno.

Wiedziała natomiast sporo o wszystkich starych narzędziach, pokazała im też wnętrza kilku budynków. Pokoje sypialne okazały się po prostu czarujące. Olśniewająco czyste,

wyposażone w prysznice i toalety, ale utrzymane w starym stylu. Wszyscy się po prostu ucieszyli, że będą mogli w nich zamieszkać.

No, może Unni nie cieszyła się aż tak bardzo. Ona w ogóle nie chciała iść spać, w żadnym miejscu, nawet w najbardziej luksusowym hotelu w eleganckim mieście. Wiedziała bowiem, iż żelazna dziewica znowu ją nawiedzi we śnie. Wielka, budząca grozę beczka z kobiecą twarzą wyciętą w pociemniałym drewnie górnej części.

Na wspomnienie tego urządzenia przenikał ją lodowaty strach i ukradkiem dotykała małego amuletu, który nosiła na szyi. Gryfa.

Powiedziała do Jordiego:

- Rozdzieliliśmy gryfy tak, żeby w razie czego nie zginęły wszystkie na raz. Ja, oczywiście, dostałam gryf Vasconii. Pedro Galicii, a Sissi Kantabrii. No ale wy? Jest was przecież trzech z Nawarry, natomiast nie ma nikogo z Asturii. Wiem, że gryf Nawarry przypadł tobie, a kto dostał amulet Asturii? Morten?

- Nie, Morten uznał, że noszenie amuletu jest za bardzo kobiece. A teraz, przy Sissi, chce się wydawać bardzo męski. Tak więc gryf dostał Antonio.

Unni skinęła głową. Kupili wszyscy cienkie łańcuszki i mogli nosić amulety na szyi, tuż przy ciele.

Podczas kiedy gospodyni szykowała posiłek, a panie z grupy jej pomagały, Miguel otrzymał wezwanie od Zareny. Chciała z nim pilnie rozmawiać.

Miguel się skrzywił. Tutaj wprawdzie nie działo się nic specjalnie zabawnego, ale Zarena była jeszcze gorsza.

- Pójdę i rozejrzę się trochę po okolicy - powiedział w kuchni i wyszedł. Juana długo patrzyła w ślad za nim, próbując przy tym krajać warzywa. Nie mogła tak po prostu za nim wyjść. Zresztą on też chyba nie pragnął towarzystwa.

Poszedł starą drogą z tyłu za domami. Wieś ciągnęła się jakieś kilkaset metrów w głąb doliny. Miguel szedł, dopóki mógł być widziany z głównego budynku.

Słońce zachodziło, pewnie jeszcze nie nad całym Taramundi, ale tutaj dolina leżała w przedwieczornym cieniu.

Na drugim brzegu strumienia, po tej stronie gdzie stały samochody, zobaczył stary kościół, na którego dzwonnicy nadal wisały dzwony. Jeden większy i jeden całkiem mały, z pewnością służyły i dzisiaj podczas kościelnych ceremonii. Nieco dalej widać też było niewielki cmentarz.

Nie mógł zbyt długo pozostawać poza domem, trzeba się pospieszyć!

Miguel przemienił się w Tabrisa. Rozpostarł skrzydła i zniknął w tym samym momencie, gdy oderwał się od ziemi.

Marcia Funebre:

Tabris był ponury niczym marsz żałobny, *marcia funebre*, kiedy szedł przez płaskowyż ku czekającej na niego Zarenie.

- Czego chcesz?

- No, no, nie tak ostro! Zdobyłam wejście do mojej grupy.

To była tylko połowa prawdy. Usunęła Antonia, ale wejść do grupy jeszcze nie próbowała.

- No to świetnie - skomentował Tabris obojętnie, a Zarena znowu poczuła ochotę, by się na niego rzucić.

- Uwięziłam jednego z nich. Najniebezpieczniejszego. I przez to zdobyłam do nich dojsście.

- Uwięziłaś? Co chcesz przez to powiedzieć? To brzmi ryzykownie.

Zarena wzruszyła swoimi zielonkawymi ramionami.

- Potraktował mnie niewybaczalnie. A ja jestem demonem zemsty, prawda? Nie, nie chodziło mi o zemstę, ale ludzcy współpracownicy naszych mocodawców chcieli dostać jednego z nich, by wydobyć z niego potrzebne informacje. I ciebie zachęcam, byś zrobił to samo. To ludzie mieliby informacje od obu grup.

- My nie potrzebujemy służyć ludziom - zaprotestował Tabris gwałtownie.

- Ale jeśli to odpowiada również naszym interesom? - powiedziała głosem słodziutkim jak miód. - Możemy się pozbyć tych najbardziej kłopotliwych.

Tabris zastanawiał się nad tym, obserwując jednocześnie Zarenę. Uważał, że jest odpychająca z tymi swoimi przypominającymi węże lokami, z których wystawały dwa kokietyjne różki, z tą swoją trójkątną twarzą, ostrym nosem, podbródkiem... Tabris wiedział, że na dole, w ich królestwie ciemności Zarena uchodzi za piękność, on jednak już teraz nie widział w niej niczego pociągającego.

Już teraz? A czy kiedykolwiek widział? Nie umiał sobie przypomnieć.

- No? - Zarena czekała na odpowiedź. Powiedział z wahaniem:

- No, ja też mam jednego, który mnie irytuje...

- Ta hiszpańska dziewczyna, o której ostatnio wspominałeś? - Zarena roześmiała się złośliwie.

- Co? Nie. Ona jest męcząca, ale żeby niebezpieczna? Nie.

- Mówiłeś, że masz dwoje groźnych. Tabris źle się czuł podczas tej rozmowy.

- Tak.

- No to bierz faceta!

- Nie, on jest zbyt groźny.

- Zbyt groźny? Dla nas?

- Tak. Po prostu nie wiem, do jakiego świata on należy. Myślę, że mógłby nas zdemaskować. Ale ona... Wygląda mi na to, że ona sobie różnie o mnie myśli. I jest kobietą tego niebezpiecznego. Tak. Ona jest odpowiednią ofiarą, z nią mógłbym się rozprawić.

Tabris chciał jak najszybciej skończyć z Zarena. Musiał też wracać, zanim reszta zacznie go szukać.

- No to co mam z nią zrobić? - syknął.

Zarena absolutnie nie życzyła sobie takiego zachowania, zwłaszcza ze strony demona, który w państwie podziemnym nie był specjalnie szanowany. Zamachnęła się i chciała go dziabnąć szponami w szyję.

Tabris złapał ją za nadgarstek.

- Zwariowałaś? A gdybyś mnie skaleczyła? Nie pomyślałaś, że mam czarną krew? Jak bym im to wytłumaczył?

- To już twój problem.

- Mam dość siły, by ci utrzymać nosa, ale tego nie zrobię. Jesteś demonem zemsty. Nigdy byś mi tego nie wybaczyła, a ja chciałbym cię widywać jak najrzadziej.

Zarena gniewnie zacisnęła wargi, a po chwili syknęła:

- No to co, chcesz tych informacji czy nie?

- Chyba muszę chcieć.

- Więc zachowuj się przyzwoicie, zwłaszcza wobec demona mojej klasy! I masz zupełną rację, ja zawsze mszczę wszystkie niegodziwości, jakich się wobec mnie dopuszczono. No dobra, słuchaj. I mam nadzieję, że na jakiś czas uniknę oglądania twojej wstrętnej gęby.

- Możesz być pewna!

Tabris dostał instrukcje i Zarena zniknęła. On stał jeszcze chwilę i trząśnięty ze złości. Trochę trwało, zanim się uspokoił i mógł wracać. Nienawidził tego zadania od początku do końca.

W domu, w ciepłej, przytulnej kuchni Juana nie przestawała mówić. Unni przede wszystkim słuchała.

- Taka jesteś radosna dzisiejszego wieczora - stwierdziła.

- To prawda - roześmiała się Juana i wrzuciła garść drobno pokrojonej cebuli do rondla. Potem szepnęła: - Unni, czy mu się podobam?

Unni też się roześmiała.

- No w każdym razie nie powiedział, że mu się nie podobasz.

Juana sposepniała.

- Nie, no właśnie, on nic nie mówi. Ale zaraz znowu mówiła radośnie:

- Pomyśleć, że trafił mi się taki mężczyzna! Bardzo chciałam znaleźć kogoś w typie Jordiego, no i zjawił się on! Wprost trudno w to uwierzyć!

- To prawda - przytaknęła Unni trochę zamyślona. - Ale kiedy Miguel wróci, wykorzystaj to jak najlepiej - głos Unni zabrzmiał surowiej. - To wcale nie oznacza, że powinnaś tak jawnie okazywać swoje zakochanie. Mężczyzna woli być myśliwym, nie zdobyczą.

- Zapamiętam to sobie, chociaż nie będzie łatwo. A gdzie się podziewa Jordi?

- Wyszedł na chwilę. Chciał obejrzyć stary kościół.

- Przecież jest już niemal całkiem ciemno.

- Świeci księżyc, poza tym Jordi ma mocną latarkę. Juana zamyśliła się.

- Miguela to nie ma od dawna...

- Pewnie się spotkali z Jordim i razem poszli oglądać kościół - powiedziała Unni, a Juana chętnie przyjęła wyjaśnienie.

Nad starą wsią, nad całą doliną trwał głęboki spokój. Jordi przeszedł przez mostek i dalej podążał drogą, kończącą się pod kościołem.

Mimo wszystko on sam nie mógł się pozbyć niepokoju. Miał wrażenie, że w tej dolinie coś się czai, ale że to nie pochodzi stąd. Raczej przybyło tutaj z nimi.

Coś wykazującego wielką nerwowość, wyczekującego. Czy to ich gonitwa za heraldyczną różą wzbudziła w murach starej wsi dawne wspomnienia? Jordi był na tyle wrażliwy, że potrafił do pewnego stopnia wyczuwać dawne wydarzenia, cofać się w czasie. Tutaj też odczuwał wiele z tego, co się kiedyś stało. Żyjące tu rody... właśnie dotarł do

cmentarza. Niewielki plac w bok od drogi, ogrodzony murem, częściowo pobielonym. Jordi oświetlał proste, ale bardzo piękne kamienie nagrobne. Wciąż jeszcze ktoś je dekorował kwiatami i staroświeckimi ozdobami. Odczytywał nazwiska. Znalazł tylko trzy różne, a więc tylko trzy rodziny mieszkały tutaj w ostatnich latach, zanim współczesność dotarła do doliny. Czy też zanim mieszkańcy otworzyli się na nowoczesność, nie wiedział, które określenie jest bardziej właściwe.

Jordi poszedł dalej, w stronę kościoła, położonego nieco na uboczu, nad strumieniem. Domy po drugiej stronie, w najdalszej części wsi, najbliższe kościoła, były całkiem zrujnowane. Jordi drgnął, kiedy zobaczył jakąś postać na drodze, idącą w stronę odrestaurowanej części wsi.

Ech, to z pewnością Miguel, który wraca z wycieczki. No rzeczywiście, nie było go przez jakiś czas. Musiał widocznie sprawdzać, czy dalej w głębi doliny coś jeszcze jest.

Jordi pociągnął klamkę w kościelnych drzwiach. Były zamknięte.

Jaki stary może być ten kościół? Z piętnastego wieku raczej nie pochodzi. Znajduje się w kompletnym upadku. Z fasady prawie całkiem odpadła zaprawa murarska. Natomiast dachówki wyglądają na dość nowe.

Wolno opuszczał okolicę kościoła. Nie sądził, by róża mogła się znajdować w świątyni. Jeśli kiedyś żywił taką nadzieję, to teraz ją stracił.

„Zaczynajcie w Veigas, tam gdzie śpiewa gaita”.

Cóż, zaczęli przecież jeszcze wcześniej, w Santiago de Compostela, ale don Bartolome, który był z Galicji, pewnie wiedział, że niosący skarby zmierzali do Veigas?

Jordi miał nadzieję, że don Bartolome tutaj był, znalazł różę i dołączoną do niej informację. Bo jeżeli nie, to dokąd by się potem udali?

„... tam, gdzie śpiewa gaita...?”

Gaita. Galicyjska kobza. Jordi słyszał głos tego instrumentu, nagrany na płytę. Był niezwykle inspirujący. Dysponował całkiem innymi tonami niż szkockie dudy, mimo to oba instrumenty brzmią podobnie.

Czy to dziedzictwo celtyckie? A może galijskie? Dziwne, że taki wyjątkowy instrument może istnieć równocześnie w Szkocji i w Galicji, dwóch krajach tak od siebie odległych. Ale nazwy Celtowie, Galowie, Galicjanie, Gelerowie, brzmią właściwie dosyć podobnie.

Jordi w żadnej mierze nie był ekspertem, po prostu teoretyzował.

Sympatyczna pani odjeżdżała właśnie swoim samochodzikiem, wracała do Taramundi. Po chwili światła zniknęły na drodze.

Tak oto zostali sami w ukrytej dolinie.

A co będzie jeśli to wszystko to tylko taki opis, mający wprowadzić w błąd postronnych ludzi, gdyby przypadkiem wpadli na trop całej sprawy?

Rzecz jasna określenie „tam, gdzie śpiewa gaita” może się odnosić do całej okolicy. I może być liryczną przenośnią wprowadzoną dla spotęgowania nastroju. No ale jeśli tak nie było? Jeśli to jest tajemny kod? Może oznaczać miech instrumentu muzycznego, lecz także na przykład miech kowalski.

Zabrnął w swoich rozmyślaniach na prawdziwe bezdroża. Mimo wszystko istniał koniec nitki, jeśli tak można powiedzieć, za który należało pociągnąć. Bo Jordi ani przez moment nie wierzył, że ten kawałek skóry, którego szukają, mógłby się znajdować w miechu instrumentu muzycznego. To zbyt nieprawdopodobne.

Nie, pomysł, który mu przyszedł do głowy był jeszcze gorszy. Ale może jednak? Szkoda, że gospodyni musiała wyjechać. Na szczęście wróci jutro, by zająć się psami. Unni próbowała się z nimi zaprzyjaźnić, ale nie wykazywały zainteresowania. Świetnie. Jordi bardzo chciał spytać gospodynię, czy we wsi nie ma starej kuźni, teraz już na to za późno, trzeba czekać do jutra.

W Teixois, jak słyszeli, znajdować się miała legendarna kuźnia z ogromnym drewnianym młotem, ale jak jest tutaj? Widzieli mnóstwo narzędzi, które mogły być używane w kuźni, teraz jednak zgromadzono je w czymś w rodzaju muzeum.

Musi porozmawiać z przyjaciółmi, musi przewietrzyć trochę swoją koncepcję, skonfrontować ją z poglądami innych.

Pospiesznie ruszył w stronę domu. Szedł przez rozjaśnioną niebieskawym księżycowym światłem dolinę, w której czarne domy kulily się razem przy zboczach wzgórz, a ich puste drzwi i okna gapily się w noc. Przeszedł przez oświetlony mostek nad strumieniem, który szeptał, gadał i gulgotał pod nim, przeszedł wąskimi uliczkami, powiedział parę ciepłych słów psom. Jeden, ten czarny z białym krawatem, pomachał przyjaźnie ogonem. Jaśniejszy pies trzymał się bardziej na uboczu. Jordi uznał, że podchodzenie do nich nie byłoby specjalnie rozsądne.

Przystanął, odwrócił się ku dolinie i nasłuchiwał.

Co tu jest nie tak?

Przecież jest ten wyczuwalny wewnętrzny spokój, jakby wieś spoczywała we własnych wspomnieniach i nie miało znaczenia, czy przybyli tu jacyś obcy ludzie czy nie. A może tutejszy smutek tak na niego wpływa?

Nie, to nie ma nic wspólnego ani z doliną, ani ze wsią. To ich wtargnięcie stało się

falszywym zgrzytem.

Powinniśmy stąd jak najszybciej odejść, pomyślał. By do tej fantastycznie pięknej, położonej na uboczu doliny znowu wróciła równowaga.

Wszedł do ciepłego, oświetlonego domu.

- Ty chyba nie masz dobrze w głowie - rzekła Gudrun do Jordiego. Siedzieli w przytulnej, ciemnej jadalni o kamiennych ścianach, z rustykalnymi meblami i pięknymi lampami. Jedzenie było bardzo dobre, potem Jordi wyłożył swoją teorię.

- Ale spróbować warto - powiedziała Unni w zamyśleniu. - Gdybyśmy się rozejrzeli po kuźni dzisiejszego wieczora, to jutro rano bylibyśmy wolni i można by zaczynać właściwe polowanie. Tylko gdzie jest kuźnia?

- A ja myślę, że wiem gdzie - oznajmił Pedro. - Widziałem budynek, który mógłby przypominać kuźnię. Pytanie tylko, czy jest oryginalna, to znaczy, czy istniała już w piętnastym wieku?

- Kuźni raczej się nie przenosi - wtrącił Jordi. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Unni wstała.

- Coś chyba na ten temat mogę wiedzieć. Widziałam tutaj broszurę o Veigas, o historii miejscowości, myślę, że powinna tam też być mapka wsi.

- Znakomicie! - ucieszył się Pedro. Miguel zapytał:

- A o co właściwie w tych waszych poszukiwaniach chodzi?

Wszyscy umilkli. Unni stanęła pośrodku pokoju. Spoglądali po sobie niepewnie. W końcu Jordi rzekł:

- Miguel, to jest dość szczególna sprawa. Przykro mi, żeśmy ci dotychczas nie wytłumaczyli tych wszystkich kwestii, o których nieustannie rozmawiamy. Ale nie powinienes być w to włączany. Dla twojego dobra. Mam nadzieję, że okażesz zrozumienie...

Juana sposepniała. Oto prysła nadzieja na to, że Miguel będzie mógł im dalej towarzyszyć.

Miguel spoglądał to na jedno, to na drugie. Zastanawiał się. W końcu na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Jestem zmęczony. To był bardzo długi dzień. Myślę, że pójde się położyć.

Wszyscy odetchnęli głośno i zaczęli mu życzyć dobrej nocy, może nawet trochę za bardzo serdecznie.

I ułatwili sytuację Tabrisowi, ale o tym nic nie wiedzieli.

Kiedy Miguel wyszedł, Unni przyniosła materiały, które widziała w szufladzie kuchennej szafki. Do czytania wiele tam nie było, znaleźli natomiast to, co mogło ich zainteresować najbardziej: mapkę oraz ilustracje.

- Patrzcie, tutaj jest forja, czyli kuźnia! - zawołał Pedro. Dokładnie tam, gdzie myślałem!

- Trzeba iść i obejrzeć - zdecydowała Unni.

- A zmywaniem kto się zajmie? - groźnie wtrąciła Gudrun.

Wszyscy wiedzieli, Miguel również, że to właśnie Unni obiecała pozmywać po kolacji. Unni była ekspertem w unikaniu kuchennych zajęć, przychodziła zawsze naprawdę pełna dobrej woli, w chwili gdy wszystko zostało już zrobione i pytała słodkim głosem: „W czym mogłabym pomóc?”

Tym razem jednak nie udało jej się wymigać, co przyjęła do wiadomości z westchnieniem rezygnacji.

Jordiego akurat teraz zmywanie naprawdę nie interesowało. Stał z jakimś rysunkiem w ręce i porównywał go z mapą, którą trzymał Pedro.

- Widzisz Pedro? To jest o wiele, wiele starsze. Ta notatka na marginesie na pewno została zrobiona później, a oznacza, że Veigas egzystowało już od dawna. Widzisz, raz wieś przeniesiono, ale już w siedemnastym wieku zaczęto się tu osiedlać na nowo.

- Czy to by mogło oznaczać, że stara wieś istniała już w piętnastym wieku?

- No pewnie, znaleziono fundamenty i kilka wciąż stojących domów. Tu masz ich plany!

Pochylali się nad arkuszami rozłożonymi na stole.

- Tak, teraz kuźnia znajduje się w tym samym miejscu - potwierdził Pedro.

- Spójrzcie jednak tam! - zawołała Juana. - Te ruiny domów też jeszcze stoją. Domy mają nazwy, pewnie wyryte nad wejściem. Domy są tylko trzy, ale popatrzcie na nazwy dwóch z nich!

Jordi odczytał to, co zostało napisane pod budynkami: - Casa de la Rosa. I Casa de la Gaita! Pedro odetchnął głośno.

- Akurat to nie ułatwia nam sprawy. Dwie możliwości!

- Czy to normalne, żeby takie zwyczajne domy miały takie wspaniałe nazwy? - zastanawiała się Gudrun.

Juana odpowiedziała:

- Pewnie nie. W każdym razie często się to nie zdarzało. Czy nie sądzicie, że to ci, którzy przynosili skarby, nadali im te nazwy? Tak żeby ci, którzy przyjdą po nich, wiedzieli?

- To brzmi prawdopodobnie - zgodził się Jordi. - Ale dlaczego dwa domy? I to zarówno gaita, jak i róża. W takim razie gdzie powinniśmy zacząć szukać?

Pedro miał swoją teorię:

- To jest podpowiedz. Zaczynj w Veigas, tam, gdzie śpiewa gaita! Oni myśleli sobie, że kiedy poszukujący informacji przybędą tutaj, będą wiedzieli, że dobrze trafili, do prawdziwego Veigas, bo pierwszy dom nazywa się Casa de la Gaita. Może tu kiedyś mieszkał jakiś muzyk, grający na gaicie, czy ja wiem? Widzicie, że ten dom rzeczywiście znajdował się po drugiej stronie rzeki, mniej więcej tam, gdzie zostawiliśmy samochody. Teraz już, naturalnie, domu nie ma.

Słuchali jego wykładu. Pedro kontynuował z palcem wskazującym na mapie:

- Szukają róży. I tutaj widzicie Casa de la Rosa, wysoko na zboczu góry. Ludzie rycerzy musieli nadać tę nazwę, by wskazać drogę, dokładnie tak jak mówi Juana.

- Czy to nie jest ten dom z pokojami gościnnymi? - zastanawiała się Unni.

- Nie, nie, tamten musiał się znajdować dalej. Czy widzieliście coś w rodzaju muru powyżej wysokiego domu? To był mur, czy też dom, który ciągnął się dalej, wzdłuż lasu. Zbocze porośnięte lasem było dość strome. Kiedy patrzymy na stary plan miejscowości, to widać wyraźnie, że Casa de la Rosa musiała się znajdować wyżej. Nie sądzę, że ten dom nadal istnieje, tamten mur był w takim dobrym stanie, że niemożliwe, iż liczył sobie pięćset lat. Ale przyjrzymy się temu jutro rano. Teraz natomiast zrobimy tak, jak radzi Unni, i popatrzymy sobie na kuźnię, która leży tu niedaleko. Tym sposobem sprawdzimy teorię Jordiego. Bo właściwie to w nią nie wierzymy, prawda?

- No po tym, jak pojawiły się dwa domy z takimi nazwami, to chyba rzeczywiście nie - uśmiechnął się Jordi.

Wszyscy zapalili swoje większe lub mniejsze latarki i ruszyli w drogę po wykładanej kamieniami uliczce. Światła były niezbędne, żeby się nie potykać na sterczących płytach. Latarnia na rogu nie oświetlała całego obszaru.

Psy warczały cicho, ale chyba nie na gości, tak to przynajmniej wyglądało. Kierowały te jakby ostrzeżenia przeciwko czemuś całkiem innemu.

Z położonych nieco wyżej zarośli wędrowkę ludzi obserwowało dwoje mieniących się zielonkawo oczu...

Pedro wszedł do kuźni, reszta poszła jego śladem.

- Unni - rzekła surowo Gudrun. - A zmywanie?

- Ale ja bym chciała... Jordi i Pedro też byli surowi:

- Woda do zmywania stygnie, a jutro rano na takie zajęcia nie będzie czasu. Ruszaj więc! Wrócimy niedługo.

Unni jak niepyszna zawróciła. Na wzniesieniu między domami zatrzymała się i słuchała przez chwilę szumu strumienia oraz przyciszonych głosów dolatujących z kuźni.

Niezwykły spokój panował w dolinie. Psy ucichły, wczółgały się do najdalszego kąta swojego pomieszczenia. To chyba ich pora snu.

Unni uśmiechała się sama do siebie. Poszła wolno w stronę mostku, przeszła porośniętym trawą brzegiem i stanęła nad krawędzią wody. Wsłuchiwała się w bulgoczące, pluszczące fale, które mieniły się w blasku księżyca i mówiła, jakby im odpowiadała:

- Tyle się wydarzyło w ostatnich dniach. Jednak najważniejsze ze wszystkiego jest dziecko. Dziecko Jordiego i moje. Zrobię wszystko, by mogło żyć... przeżyć całe ludzkie życie, a nie tylko dwadzieścia pięć lat. Dużo, dużo dłużej. Jordi będzie żył długo, ja będę żyła długo, dziecko...

Niczym lodowaty dreszcz pojawiło się wspomnienie żelaznej dziewicy.

Znowu? I dlaczego akurat teraz? Czy już nigdy nie zapomni tego potwornego narzędzia, w którym znalazła się jedynie we śnie?

Nie, to nie był żaden sen. Ból zadawany przez wbijające się w ciało gwoździe był rzeczywisty. Akurat wtedy, kiedy się to działo, na pewno był prawdziwy.

Nieprzyjemna fala chłodu przeniknęła ją, kiedy tak stała pochylona nad tym niewinnym strumieniem, w owej ślicznej, małej wiosce. Dlaczego wspomnienie strachu pojawiło się właśnie teraz?

Unni była bardzo wrażliwa, odczuwała dużo więcej niż inni ludzie.

Wyprostowała się. Co to jest?

Odniosła tylko wrażenie jakiegoś mgnienia, błyskawicy, jakby coś zielonkawego przemknęło przed jej twarzą Czyjaś dłoń? A potem złowieszcza, zakończona szponami ręka na jej plecach. Czowała, że z tyłu za nią znajduje się coś potwornie wielkiego, bardzo blisko jej pleców i karku. Odgłos olbrzymich, machających skrzydeł, pies, który zaskowyczał gdzieś ze strachu... Wszystko to stało się dosłownie w jednej sekundzie.

Po czym świadomość ją opuściła, jakby dostała zastrzyk znieczulający o natychmiastowym działaniu.

- Ciii - powiedział Jordi w kuźni.

- Co to było?

- Zdawało mi się, że słyszę triumfalne wycie katów inkwizycji.

- Nie, to tylko psy - uspokoiła go Gudrun. - Ja też je słyszałam.

Jordi nie miał pewności, ale dał się przekonać.

Dość szybko zorientowali się, że jego teoria o miechu kowalskim jako substytucie kobzy nie wytrzymuje krytyki. Kuźnia nic im więc nie dała.

Wyszli znowu na zalany księżycowym światłem dziedziniec. Bezzadnie spoglądali na mur. Szukanie w przebudowanym murze, to kompletnie beznadziejne zajęcie.

Latarnia przed domem zapraszała do powrotu. Po chwili weszli do ciepłej izby.

- A to co? - zawołała Gudrun oburzona, kiedy znalazła się w kuchni. - Zmywanie nietknięte, a Unni ani śladu!

- To do niej niepodobne, żeby po prostu sobie pójść - rzekł Pedro. - Ale może była zmęczona i musiała się położyć.

- Zajrzę do niej - powiedział Jordi i wyszedł pośpiesznie.

Szuflada kuchennej szafki nadal pozostawała otwarta. I trudno ją było zamknąć. Gudrun mocowała się z nią bez skutku.

- Coś tam blokuje.

Inni próbowali jej pomagać.

- W środku coś jest - stwierdziła Juana. Wsunęła rękę i starała się uwolnić jakąś szkatułkę, która stała w szufladzie na sztorc. Kiedy ją wyjęła i uniosła w górę, posypała się rdza.

- Oj, to musi być stare! - zawołała.

Do szkatułki przymocowano kawałek pożółkłego papieru.

Pedro odczytywał głośno:

- Znaleziono przy rozbiórce ruin starego domu. Casa de la Rosa? Bez wartości.

- To taki przedmiot, którego nie przyjmuje się do muzeum, ale też szkoda go wyrzucić - mruknęła Juana. Wciska się więc do jakiejś szuflady i unika wyrzutów sumienia.

Pedro ujął wieczko. Nikt nie miał odwagi oddychać.

Wewnątrz wciąż leżał kawałek skóry.

- No to nie musimy szukać - odetchnęła Gudrun.

Żal

Rycerz don Federico de Galicia zasłonił rękami twarz: „Tacy są zdolni i wszystkie ich starania na nic”.

„Kto by przypuszczał, że nasi wrogowie posuną się do takich diabelskich sztuczek i wezwą na pomoc demony? - żalił się don Sebastian. - Co my teraz zrobimy? Jak zdołamy ich uratować?”

„My nic nie możemy. Przed chwilą rozmawiałem z Urracą. Ona też nie może się wtrącać. Nasi potomkowie muszą sami dotrzeć do celu, w przeciwnym razie rozwiązanie zagadki nie będzie miało żadnego znaczenia, tak mówi Urracą”.

„To prawda, ale uważam, że to okrutne pozostawiać ludzkie dzieci ich własnemu losowi”.

„Podzielam twoje zdanie - westchnął don Galindo. - A co nasza dobra Urracą mówi o demonach?”

„W porównaniu z nimi ona jest tylko zwyczajnym człowiekiem”.

Don Ramiro odwrócił się.

„Chyba nie jestem w stanie patrzeć na to, co się dzieje. Wszystko poszło źle, bardzo źle. Oni sobie na to nie zasłużyli ci nasi dzielni pomocnicy”.

„Zaprawdę nie zasłużyli!”

Żaden z rycerzy nie był już w stanie powiedzieć nic więcej. Zawrócili konie i odjechali, zrozpaczeni, bezradni.

Unni ocknęła się z uczuciem, że ma zatkany nos. Otaczał ją gęsty obłok kurzu.

Wszędzie było ciemno.

Po omacku starała się zbadać miejsce i bardzo szybko natrafiła na ścianę.

Jeszcze jedna ściana? Czyżby znalazła się w kącie? Wyciągnęła nogę i oparła ją o kolejną ścianę.

Była bliska paniki. Ciasnota wewnątrz żelaznej dziewicy wciąż dręczyła ją jak zmora.

Przez chwilę leżała bez ruchu. Próbowwała się rozluźnić, oddychała spokojnie, bo kurz groził atakiem kaszlu. Najważniejsze to stłumić narastającą panikę, postarać się przypomnieć sobie, co się stało.

Gdzie się znalazła?

W jednym z opuszczonych domów w Veigas? Nie bardzo mogła w to uwierzyć.

Wszystko, co widzieli w tej wiosce, było bardzo czyste i ładne, poza tym nie słyszała szumu rzeki, czy strumienia, albo potoku, jak można by nazwać tę wodę. Była szeroka jak potok, ale szumiąca jak strumień, poza tym nie na tyle duża, by zasługiwała na nazwę rzeki.

To naprawdę bez znaczenia, ważne, że Unni wody nie słyszała.

Jordi. Gdzie jest teraz Jordi? On, taki delikatny i dobry, najlepsze, co się jej w życiu przytrafiło. Dlaczego nie ma go tutaj? I jak ona się tu dostała? Dziura w pamięci, nie pamiętała nic.

Ostatnie wspomnienie, to jak stoi nad potokiem.

Teraz leży w jakiejś komórce, czy czymś takim, bardzo ciasnym, przypominającym jej tamto okropne zamknięcie... Nie nie myśleć o tamtym!

Zapach tutaj był zupełnie inny niż we wsi. Sama atmosfera też inna. I... czy to odgłos samochodów?

Czy przyjaciele odjeżdżają, zostawiwszy ją na pastwę losu?

Unni zaczynała się naprawdę bać. To wszystko jest od początku do końca niezrozumiałe. Kiedy w końcu znaleźli jakieś spokojne miejsce na oszalałym świecie, musiało się wydarzyć to coś, co wygląda na kompletnie pozbawione sensu.

Szumiało jej w głowie, nie była w stanie zebrać myśli. Przypuszczalnie w jej życiu zdarzyło się ostatnio tak wiele, że umysł nie był w stanie wszystkiego ogarnąć.

Czuła się taka słaba. Chciała tylko leżeć, nie myśleć, nie płakać, bo nawet na to nie było ją stać.

Spokój, spokój, śmiertelny spokój. Teraz wiedziała, jak to odczuwają ludzie starzy. Ludzie, którzy doprowadzili swoje życie do końca. I już nie żywią lęku przed śmiercią.

Tak właśnie czuła się teraz Unni. Paraliżowało ją śmiertelne zmęczenie.

Jordi? Nie potrafiła wyobrazić sobie jego twarzy. Nie pamiętała, jak wygląda, nie przypominała sobie, co takiego cudownego im się przytrafiło.

Nie, tak nie można jeśli dalej tak pójdzie, to naprawdę gotowa jest zasnąć.

Kiedy już się trochę otrząsnęła, powoli zaczęło do niej docierać coś nowego: Słyszała nie tylko swój własny oddech, lecz także oddech kogoś drugiego. Stłumiony oddech gdzieś z tyłu.

Nie jest tu sama...

Unni zeszywniała, gdy czyjaś ciężka ręka spoczęła na jej klatce piersiowej.